









WIĘKSZOŚCIĄ!

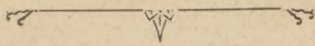




132

96 2

Artur Gruszecki.



# Większością!

POWIĘŚĆ WSPÓŁCZESNA.

TOM III

Związek Zawodowy Pracowników  
Kolejki  
Kielce, ul. M. Buczka 33, tel. 33-10

~~DOM KSIĄZKI  
Przedsiębiorstwo Państwowe  
w Kielcach~~

~~ST-41~~

WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 29 Декабря 1901 года.

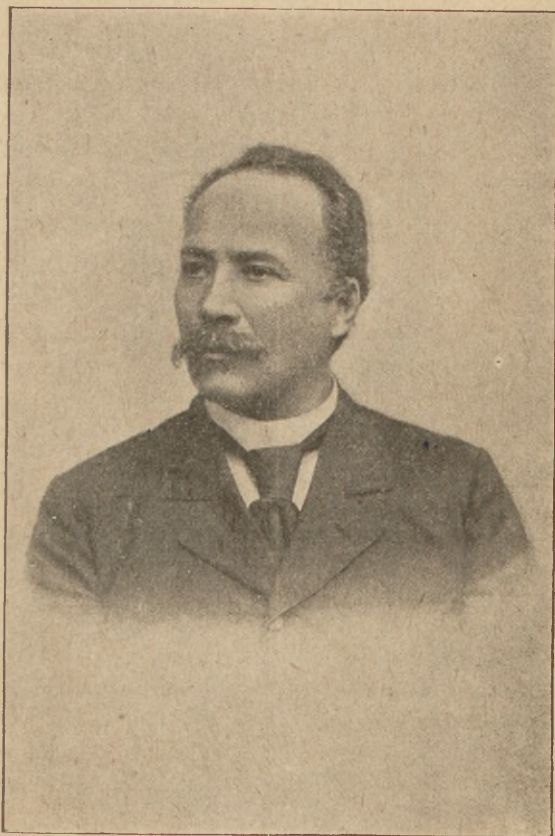
000829 L

T-259



229617





Artur Gruszecki.





## IX.

Do późnej nocy czekała pani Świetnoska przyjazdu męża i syna z miasta powiatowego; dręczyły ją przez cały dzień niemile przeczucia, że sprawa wyborów weźmie zły obrót w starostwie, że syna i męża narazi to na nieprzyjemności i niemile zajścia... Niepokoiło ją doniesienie lokaja, że pachciarz, Szaja, dopytywał się o pana, gdyż kto wie, czy żydzi z miasteczka nie przyszli po ostateczną odpowiedź? Wieczorem opadła ją troska o zdrowie i całość męża i syna?... Może konie poniosły?... Może powóz się wywrócił?... Może przeziębii się syn na chłodnym wieczornym wietrze, bo pojechał w lekkim paltocie.

Zmęczona smutkiem i złemi przeczuciami, poszła wreszcie do swego pokoju i usnęła.

Do rannego śniadania zjawili się obaj panowie, jacyś osowiali i przygnębieni.

— Władziu, może kawy?

— Dziękuję mamie, wolę filiżankę herbaty z cytryną.

— I ty, Stefku, nie pijesz kawy?

— Czuję się jakiś nieswój, wypiję tylko herbaty.

— Czy jesteście chorzy? — spytała z troskliwością.

Na te słowa zaśmiał się Bolesław.

— Czego się śmiejesz?

— Bo, proszę mamy, to zwykła choroba po winie.

Wszyscy, będący przy stole, zaśmieli się cicho, z wyjątkiem ojca i syna.

Ojciec zachmurzony zawołał:

— Cicho, smarkaczu, nie znasz się na tem i mówisz głupstwa... Wiesz, Celinko, jedliśmy obiad w restauracyi, a te ich tłuszcze zawsze mi szkodzą.

— A ty, Władziu, jak się czujesz?

— Nieszczególnie. Te kuchnie na prowincyi są ohydne.

— Może dać wam kleiku?

— Nie, nie!—zawołali obaj.

— Każę na obiad zrobić krupnik.

— Wiesz, Celinko, już lepiej barszcz, ale czysty, prawda, Władziu?

— Tak, papo.

— Ach, barszcz!... dobrze—uśmiechnęła się leciutko.

Po chwili milczenia spytała:

— Dlaczego przyjechaliście tak późno?

— Hm... dlaczego?—rzekł pan Świetnoski i spojrział na syna.

— Zaprosiliśmy, mamó, kilku urzędników ze starostwa na kolacyę, a ta przeciągnęła się do późna.

— Wy, z urzędnikami na kolacyi? — rzekła z lekkim oburzeniem. — I dla tak miłego towarzystwa—uśmiechnęła się z ironią—pozwoliliście mi czekać do północy z kolacyą, a sami przyjechaliście nad ranem... Tego nie spodziewałam się, zwłaszcza po tobie, Władziu.

— Proszę mamy, ci panowie byli i są nam bardzo potrzebni: oni kierują wyborami...

— Czy był z wami starosta? — dopytywała się panna Irena.

— Nie, starosta nie był.

— Więc z kim zabawialiście się tak długo? — mówiła żona z przekąsem.

— Był komisarz Silnicki i pan Ocieski.

— No, dosyć o tem—rzekł mąż.—Nie rozumiecie się na wyborach... A chcąc mieć poparcie, trzeba być z każdym dobrze... Czy nie był kto do mnie wczoraj?

— Dopytywał się Szaja kiedy przyjedziesz do domu.

— Cóż to nowego? Przecież nie pojechałem za morze.

— Nie wiem; widocznie miał pilny interes do ciebie... Czy posłać po niego?

— Sam posłę—odparł chmurny.

— Papo, z Szają należałoby pomówić, papa wie dlaczego...

— Hm.. to pošlij, Celinko; niech przyjdzie po obiedzie.

— Dobrze.

— Nie był nikt więcej?

— Przyjeżdżał Stępalski z Wiktorówki.

— Pewno po pieniądze na wypłaty... Nic, tylko ciągle trzymaj rękę w kieszeni i płać.

— Zato później bierze się grube sumy od kupców—uśmiechnął się syn.

— Nie życzę ci takich dochodów, mój Władziu. Kopa pszenicy w tym roku daje zaledwie trzy ówierci i to źle oczyszczonego ziarna.

— Chybi pszenica, zostaje żyto i jarzyna.

— Et, mówisz, aby mówić; gdybyś się dotknął sam, zaśpiewałbyś inaczej.

— Może się kiedyś i dotknę — uśmiechnął się syn.

— I ja nie życzę ci tego—westchnęła matka.

— Ani ja—dodała panna Irena.

— Gospodarowałbym w innych warunkach, aniżeli papa.

— Chociażby, mój Władziu—odezwała się mat-



ka;—nie masz pojęcia, ile trosk, kłopotów, zwłaszcza ze służbą...

Na ten temat rozmowa bardzo się ożywiła, ponieważ każdy z rodziny miał coś do zarzucenia temu lub tej.

Wieczorem do kolacyi siadła pani Świetnoska, widocznie wzburzona. Spozrzegł to mąż i zapytał:

— Co się stało, Celinko?

— A, mój kochany, chłopci, dzięki twojej wyrozumiałości, są tak rozzuchwaleni, że nareszcie nie będzie można wyjść po za obręb dworu.

— Ale co takiego? Nic nie wiem.

— Onegdaj naśmiewali się z nowej klucznicy, gdy wracała z kościoła.

— Bo też ona z tą pretensjonalnością do mody zabawnie wygląda — uśmiechnął się. — Sama mi mówiłaś.

— Co wolno nam, nie wolno chłopom; uszło im to jedno na sucho, dziś rzucili się na Bolcia.

— Na niego? — spojrzął na puste krzesło. — Gdzież on?

— Przebiera się z polowania; opowiadał mi prawie ze łzami w oczach, jakiej doznał zniewagi.

— Mówże raz.

— Idzie Boles, on sam najlepiej wszystko ci opowie.

— Cóż, zdrów jesteś? Cały?—uśmiechnął się.— Opowiedz, jak to było.

Chłopiec usiadł na krzesło i nabierając z półmiska, mówił:

— Poszedłem dziś na przepiórki...

— Zabiłeś choć jedną?

— Dwie i jednego chruściela, ale Nero jest już za stary, źle wystawia; byłbym miał kilka kuropatw, ale spłoszył je.

— A gdzie spotkałeś kuropatwy?—spytał ojciec zainteresowany.

— Na pszeniczysku, za kapliczką na rozdrożu...

— Tak, tak, tam są one rokrocznie. A zająca nie widziałeś?

— Były dwa w kartofflisku; cóż, kiedy Nero pobiegł naprzód i nie przyszyły mi na strzał.

— Czy papa nie ma innego wyźła? — spytał pan Władysław.

— Nie.

— Gdybym wiedział, byłbym wziął szczeniaka, którego mi ofiarowywał hrabia Fredzio.

— Ach, jaka szkoda, że nie wiałeś go dla mnie! — zawołał Boles z żalem.

— A jakiej rasy szczeniak? — spytał ojciec.

— Krew czysto francuska.

— Taki dobry tylko na suche pole; byle deszcz, rosa, już nie idzie — rzekł ojciec tonem znawcy.

— Przyuczony byłby zawsze lepszy od Nerona — powiedział Boles. — Proszę cię, Władziu, jak tylko dostaniesz, daj mi go. Już ja go wyuczę.

— Cóż było dalej? — spytał ojciec?

— Gdy na naszych polach już nie mogłem znaleźć...

— Boś wypłoszył, kochanku — przerwał pan Świetnoski.

— Nie ja, papo, ale Nero... Więc poszedłem na zagony chłopskie. Widzę, że Nero wystawia, i coś grubego, bo stoi, jak wryty. Od psa dzieliło mnie kilka zagonów owsa. Nie tracąc czasu, idę przez owies, a tu nagle z boku wyskakuje jakiś chłop i wrzeszczy do mnie: „Nie tędy droga!” Powiadam mu: „Bądź cicho, bo spłoszysz zwierzynę!” A ten dopiero w krzyk, że tratuję mu zboże, że tego nie daruję, że odbierze mi strzelbę, że to jego pole...

— Cóżeś zrobił?

— Spokojnie przeszedłem przez owies, bo widzę, że pies jeszcze waruje, ale zaledwie zbliżyłem się na jakie sto kroków, jak wyrwie się kot, tylko się zakotłowało.

— Hm... Szkoda. Możebyś był i zabił.

— Ale napewno, papo, gdyby nie ten głupi chłop.

— No, nie stało się, Celinko, nic straszego, a swoją drogą, chłopą skarcę za śmiałość.

— Ależ, Bolciu, ty mi opowiadałeś, że spotkał cię taki wstyd, hańba...—odezwała się matka.

— Moja mamó, czyż nie dosyć, że chłop śmiał mnie zatrzymywać, krzyczeć na mnie, grozić mi?

— Jak on wyglądał?—spytał ojciec.

— Jak każdy chłop — odparł z uśmiechem Boles — w zgrzebnem ubraniu, w kapeluszu, miał sierp w ręku.

— Dobrze, że nie rzucił się na ciebie—dodała matka.

— Niechby tylko spróbował. Miałem strzelbę nabitą.

— To, Bolciu, niebezpieczna gra — zrobił brat uwagę.

— Ależ, Władziu, w obronie osobistej mam prawo, i sąd uwolniłby mnie.

— A gdzie świadkowie?—zarzucił brat.

Wszczęła się żywa dyskusya na ten temat; przeważała ją wejście lokaja, niosącego na tacy gazety z pocztą i list z Nauheimu.

Wszyscy śledzili z uwagą wyraz twarzy czytającej, chcąc wywnioskować, jakie nowiny przyszły. Wreszcie skończyła pani list i składając go, rzekła z uśmiechem, patrząc na syna:

— Za cztery dni przyjeżdża Wandzia.

— To bardzo szczęśliwie — rzekł, uśmiechając się mąż.—Nareszcie z jej przyjazdem skończy się to wieczne porządkowanie.

— Czyż ci, Stefku, nie jest przyjemnie, że wszędzie tak elegancko?

— No tak, zapewne, ale za dużo hałasu i niepokoju.



— Czy nie pisze ciocia Wandzia, którym pociągiem przyjedzie?—zapytał pan Władysław.

— Nie, Władziu. Dopiero zatelegrafuje z Krakowa.

— Byle nie zapomniała—odezwał się mąż.

— Zapomnieć, jak zapomnieć—mówił pan Władysław—ale depesza może przyjść po jej przyjeździe na stacyę, a byłoby wstyd dla nas, gdyby nie zastała naszego powozu.

— Hm... to możliwe...—rzekł pan Świetnoski.—Pamiętasz, Celinko, wracając dwa lata temu z Wiednia, musiałem nająć konie, chociaż telegrafowałem na osiemnaście godzin przed przyjazdem na stacyę.

— To była wina posłańca.

— Może być to samo i teraz.

— Bolciu—rzekł brat starszy—idź do mego pokoju: na stoliku leży rozkład jazdy w szarej oprawie; przynieś mi. Zaraz zobaczymy, mamó, którym pociągiem może ciocia przyjechać do nas.

— Znając Wandzię, wiem, że zatelegrafuje dość wcześnie. Zresztą, sama mieszkając na wsi, wie jak chodzą depesze.

— Zapewne, mamó, ale dla bezpieczeństwa...

— Ewcia pewno będzie miała suknie najświeższej mody — odezwała się z westchnieniem panna Irena.

— Wątpię; matka chora, więc Ewcię nie interesują teraz mody—zrobiła uwagę matka.

— Tak znów obłożnie nie jest chorą ciocia Wandzia, a jestem pewny, że Ewcia lubi stroje—rzekł pan Władysław.

— Któraż z nas nie lubi?—rzekła z uśmiechem siostra.

Boles przyniósł przewodnik kolejowy. Po obliczeniu okazało się, że prawdopodobnie pani Rokicka przyjedzie na stacyę o godzinie dwunastej minut czterdzieści pięć.

— Przyjdzie, czy nie przyjdzie depesza, wyślemy powóz na stacyę—rzekła matka.

— Pojadę je przyjąć—dodał syn.

— Zrobisz mi tem przyjemność.

Rozmawiano dalej o przyjęciu pani Rokickiej.

Pan Władysław proponował:

— Przyjeżdżają z wielkiego i modnego świata, należałoby może zachować formy i do obiadu zmieniać toalety.

— I ja tak myślę—potwierdziła siostra.

— Hm... a co ty, Stefku?—spytała matka.

— Nigdy nie robiliśmy tego, niema potrzeby i teraz.

— Ale to przyjęte w naszym świecie — upierał się syn.

— A choćby wszyscy przyjęli, mnie nic to nie obchodzi, i nie zmienię... I powiadam ci, Celinko, obiad musi być o swojej porze... Kto do mnie przyjeżdża, niech stosuje się do mnie.

— Może papa ma słuszość—wtrąciła córka.— Nie zmienia się na zawołanie zwykłego trybu życia, bo to służba nieprzyzwyczajona, pobałamuci się, i na co nam kłopot?

— Tak, tak—dodał pan Władysław—ten porządek staropolski nada nawet naszemu dworowi pewną cechę patryarchalną.

Zawiązała się dość ożywiona rozmowa o dodatkach i ujemnych stronach porządku posiłków dziennych; ostatecznie zatrzymano dawny: śniadanie, następnie lekka przekąska, obiad, w kilka godzin herbata lub kawa, wreszcie wieczerza gorąca.

— Mamo, czy w ich pokojach wszystko w porządku?—spytał syn.

— Prawie. Brakuje tylko dywaników, których nie przysłano dotychczas, i książek.

— Przywiozłem trochę wczoraj, ale to za mało; taka prowincjonalna księgarnia nie ma wyboru.

— Może nadejdą ze Lwowa...

— Powinny, bo zażądałem natychmiastowej przesyłki.

— Ręczę ci, że nie przyjdą—zawołał ojciec.— Nasi kupcy i rzemieślnicy nigdy nie stawiają się w terminie.

Do ukończenia wieczery trwały skargi na tych i owych rzemieślników i kupców, którzy nie dopełniali swych zobowiązań.

Cztery dni oczekiwania upłynęły szybko wśród rozmaitych przygotowań, bo dopiero w ostatniej chwili przekonano się, że zabraknie najpotrzebniejszych rzeczy do kuchni i do pokojów.

Wbrew oczekiwaniu mężczyzn, przyszła depesza na dzień przed przyjazdem pań Rokickich z oznaczeniem pociągu i godziny.

Wyświeżony, w eleganckim garniturze marynarskim, z czerwoną pelargonią w butonierce, wyjechał pan Władysław na stację, aby przywitać ciotkę i kuzynkę. Furmanka pod kufry pojechała wcześniej na dworzec.

Nadjechał pociąg ze strony Krakowa.

Pan Władysław, włożywszy monokl, pilnie przyglądał się wagonom pierwszej klasy, upatrując pań. Żadnych drzwiczek wagonu nie otworzył konduktor. Natomiast spostrzegł pan Władysław, że z klasy drugiej zeskoczyła zgrabnie po schodkach jakaś młoda pani, kuferek ręczny postawiła na ziemi i przemówiła kilka słów do osoby starszej, stojącej w drzwiach wagonu.

— Hm... może to one?... Ta fertyczna mała, to pewnie panna służąca... Że też takie bogate osoby jeżdżą drugą klasą...

Widząc jednak, że prócz tych dwu pań, stojących już na torze kolejowym, wysiadło tylko kilku panów, oraz wielu żydów i żydówek, podszedł więc ku paniom z ładnym bukietem dobranych kwiatów w kolorze blade-różowym, skłonił się bardzo uprzejmie i spytał:



— Czy mam zaszczyt powitać panią Rokicką?

— Tak jest — odpowiedziała trochę zdziwiona.

— Władysław Świetnoski. Mama poleciła mi, bym powitał w jej imieniu ciocię i kuzynkę, co spełniam z nadzwyczajną przyjemnością. — Wygłosiwszy to, ucałował jej rękę.

— To pan... Syn Celinki?... Ewciu, pan...

— Władysław Świetnoski—przedstawił się córce i podając bukiet, dodał: — Raczy pani przyjąć te kwiaty, jako symbol poddania się Bruśnika i jego mieszkańców na łaskę i niełaskę pań.

Spojrzała na niego bystro swemi ciemno-piwnemi oczyma, i lekko zarumieniona, wzięła bukiet:

— Dziękuję. Bardzo ładne kwiaty — mówiła, przypatrując i napawając się delikatnym zapachem.

Pan Władysław skinął na oczekującego lokaja w liberyi, a gdy ten szybko się zbliżył, rzekł do niego:

— Weź ten kufereczek — a podając ramię pani Rokickiej:—Ciocia pozwoli...

— Jest jeszcze kuferek drugi — odezwała się Ewcia dźwięcznym głosem.

— Myślę, że znajdzie się ich więcej — rzekł z uśmiechem—ale tamte zabierze furmanka.

— Mamy tylko ten jeden—rzekła pani Rokicka, kobieta szczupła, niska, z twarzą zmęczoną, na której błyszczały wyraziste, ciemne oczy. — Daj, Ewciu, kwit wydawczy.

Pan Władysław wziął kwit i wręczył lokajowi:

— Oddasz Piotrowi niech odbierze i przywiezie.

— Słucham, jaśnie panie.

— Jakże cioci posłużyło Nauheim?

— Nieszczególnie.

— To szkoda, że ciocia jeździła tak daleko.

— Nie żałuję, bo Ewcia trochę się rozerwała nowemi wrażeniami.

— Zapewne kuzynka bywała często na rautach, piknikach?—zapytał, uśmiechając się do młodej panny.

— Nie byłam na żadnym — odpowiedziała wesoło. — Mamę byłoby to męczyło; wreszcie żadnej przyjemności nie znajduję w obcym pod każdym względem towarzystwie.

— Rozumiem to. Chociaż jestem mężczyzną, bywam w towarzystwie mi równym, a w kąpielach bywają ludzie z różnych sfer.

— Myślałam tylko o różnicy narodowościowej — odpowiedziała.

— Ta jest najważniejsza — przyświadczył z uznaniem. — Oto nasz powóz... Ciocia raczy zająć miejsce...

Panie wsiadły, naprzeciw pan Władysław, i konie ruszyły.

— Bruśnik daleko od stacyi?

— Nie, ciociu, nie całe dwie mile. Będziemy na miejscu za dobrą godzinę.

— Jakże zdrowie mamy? Tak dawno nie widziałyśmy się.

— Dziękuję cioci; mama dosyć zdrowa, a o cioci nie było dnia, by nie wspominała, rozczulając się nad miłą chwilą zobaczenia cioci i kuzynki.

— Obie tego pragniemy, ale ja więcej, bo zobczyłam z drogi, byle zobaczyć Celinę.

— Mama i my wszyscy jesteśmy też cioci nadzwyczaj wdzięczni i cenimy wysoko ten dowód przyjaźni i niewygasłych stosunków pokrewieństwa.

Po chwili mileżenia spytała:

— Pan stale na wsi?

— Ciociu, dlaczegoż pan? — zawołał z żalem. — Chociaż nie miałem szczęścia znać cioci osobiście, bo nie liczę tego, gdy byłem dzieckiem, ale nauczyłem się od mamy ciocię kochać i szanować... Proszę cioci — tu ucałował jej rękę — niech ciocia zrobi mi tę łaskę i mówi do mnie „ty.”

— Jak się bliżej poznamy... Teraz krępowałoby mnie mówić „ty” takiemu dojrzałemu mężczyźnie.

— Proszę bardzo... może kuzynka wstawi się za mną.

— Tu tylko mama rozstrzyga; co do mnie, nie lubię nagłych serdeczności.

— Któż ma prawo do tego, jeśli nie krewni bliscy, a mama moja jest przecież pocioteczną siostrą cioci?

— Zajmuje się pan genealogią? — spytała z uśmiechem panna Rokicka.

— To są nasze skarby rodowe; ale teraz znów kuzynka mówi mi „pan!”

— Jakże mam mówić? — zaśmiała się — nasze powinowactwo nie upoważnia mnie do innego przemówienia.

— Więc dla mamy niech ciocia raczy mi mówić „ty;” panie obie byłyście zawsze w takiej przyjaźni.

— Jeśli już koniecznie, i Celine zrobi to przyjemność — mówiła z wahaniem.

— Ależ ciocia uszczęśliwi mamę, bo będzie to nowym dowodem dobroci cioci... A teraz chyba mi kuzynka nie może mówić pan!

— Mam zupełną swobodę pod tym względem ze strony mamy i będę mówiła, jak uważam za stosowne...

— A więc „ty” — przerwał jej z uśmiechem.

— Nie, tylko „pan.”

— Ciociu, przynajmniej niech ciocia wyprosi dla mnie tytuł przynależny: kuzyna.

— To zależy od Ewci.

— Jeśli panu tak bardzo zależy, bym mówiła w trzeciej osobie, mogę mówić „kuzynie,” chociażby dla ćwiczenia się w gramatyce i uwadze.

— Z jakichkolwiek powodów, jestem jednak bardzo wdzięczny kuzynce.

Znów umilkli. Pan Władysław przypomniał sobie pierwsze pytanie i rzekł:

— Pytała ciocia, czy mieszkam stale na wsi...



Nie, proszę cioci, stale mieszkam we Lwowie, jako urzędnik namiestnictwa... Dwóch gospodarzy byłoby trochę za wiele na nasz majątek.

— Namiestnictwo? To podobno instytucja rządowa...

— Tak jest... Namiestnictwo to najwyższy rząd w kraju. Wszystkie inne urzędy podlegają namiestnikowi, którym jest obecnie hrabia — tu wymienił nazwisko.

— Sądziłam -- odezwała się Ewcia — że sejm i wydział krajowy rządzą Galicyą.

— Pani ma słuszość, bo sejm z wydziałem gospodarzą krajem, są czemś w rodzaju intendenta bogatego dworu, ale naprawdę wszystkie nici tak rządzenia, jak i polityki, zbiegają się tylko w namiestnictwie.

— To musi być jednak bardzo przyjemnie patrzeć tak blisko na całą machinę rządową, widzieć nakręcanie sprężyn, ruch kółek, celowość każdej śrubki—a cóż dopiero uczestniczyć w tem wszystkim czynnie!

— Z tych samych powodów porzuciłem, kuzyneczko, wieś i zaprząłem się do pracy, bo i mnie nęci nie tylko bliskość maszyny rządowej, ale i możliwość pozyskania władzy, zostania mechanikiem, jeśli nie całości, to pewnej części.

— Czy w namiestnictwie służą Polacy?

— Sami Polacy, ciociu, i to z naszej sfery przeważnie; czasem tylko przez szczególną protekcję dostanie się kto inny.

— W takim razie namiestnictwo jest naprawdę instytucją polską — odezwała się Ewcia — i pan może wiele zdziałać dobrego dla kraju.

— Naturalnie, kuzyneczko. Pozornie jesteśmy niby zawiśli od ministerium wiedeńskiego, ale w rzeczywistości rządzimy Galicyą samodzielnie.

— Jeśli tak, dlaczegoż Galicya ma opinię kraju tak ubogiego i zrujnowanego?

— To wina po części sejmu, a w znacznej części zawdzięcza to niepotrzebnemu dualizmowi rządzenia. Naprawdę wystarczyłoby dla Galicyi namiestnictwo, a te urzędy autonomiczne są niepotrzebne.

— A ja tak dużo dobrego nasłuchiłam się o pracy sejmu, wydziału...

— Tak wygląda pozornie, ale kto wejrzy w arkana rządzenia, wie, że punkt ciężkości leży w namiestnictwie.

Po chwili odezwała się pani Rokicka:

— Ach, Ewciu, spuść woalkę, opalisz się, i taki pył na drodze.

— Umyję się, mamó, i dobrze będzie, a taka ciekawa jestem okolicy.

— Po wspaniałych widokach za granicą tutejsze wydadzą się kuzynce marnemi.

— Wolę nasze widoki; one mają dla mnie dużo wdzięku melancholijnego.

— Jakto, nie zachwyciły kuzynki Niemcy?

— Nie, tylko imponuję mi ich przemysł i zdolność łatwego gromadzenia się.

— To prawda; dla nich wystarczy, aby w łada pokoiku zeszły się panny i kilku młodych, zaraz tańce, zabawy... Nam potrzeba komfortu, sali balowej, doskonałej muzyki i całego otoczenia poezyi, marzeń...

— Nie miałam na myśli zabaw — uśmiechnęła się z leciutką ironią.

— Rozumiem kuzynkę. Istotnie, ci Niemcy, nawet u nas, we Lwowie, mają swe własne knajpy, *stammtisch'e*, kręgielnie...

— I tego rodzaju stowarzyszeń nie znam — zaśmiała się. — Myślałam o ich towarzystwach politycznych, społecznych, ekonomicznych; mają szczególny dar wiązania się w gromady.

— Tak, tak, to ich wielka zaleta, to nie tak, jak u nas gdzie co głowa, to rozum. Nie mówię

o innych sferach, ale w naszej, najdojrzalszej, trudno o zgodę i jedność.

— Pan mówi o sferach — rzekła z lekkim odzieniem niesmaku — a ja o narodzie. W Niemczech stronnictwo centrum lub wolnomysłne umie się zorganizować, nie oglądając się na sfery.

— Pragnąłem dać jedynie przykład jaskrawy — usprawiedliwił się — lecz jeśli idzie o stronnictwa, to, bądź co bądź, mamy jedno wprawdzie, ale silne, energiczne i świadome celów, to nasze, zachowawcze, które od czasu konstytucyi potrafiło cały rząd zagarnąć w swe ręce i dyktuje prawa w sejmie, w wydziale, w namiestnictwie, nawet w radzie państwa.

— A kuzyn mówił, że sejm znaczy tak niewiele — zdziwiła się.

— Bo sejm i namiestnictwo, to jedna ręka, i tu i tam my rządzymy.

— A miasta? A lud?

— Dajemy im naszych kandydatów; aż nadto honoru dla nich! — uśmiechnął się drwiąco. — Właśnie papa kandyduje z kuryi włościańskiej na posła do sejmu.

— Ojciec pana będzie posłem? — spytała z pewnym szacunkiem.

— Tak jest. Wybory odbędą się w tych dniach.

— Masz szczęście, Ewciu — uśmiechnęła się matka — pragnęłaś poznania wsi z polskim chłopem, zaproszono nas do Bruśnika; marzyłaś o przyjrzeniu się wyborom i są wybory.

— I ja będę mogła widzieć, słyszeć mowy kandydatów, poznać zabiegi i starania o głosy?... Ledwie wierzę temu — mówiła zaczerwieniona ze wzruszenia.

— Jak najbliżej, kuzynko, bo ojciec jest kandydatem, będzie przemawiał na wiecu, a za dziesięć dni wybory!

— Zostaniemy, mamó, dobrze?

— Nie wiem, moje dziecko; czekam listu od



ojca, jak wiesz; wreszcie możemy zrobić za dużo kłopotu Celince.

— Jak ciocia może nawet pomyśleć, aby nam swoją osobą zrobiła jakikolwiek kłopot; to się nie godzi; my wszyscy tacy uszczęśliwieni, że ciocia raczyła nas odwiedzić i nie puścimy tak prędko od nas, z Bruśnika.

— Nie uwieźcie nas—uśmiechnęła się.

— Przeciwnie, ciociu, przysługuje nam to prawo, jako wynagrodzenie za tak długą nieobecność.

— Co to za wieś?—spytała Ewcia.

— Maniowice, niegdyś własność Popieleckich, dziś, niestety, rozparcelowana pomiędzy chłopów.

— Dlaczego „niestety?”—zdziwiła się.

— To było bardzo miłe sąsiedztwo... Otóż Bruśnik.

— Gdzie?

— Ten las na prawo, a z góry zobaczymy i dwór.

Jechali w milczeniu. Pan Władysław okiem znawcy przypatrywał się pannie. Oczy ciemno-piwe, ładne, żywe; pięć niezbyt uszanowana, trochę opalona, ale świeża i w dobrych kolorach; włosy ciemno blond mają ładny odcień złota starego, zależy jednak od fryzury, czy umie się czesać? Szary kapełusik, tego koloru co płaszczyk, zasłania fryzurę; może trochę za niska, ale zgrabna; widział nóżkę małą, gdy zeskakiwała z wagonu... Bardzo ładna nóżka w pantofelku i czarne pończoszki. Sukienka popielata, materiał nieszczególny, lekka wełna, może jednak krój dobry... Zobaczy to wszystko w domu... Tylko nudna okropnie z tą polityką i poważną rozmową; mówił z nią jak profesor, uśmiechnął się drwiąco sam z siebie, ale może ona tylko taka wobec matki, kobiety, zdaje się dobrej i uległej; a może ma tak przewróconą głowę... No, z tego już on ją wyleczy...

Ostatecznie wcale ładna dziewczyna, śliczne na

usta, zębki równe, może zbyt szczupła, ale przy jej wzroście, to właśnie dobrze, no i bogata, kolosalnie bogata, jak na Galicyę... Trzysta tysięcy rubli... Nie ma co, ożenię się z nią; trudno znaleźć bogatszą a świeżą, młodą i ładną.

Pani i pan Świetnoski razem z całą rodziną oczekiwali gości na ganku. Pan Świetnoski z wielką galanterią podał wysiadającej pani rękę i wprowadził na ganek. Tu obiedwie panie padły sobie w objęcia, zaczęły ścisnąć się i całować ze łzami w oczach, wyprostowały się, przypatrywały się sobie chwilę i znów się ścisnęły, powtarzając:

— Tyle lat... tyle lat...

— Ileż zmian zaszło, Celinko, od ostatniego naszego widzenia! Przedstawże mi swoje dzieci; to pewno Irenka?...

Panna Irena, w ładnej różowej sukience, z miną niewiniątka zawstydzonego podeszła do pani Rokickiej i ucałowała jej rękę.

— Ależ urosłaś, wypiękniałaś, Irenko; twoja fotografia nie daje wyobrażenia o twej piękności i wdzięku.

Równocześnie pani Świetnoska witała z rozczuleniem Ewcię:

— Moja ukochana, ależ tyś panną dorosłą, a znałam cię taką malutką; jak to czas płynie... Już wówczas zapowiadałaś, że będziesz piękną. Pozwólże się ucałować, uściskać, moje drogie dziecko.

Z pewnym skrępowaniem w ruchach i twarzy poddała się Ewcia czułościom.

— Pani... ciocia—poprawiła się—zbyt łaskawa na mnie.

— Byłyśmy z twoją mamą najlepszymi przyjaciółkami; mam nadzieję, że i ty z Irenką utrzymacie dawną tradycję... Irenko, przywitałaś się?

Przyszła z miną naiwną i ucałowała Ewę bardzo czule, odbierając dość obojętne uściśnienie.

Kolej przyszła na młodsze dzieci, a pan Świe-

tnoski, gdy Bolesł razem z Edziem przybliżyli się, mówił z uśmiechem:

— To nasz wielki łowczy, Bolesł; cały dzień na polowaniu.

— Bardzo zdrowe i higieniczne zajęcie—rzekła pani Rokicka. — Spodziewam się, że pokosztuję twej zwierzyny.

— Chyba wróbli—zaśmiał się ojciec.

— Zabiłem, papo, w tym roku sześć przepiórek, dwa chruściele i jednego zajaca, nie licząc drobnych ptasząt.

— To bardzo pięknie—uśmiechnęła się.

— A ten jest naszym koniuszym—mówił, wskazując na szczupłego, bladawego chłopca. — Gdzie Edzio? W stajni lub popędził na koniu w pole.

— Zamiłowanie do koni odziedziczył zapewne po ojcu.

— Tak, tak, pani dobrodziejko, bo i co wart szlachcic bez konia?

— I ja lubię konie—dodała grzecznie.

— To wisus Adaś, ogrodnik od owoców, a ta mała Hala siedziałyby dzień cały w malinach — tu wskazał na dwoje najmłodszych.

Ewcia poznawała również swych kuzynów, podając każdemu rękę do uścisku; tylko małą Halę ucałowała.

— Poznałaś, Wandziu, całą moją rodzinę. Wszak dosyć ich?

— Jak u was wesoło i przyjemnie! Co to za życie, gwar, hałas, gdy się zjadą, jak teraz, na wakacje... Zazdroszczę ci, Celinko.

— Hm... wie pani dobrodziejka, za duże to skarby, ale hałasów i kłopotów z nimi w dwójnasób... Człowiek ciągnie, bo musi, ale coraz ciężiej, bo rosną.

— Jednak ja wam zazdroszczę. U mnie w domu tak cicho, spokojnie, jakby życie miało ustać... Jedyłą moją pociechą to Ewcia.

— I, chwala Bogu, urosła piękna i świeża, jak



kwiat w polu—rzekł pan Świetnoski z uśmiechem.—  
Toż muszą szaleć młodzi...

— I ja to mówię — dorzuciła pani Celina. —  
Zbyt wcześnie nie można córki wydawać z domu...  
Tyś pewno zdrożona, Wandziu, a my ciebie tak dłu-  
go tu trzymamy. Proszę cię, chodź do swego poko-  
ju, odpoczniesz i każę podawać obiad.

— Bo to, pani dobrodziejko, u nas po staropol-  
sku. Na to Bóg dał południe, aby człowiek po pra-  
cy odpoczął i zjadł.

— Irenko, zaprowadź Ewcię do jej pokoju... —  
mówiła pani Świetnoska, idąc z panią Wandą do po-  
kójów gościnnych.

— A wasze kufry?—spytała.

— Nie wiem, ciociu. Kuferek zabrała podobno  
furmanka, a nasz ręczny gdzieś znikł... Może został  
w powozie.

— Pewno lokaj zaniósł do waszych pokójów—  
dorzuciła Irena.

Weszły do pokójów gościnnych.

— Ależ u ciebie zbytki, moja Celinko. Jakie  
ładne portyery, gotowalnia... Widzisz, Ewciu, nawet  
biblioteczka nowości.

— Gdzie, mamó?

— Tam w rogu.

— Widzę —i spojrzała na tytuły—same książki  
francuskie i nieznanych mi autorów.

— Masz i u siebie, Ewciu, książki. To Władzio  
dobierał — odezwała się Irena — ale nie lubię tych  
autorów.

Obie przeszły do sąsiedniego pokoju. Ewcia  
zrzuciła szary płaszczyk i stanęła w skromnej popie-  
latej sukience, która uwydatniła jej zgrabną postać  
i figurę.

— Ileż tu flakonów, pudełeczek, perfum! — za-  
śmiała się wesoło. — Nigdy w życiu nie miałam tak  
zaopatrzonej gotowalni i nie znam nawet ich użytku.

Irena uśmiechnęła się z politowaniem i miała

zamiar tłómaczyć kuzynce tajemnice flakonów i pudełek, gdy przyszło jej na myśl, że napewno kuzynka udaje, aby okazać się niewiniątkiem.

— Wiesz, Ewciu, ja, żyjąc na prowincyi, tem mniej znam się na tych rzeczach; co innego ty, która przyjeżdżasz z wielkiego świata.

— Ach, mój wielki świat!—zaśmiała się wesoło. — To pensjonat w Warszawie, małe kółko koleżanek, dom rodzinny i książki.

— Jakto, nikt nie bywa u was?

— Od czasu do czasu sąsiedzi.

— A bale, zabawy?

— Byłam dwa razy na balu, ale to średnia przyjemność... Rozmowa banalna, a zabawa szablonowa...

Weszła Bronia, pokojówka, i stanawszy przy drzwiach, pytała:

— Co jasna panienska każe?

— Dziękuję, nic mi niepotrzeba.

— Ewciu, daj sukienkę wytrzepać z kurzu—odezwiała się matka z przyległego pokoju.

— Dobrze, mamó.

Bronia podeszła, aby pomódz rozpiąć i zdjąć suknię.

— Dziękuję, sama się rozbiore.

— Może uczesać jasną panienkę?

— Nie, sama się uczeszę... Proszę mi przygotować wodę w miednicy.

— Irenko!—zawołała jej matka z korytarza.

— Idę, mamó... Do widzenia, Ewciu...

— Kiedy obiad u was?—spytała, zdejmując stanic sukienki i stanęła na środku pokoju w popielatej halce, w koszuli wygorsowanej, bogato haftowanej, skrzyżowawszy bezwiednym ruchem białe ręce na piersiach.

— Obiad będzie wkrótce... Ewciu! ty nie nosisz gorsetu?—zdziwiła się szczerze.

— Nie.

— Ale dlaczego?

— I tak dosyć ucisku, po cóż mam jeszcze sama się uciskać!—zaśmiała się.

— Nie rozumiem, jak można obejść się bez gorsetu... Nawet nie wypada...

— A jednak się obchodzę — odpowiedziała, rozweselona zdziwieniem Ireny.

— Irenko—rzekła pani Świetnoska, uchyliwszy drzwi—chodź, potrzebuję ciebie.

Zawołana odwróciła się szybko i wyszła.

Ewcia po umyciu się, zaczęła czesać swe bujne włosy, wszystkie w górę z czoła, upiąwszy warkocz stosownie do mody *à la Venus*.

— Czyś gotowa? — spytała matka, wchodząc z przyległego pokoju.

— Czekam sukienki.

— Jakże ci się podoba w Bruśniku?

— Nie wiem, mamó.

— A Irenka?

— Bardzo ładna.

— Prawda, Ewciu, jaka ciocia Celinka miła i dobra... i jaka szczęśliwa, że ma wszystkich przy sobie i tyle dzieci.

— Ilości dzieci nie zazdrozczę cioci wcale — rzekła, zaśmiawszy się wesoło. — Matka sześciorga dzieci niczem zająć się nie może, o niczem pomyśleć, tylko o tych swoich dzieciach.

— Nie znasz życia, moja kochana. O ileż byłabym szczęśliwszą—westchnęła—gdybym miała was czworo.

— Jeszcze czworo, i to od jednego razu, aby odhodować i pozbyć się, niech idą w świat — zostało by zawsze dosyć czasu na ważniejsze rzeczy — ale sześcioro, od takiego wielkiego Władysława do małej Hali, to zmarnowanie całego życia, bo co które odrośnię, jest nowy kłopot.

Weszła Bronia z oczyszczoną sukienką i kładąc ją na krześle, rzekła:



— Proszę jasnej panny, już gotowa...

— Jak się nazywasz?

— Bronia.

— Proszę cię, Broniu, nie mów do mnie jasna, nie lubię tego.

— Słucham jas... panienko — odpowiedziała zarumieniona. — Czy panie rozkażą co jeszcze?

— Dziękujemy, Broniu; nie nie potrzebujemy.

Po jej wyjściu zrobiła matka uwagę:

— Moja Ewciu, jeśli tu jest zwyczajem domowym tak przemawiać...

— To, mamó, żaden powód, abym znosiła takie tytuły i udaną pokorę służby.

— Pomyślą jeszcze, że chcesz im dać naukę — powiedziała z westchnieniem matka.

— Ja, im, naukę?! — zaśmiała się wesoło. — Ależ, mamó, nikt nawet nie zauważy, jak przemawia służba do mnie.

Już ubrana, oglądała suknię w lustrze, poprawiając i prostując tu i owdzie.

Zapukano cicho do drzwi.

— Proszę.

Drzwi uchyliły się i zajrzała Irenka.

— Myślałam, że jeszcze nie jesteś gotowa, dlatego wolałam przyjść sama, aby cię poprosić na obiad.

— Jesteśmy gotowe.

Przy stole na pierwszym miejscu usiadła pani Rokicka, po jej prawej stronie pani domu, a za nią Ewcia i Irenka, naprzeciw panowie, a dalej dzieci.

Rozmawiano o zbiorach tegorocznych, Podolu, stosunkach gospodarskich, następnie o kuracyi w Nauheimie i utrudzającej podróży.

Po obiedzie obie panny poszły do ogrodu, gdy starsi zasiedli do czarnej kawy, którą pan Władysław szybko wypił, zapalił cygaro i za pannami poszedł... Ujrzał je pomiędzy koszami kwiatów,

umieszczonemi na uboczu od głównej alei, nad którymi kiedy niekiedy nachylały się i rozmawiały wesoło.

— Wiedziałem, że panie tu zastanę — rzekł z uśmiechem pan Władysław — bo równy szuka równego.

— Tak dalece nie czujemy równości pomiędzy np. temi bratkami, lub gladyolusami a nami.

— Bo też kuzynka nie jest równa tym zwykłym kwiatom, lecz, jak dla mnie, jest podobna do tego rzadkiego gatunku irysów popielatych, a Irenka do kielicha alpejskiego.

— Doskonałe porównanie — zawołała Irena. — Irys taki ma w sobie coś eterycznego, niezwykłego, jak ty, Ewciu.

— Irys, to obraz duszy kuzyneczki, odchylone liście dla świata, dla ludzi — wskazał na kwiat liliowego irysu — ale prawdziwe skarby ukrywa się zazdrośnie i ledwie przez szczeliny widać ten kraj marzeń i snów.

Ewcia słuchała obojętnie, przypatrując się obok rosnącym kwiatom.

— Czy nie znajdujesz, Ewciu, że to porównanie jest bardzo trafne?

— Kuzyn Władysław powiedział o irysie ładnie, może pięknie, ale nie lubię symboliki w życiu; cenię szczerotę i prawdę.

— Ależ kuzynko, ja mówiłem szczerą prawdę.

— Jakto, kuzyn naprawdę uważa mnie za kwiat jakiś? Może oranżeryjny? — zaśmiała się.

— Czy moja w tem wina, że kuzynka, i wogóle panny naszej sfery robią wrażenie kwiatów?

— Ja a kwiat? — uśmiechnęła się z ironią. — Rośliny wogóle są niższemi organizmami w naturze, i nie wiem, dlaczego, ja, kobieta, mam być czemś niższem, bo przecież o kuzynie nie powiem, że robi wrażenie, dajmy na to, bratka, czy oleandra.

Obie panny zaśmiały się swobodnie.

— Czy kuzynka nie lubi kwiatów? — spytał z równą uprzejmością, chociaż jej słowa niemile go dotknęły.

— Bardzo lubię.

— A ja przepadam za kwiatami — mówiła Irena z udanym entuzjazmem. — Gdybym miała dom własny, codziennie musiałyby być świeże kwiaty w salonie, w sypialni wspaniałe bukiety, również w jadalnym pokoju, aby zapach kwiatów zabijał zapachy potraw; otaczałabym się kwiatami i w dzień i w nocy.

— Ostrożnie, Irenko — rzekła panna Ewa — kwiaty mają też trujące własności.

— Ach, umrzeć chciałabym na kwiatach, tylko na kwiatach.

— I ja podzielam upodobanie siostry — odezwał się miękkim głosem, towarzysząc pannom, które szły w kierunku cienistej alei — i marzę o takim życiu pełnym kwiatów, ale nie tych znikomych posłańców wiosny, lecz trwałych, wiecznych, kwiatów uczuć; te zawsze są piękne, świeże i wonne.

— Jeśli wogóle uczucia są trwałe i niezmiennie — dodała panna Ewa.

— Kuzynka mnie nie zna — rzekł tonem smutnym — i nic dziwnego, że sądzi mnie według innych mężczyzn, ale jeśli pokocham kiedykolwiek, to raz na całe życie.

— Ach, więc kuzyn, mówiąc o uczuciach, miał na myśli tylko miłość?

— Tak, kuzynko, ze wszystkich uczuć, to jedno jest najwspanialsze i najszlachetniejsze, to słońce, a reszta uczuć tylko księżycami, które biorą blask od niego.

— Nie znam miłości, więc nie mogę sądzić, o ile kuzyn ma słuszność.

— I ja nie znam — dodała szybko Irena.

— Szczęśliwie jesteście, ale strzeżcie się; bo





miłość przychodzi cicho, niepostrzeżenie, nagle owłada całą duszą, myślą i wolą.

— Dziękujemy za ostrzeżenie — zażartowała Ewcia—ale wątpię, czy skorzystamy z tych praktycznych wskazówek.

— Co do mnie, nie wierzę w nagły wybuch miłości; a ty, Ewciu?—spytała panna Irena.

— Ani ja.

— Nie wierzycie mi, a jednak w życiu i w poezyi tak bywa, że od pierwszego spotkania jakiś dziwny dreszcz trwogi i radości owłada, następuje jakies sparaliżowanie woli, i już się czuje, że tylko te piękne, błyszczące oczy stają się całym światem.

Szli cienistą aleją i przez chwilę milczeli. Pan Władysław rozważał, czy dość wyraźnie zaznaczył cudowne działanie miłości na niego i spojrział badawczo na Ewcię, czy zrozumiała, że on tylko ją ma na myśli.

Twarz jej jednak była zupełnie obojętna i nie zdradzała żadnych wzruszeń. Drażniło go, że on, lew flirtu, nie natrafił dotychczas u niej na struny, na których umiałby grać i wzruszać. Postanowił zmienić rozmowę i rzekł:

— Czy kuzynka czytuje nowszych autorów?

— Jakich?

— Verlain, Leconte de Lisle, Mirbeau...

— Nie, wybór książek francuskich zostawiam mamie.

— Tak samo, jak ja — odezwała się Irena — bo w tych nowszych autorach znajduję się podobno rzeczy niestosowne dla panien.

— Ktoś poinformował cię mylnie—rzekł z uśmiechem, bo wiedział, że siostra niechętnie czytuje wogóle.— Zapewne, że niektóre powieści i nowele są trochę drastyczne, chociaż napisane wspaniale, ale inne mogłabyś bezpiecznie czytać, i radzę kuzynce uprosić mamę o pozwolenie.

— Mama jest dla mnie tak dobra, że nie wątpię, iż pozwoliłaby mi czytać, ale ja sama nie chcę...

— Jeśli kuzynka przeczyta tylko jedną taką powieść, już wszystkie inne książki, prócz najnowszego kierunku, obrzydną kuzynce.

— Tak dalece? — uśmiechnęła się niedowierzająco.

— Poprostu otwiera się przed czytelnikiem świat nowy, uroczy, pełen subtelnych uczuć, tajemniczych zagadnień, nieznanych nam dotychczas zakątków duszy... i wtenczas dopiero rozumie się, czego od życia wymagać mamy, co jest jego treścią...

— To tylko wy, mężczyźni—rzekła, śmiejąc się Irena—potrzebujecie książek, aby poznać, co stanowi treść życia, a każda z nas wie sama, czego chce w przyszłości.

— Jeśli wiesz, Irenko, więc powiedz.

— Nie; ty pierwszy.

— Tak, kuzyn pierwszy—potwierdziła Ewcia.

— Ale i kuzynka nam powie, jak wyobraża sobie życie?

— Powiem.

— Usiądźmy tu na ławce — wskazał elegancką kanapę ogrodową, umyślnie na przyjazd gości sprawioną—bo konferencya potrwa dość długo.

— Siadajmy, Ewciu.

— Otóż gdyby wróżka czarodziejska — zaczął, usiadłszy na krzeselku naprzeciw panien — spytała mnie o moje życzenie, odpowiedziałbym: „Spełń marzenie mego życia. Daj mi zamek, ale nie ten stary, feudalny, ale wykwintny, na jaki może tylko zdobyć się cywilizacya dzisiejsza. Zamieszkał tam z ukochaną kobietą. Niech tam będą grotty z niezwykłym światłem, zapożyczonem z zaświatów; jeziora głębokie, po których płyną łodzie, ciągnięte przez łabędzie; muzyka tak cicha, rzewna, a tak przejmują-

ca, jak zapach kwiatów, lub huczna i rozgłośna, że drżałyby kamienie; i każde me życzenie niech spełnią niewidzialne istoty. Tam, przy boku ukochanej kobiety, wpatrzony w jej oczy, cichy i pokorny, jak niewolnik, doznawałbym z nią razem wzruszeń tak subtelnych, jak zapach kwiatu, jak pył motyla... Dopiero byłbym szczęśliwy... szczęśliwy... szczęśliwy!...

— Ładne marzenie—rzekła Ewcia grzecznie.

— Ja mam o wiele skromniejsze — mówiła Irena, prostując się i poprawiając czarne włosy,—Chciałabym być królową. nie taką koronowaną, o, nie! taka ma zawiele kłopotów z rządzeniem kraju, ale uznaną przez wszystkich. Salony moje byłyby najpierwsze i najpiękniejsze, byłabym wiecznie młodą, każde moje życzenie, nawet pomyślane, byłoby spełnione, czy to balu, muzyki, teatru, podróży, kwiatów, czy klejnotów. Żadne zmartwienia, kłopoty, braki nie mogłyby mnie dosięgnąć, i życie przeszłoby mi, jak uroczy sen, jak cudowne marzenie... Ach, gdyby znaleźć kwiat paproci, gdyby!

— I ja chciałbym go dostać — odezwał się pan Władysław—ale nie wiem, czy dopomógłby mi on do pozyskania serca drogiej osoby.

— Zdaje mi się, że kwiat paproci każdy może osiąść, jeśli tego szczerze chce — rzekła z uśmiechem.

— Podaj mi sposób!—zawołała Irena.

— Z kuzynki istna czarodziejka, jeśli to potrafi—dodał pan Władysław.

— Rozumiecie mnie fałszywie; widocznie źle się wyraziłam, ale się wytłómaczę.

— Przedtem jednak kuzynka powie nam, jak w marzeniu kuzynki wygląda życie.

— Tak, tak, Ewciu, opowiedz.

— Jedno z drugim ma ścisły związek.

— Słuchamy, kuzyneczko.



— Zdaniem ludu, kwiat paproci daje świadomość skarbów ukrytych; zamiast tego podstawmy świadomość celu życia. Jeśli w życiu ktoś postawi sobie cel wielki, szlachetny, jasny, to on opromieni wszystkie związane z życiem smutki, kłopoty, rozczarowania. Nie mam, niestety, jak Irenka i kuzyn, fantazyi poetyckiej, biorę życie realnie, jak ono jest, i w tych warunkach szukam drogi i sposobów, abym była szczęśliwą.

— Ty masz już jaki cel życia?

— Nie wiem, czasem zdaje mi się, że mam, czasem wątpię znów...

— Kuzynki zdanie o życiu jest bardzo piękne i oryginalne, i ja zgadzam się w zupełności z kuzynką, a to, co mówiłem, było chwilowym nastrojem, w który mnie wprowadziło otoczenie, ten jasny dzień, przejażdżka na kolej, spotkanie cioci i kuzynki, kwiaty, ogród... Tak, tak, mieć cel w życiu wielki i osiągnąć go jest istotnem szczęściem.

Trochę zdziwiona słuchała go siostra, gdyż pierwszy raz mówił o celu życia, jako o szczęściu, a dotychczas jego wyznanie o zaczarowanym zamku było dla niej prawdą. Wręcz spytała:

— Mój Władziu, jaki masz cel wielki?

— Ja? — chwilę namyślał się, przypomniawszy sobie jednak wzmiankę Ewci o ponętach władzy, gdy jechał z nią w powozie, rzekł: — Chciałbym osiąść władzę olbrzymią, zgiąłbym i usunął szkodliwych, podniósłbym i nagradzał dobrych, karciałbym każde nadużycie, każdą niesprawiedliwość.

— Przyznam ci się, że nie widzę szczęścia we władzy... Czy taki namiestnik lub król jest szczęśliwy, chociaż ma wielką władzę?

— Ty, Irenko, jako kobieta, nie rozumiesz tego, że to jest rozkosz swego rodzaju czuć, że od mego podpisu, od mej woli, od zmarszczenia brwi zależy szczęście i spokój innych. Kogo zechcę, to poniżej, lub wywyższę, a wszyscy są zależni od mej woli.

Kuzynka zgodzi się ze mną, że taki cel wart pracy i zachodów.

— Zapewne, o ile się tej władzy używa na uszczęśliwienie innych.

— Ależ naturalnie, całej władzy użyłbym dla dobra kraju.

— Tego jestem pewna — pośpieszyła dodać Irena; — to u nas dziedziczne. Wiesz, Ewciu, papa na razie nie chciał kandydować, ale jak marszałek i inni zwrócili uwagę papy, że tego wymaga dobro kraju, papa się zdecydował.

— Ty widziałas, Irenko. wybory? — spytała z żywością.

— Nie, bo polityką nie zajmuję się, a sędzę, że wybory nie są interesujące.

— Nie interesują ciebie? — zdziwiła się Ewcia. — Nawet, gdy twego ojca wybierają?

— Tych jestem ciekawa.

— Więc wiesz, Irenko, pojedziemy i na wiec i na wybory, jeśli tylko tak długo zostaniemy.

— Bardzo chętnie, o ile rodzice nam pozwolą.

— Ale pozwolą, pozwolą — zapewnił z uśmiechem pan Władysław. — Już ja biore to na siebie. Sądzę jednak, że kuzynka się rozczaruje, bo to wybory z kuryi chłopskiej; żadnych strojów, zaprzęgów. występów... Tłumy chłopów, nie zawsze trzeźwych — i koniec.

— Ach, jak ja się boję pijanych! — zawołała Irena. — A ty, Ewciu?

— I ja również.

Nadbiegł Edzio i zawołał jednym tchem:

— Mama i ciocia proszą Irenkę i Ewcię, aby zaraz przyszły.

— Idziemy — powiedziały za odbiegającym.

— W której klasie twój brat? — spytała pan-na Ewa.

— Edzio idzie po wakacyach do trzeciej gimnazjalnej w Chyrowie.

— A starszy?

— Boleś powinien pójść do szóstej, ale coś przeszkrobał i został w piątej.

— Także w Chyrowie?

— Był w Chyrowie, ale teraz papa ma zamiar odesłać go do gimnazjum we Lwowie.

Pan Władysław szedł za niemi milczący, przypatrując się Ewci.

Podobała mu się naprawdę.

Jej zgrabna figura, chód elastyczny, swobodny i świeżość jej, naturalność, uczyniły na nim wrażenie. Dotychczas owe flirtowe zwycięstwa, polegające na prześlizgiwaniu się, muskaniu uczuć i myśli, na szermierce słów, dających pole do najrozmaitszych domysłów, przychodziły mu dosyć łatwo, i jak wprawny rybak wiedział, kiedy i jaką ponętę należy rzucić, aby ryba chwyciła. Ta jedna stawia mu opór. Przypuszczał, że ona, będąc doświadczoną we flirtcie, pokazuje w ten sposób swą wyższość nad nim i chce go pobić; ale myli się: teraz zacznie ją ściśle obserwować i odnajdzie jej słabą stronę, a wówczas spróbujemy, kto wyższy i silniejszy? Uśmiechnął się do siebie.

Z praktyki życia nabył przekonania, że wszystkie kobiety dadzą się podzielić na trzy klasy. Jednym imponuje natarczywość, prawie brutalność; inne wymagają posłuszeństwa i uległości; wreszcie trzecie lubują się w długich próbach cierpliwości. Do którego z tych trzech gatunków należy kuzynka, nie wiedział na razie; ale zbada. Ona zostanie napewno do wyborów, a więc jakie dziesięć, dwanaście dui; ma dosyć czasu, a sposobność się znajdzie.

Na ganku siedziały starsze panie, i do zbliżających się przemówiła pani Rokicka:

— Długo bawiłyście w ogrodzie, moje panny. Trzeba było po was posyłać.



— Jesteśmy; co mama każe?

— Ewciu, możebyś wzięła inną suknię?

— Czy ta zła? — spytała trochę zdziwiona panna Ewa.

— Doskonała, Ewciu, doskonała — rzekła, uśmiechając się, pani Świetnoska. — Nie wiem, dlaczego chcesz, Wandziu, aby Ewcia się przebrała; przecież jest u krewnych.

— Jeśli chcesz, Ewciu, to zostań w tej... ale wyjm z kuferka sukienki; jak poleżą do jutra złożone, będą zmięte.

— Natychmiast, mamó.

— Irenko, każ przyjsć Broni; ona wam pomoże rozpakować kuferki.

— Dobrze, mamó.

Przy pomocy Broni wyjęła Ewcia dwie białe, pikowe sukienki, leżące na wierzchu w kufrze i spuściła wieko.

— Tylko te dwie? — zdziwiła się Irena.

— Tamte mogą leżeć, nie zemną się.

— Czy jas... czy panienka — poprawiła się Bronia — każe odprasować?

— Jeśli masz czas, to prosiłabym,

— Czas ma, bo ona tylko na nasze usługi — rzekła dość szorstko Irena.

— Sądziłam, że jest teraz zajęta.

— Widziałaś, Ewciu, książki? — spytała Irena, wskazując na leżące na półeczce w rogu.

— Nie jeszcze.

— To ci sami autorowie, o których wspominał Władzio.

— Tak? — Ewcia podeszła i zobaczyła tytuły. — Prawda, ci sami.

— Będiesz czytała?

— Zapytam się mamy.

— Ewciu, ty naprawdę nie czytasz nic bez pozwolenia mamy?

— Tylko powieści francuskich nie czytam bez za-  
pytania, a zresztą inne czytam sama.

— A wiesz, Ewciu, to Władzia pomysł te por-  
tyery i meble. Prawda, że on ma dobry gust?

— Tak, Irenko.

— Pod sekretem powiem ci, Ewciu, że Władzio  
jest trochę zepsuty powodzeniem u pań... Gdzie tyl-  
ko liczniejsze zebrania, Władzio być musi, chce, czy  
nie chce, tak go usilnie zapraszają.

— I tak często bywa w towarzystwach?

— Opowiadał nam, że rzadko który wieczór zo-  
staje u siebie...

— Kiedyż on pracuje?

— W biurze, Ewciu, od dziesiątej do drugiej.  
Czy to nie dosyć?

— A czym jest? Jaki nosi tytuł?

— Obecnie koncypistą namiestnictwa, ale mó-  
wił, że skoro papa zostanie posłem, on dostanie no-  
minację na komisarza i jeszcze jeden awans, a bę-  
dzie starostą.

— To u was duża figura taki starosta?

— Naczelnik powiatu całego, a nie łatwo nim  
zostać: trzeba mieć nazwisko i protekcję, naturalnie  
przy zasługach i zdolnościach; o, przed Władziem jest  
wielka karyera!

— Jak szczęśliwi są ci mężczyźni, że mogą  
bezpośrednio wpływać na rządy w kraju!—westchnęła  
Ewcia.

— Jednak nie chciałabym być mężczyzną—ode-  
zwała się Irena: — za dużo pracy i za wielką odpo-  
wiedzialność... Ale chodźmy, Ewciu; pewno herbata  
gotowa.

Przy wieczerzy ojciec spytał Bolesia:

— Cóż, Nemrodzie, dużo dziś zabiłeś?

— Kuropatwę i przepiórkę—odpowiedział z uśmie-  
chem zadowolenia. — Zarwały się o jakie trzydzieści  
kroków, ale pierwszy strzał chybił, za drugim padła  
kuropatwa.

— To bardzo ładnie—pochwaliła pani Rokicka z uśmiechem.

-- A wie papa: żydzi sprowadzili do lasu dwudziestu traczy i rąbią, aż echo idzie.

Rodzina państwa Świetnoskich odczuła niemilę tę wiadomość ze względu na obecność gości; milczeli i w tej krótkiej chwili ogólnego zamilknięcia spytała pani Rokicka:

— Celinko, sprzedaliście las?

— Tak jest — odpowiedziała trochę niepewnym głosem pani Świetnoska.

— Sprzedałem, pani dobrodziejko, część lasu, bo nie mogłem ustrzedz się złodziejów. Chłopi kradli i chodzili do lasu, jak do swego spichrza. Znudziło mnie to pilnowanie i procesy nieustanne; sprzedałem kupcom.

— Czyż nie można było, jak u nas, na Podolu — odezwała się Ewcia — otoczyć lasu głębokim rowem? Taka szkoda oddawać las na rzeź żydom.

— To samo i ja sądziłem — mruknął pan Władysław.

— Ty?!... Hm... żałuję, że wcześniej nie powiedziałaś mi o tem—odrzekł ojciec z ironią.—Wracając do rowu, to żadna przepaść nie uchroni lasu od szkodników chłopskich.

— Milczenie przerwał Boles, który, widząc, że niefortunnie poruszył sprawę lasu, postanowił rozmowę skierować na inne tory.

— Proszę papy, już wiem, jak nazywa się ten chłop, który mnie zaczepił.

— Jak?

— Mielnik; to był jego owies.

— Hm... Mielników we wsi jest dużo, a nie wiesz imienia?

— Nie, ale dowiem się.

— Jakto, chłop zaczepił Bolcia? — zdziwiła się pani Rokicka.



— Tak, moja Wandziu. U nas chłopci są, dzięki konstytucyi, okropnie rozzuchwaleni; nie tak, jak u was...

— Cóż się stało? — dopytywała się pani Rokicka.

-- Boles w zapale polowania wszedł w owies chłopski; nagle wypadł chłop i zelżył go, krzycząc i łając.

— Tak?... To musiało być niemiłe Bolciowi, ale nauczy się, aby nie polować po cudzych polach—rzekła pani Rokicka z miną pedagogiczną.

— Ciociu, my dzierżawimy polowanie na gruntach chłopskich; nam tylko wolno strzelać, a więc i chodzić—mówił Boles gorąco.

— A, nie wiedziałam o tem—odpowiedziała pani Rokicka.

— W każdym razie niszczenie cudzej pracy nie przynosi ci, Bolciu, zaszczytu — odezwała się ciotka.

Ewcia zarumieniła się, odczuwając w tonie ciotki nagane.

Spostrzegł to pan Władysław i chcąc pokazać się w roli obrońcy, rzekł:

— Moja mamó, bądź co bądź, taki młody chłopiec powinien uszanować cudzą pracę. Ten biedny chłop zorał, zasiał; owies dorósł, dojrzał; i nagle widzi zniszczenie swej pracy. Jest to dla nas rzecz małej wagi, ale znane jest skąpstwo chłopskie... i dlatego właśnie można zrozumieć rozgoryczenie chłopca.

Ewcia spojrziała na mówiącego z uznaniem, a ten wyraz jej oczu zanotował pan Władysław na swoje dobro.

— Ładne mi rozgoryczenie!—zadrwił Boles zaczerwieniony.—Ciekawy jestem, co zrobiłbyś na mojem miejscu. Widzisz, że pies wystawia zajęcia, podchodzi, a tu chłop wrzeszczy nad tobą na całe gardło: „Nie tędy droga! To mój owies!”

— Może chłop się uniósł, przyznaję nawet; trzeba było mu jednak spokojnie powiedzieć — mówił tonem doradczym pan Władysław — że niech się tylko zgłosi do dworu, a szkodę zrobioną zapłaci mu papa. Ręczę ci, że zarazby umilkł.

— Wierzę w to — zaśmiał się ojciec. — Tylko proszę was o żadnym zwrocie nie mówcie nigdy chłopom, bo ja nie zapłacę i grosza.

— Jeśli jednak papa uzna to za uzasadnione — upierał się starszy syn.

— Nie uznam i kwita. Znam lepiej chłopów od was; umyślnie zrobi większą szkodę, aby mnie wyzyskać.

— Zależy to od woli papy — rzekł Władysław tonem uległości, ale w tych słowach czuć było, że on postąpiłby sobie inaczej.

Rozmowa tego wieczora jakoś się nie kleiła, i panie, zmęczone drogą, udały się wcześniej na spoczynek do swych pokojów:

Pod pozorem herbaty zostały w saloniku trzy osoby: matka, córka i syn.

Po chwili milczenia, gdy lokaj, roznoszący herbatę, usunął się, spytała matka cichym głosem:

— Władziu, jakże Ewcia?

— Niczego, byłaby nawet miła i przyjemna, tylko, że...

— Nienaturalna — dodała szybko siostra.

— Nawet tego nie powiem, ale ma dziwnie przewróconą główkę.

— Bo, proszę cię, Władziu, ona i mnie troszeczkę razi swą pewnością siebie... — mówiła matka zwolna.

— Wie mama, gdybym nie wiedział, kto ją rodzi, co zacz, wreszcie, że należy w pewnym stopniu do naszej rodziny... przypuszczałbym, mamo, że ona Bóg wie pod jakimi wpływami się wychowywała.

— Ale, mój Władziu, to takie młode stworze-

nie, zapewne wrażliwe i w dodatku rozpieszczone, jak każda jedynaczka, cóż dziwnego, że uległa tym i owym wpływom; ale to się zmieni wszystko, jeśli znajdzie zdrową radę i wyższą inteligencyę—tu spojrziała porozumiewawczo na syna.

— No tak, zapewne... tylko jako jedynaczka, będzie trudną do prowadzenia — odparł pan Władysław.

— Przedewszystkiem ona udaje — odezwała się z krytyką Irena. — Niby nie rozumie i nie wie, jak używać przyborów na gotowalni i niby naiwnie mnie się pytała...

— Cóż jej odpowiedziałeś, Irenko—spytała pani Świetnoska.

— Że i ja nie wiem.

— Bardzo dobrze, moje dziecko.

— A potem, mamó, Władzio i ja mówimy jak urządzilibyśmy życie, gdyby wszystko było w naszej mocy. I wie mama, co ona powiedziała?

— Cóż?

— Zaczęła mówić z partesu, niby jaki profesor, o celach życia i tym podobne rzeczy. To szczęście, że nikt, prócz nas nie słyszał tego.

— Co ty mówisz, Irenko? Ona tak mówiła?

— Władziu, powiedz!

— Istotnie, mamó—potwierdził pan Władysław.— Po naszych szczerych wynurzeniach było w tem dużo sztuki i udawania.

— No, proszę, ktoby się spodziewał?

— A przy kolacyi, z tym lasem i chłopami! Czy tak mówi dobrze wychowana panna? — spytała z przekąsem panna Irena.

— To wszystko można jednak zaliczyć, moje dzieci, na karb niedoświadczenia i brak obycia się z ludźmi. Młode to jeszcze!—westchnęła.

— Zgadzam się najzupełniej z mamą—odezwał się syn. — Naszym obowiązkiem, jako gospodarzy



i krewnych, jest uprzyjemnienie pobytu u nas, chociażby ofiarą pewną.

— Bardzo słusznie, mój Władziu — potwierdziła matka.

— Ona chce widzieć wiec i wybory... Ci ludzie z Podola wyobrażają sobie, że to coś niezwykłego — uśmiechnął się drwiąco; — ale chce, więc dobrze. Mojem zdaniem, tego rodzaju przyjemność możemy jej zrobić bez naszej ujmy.

— Tak, tak, mój Władziu.

— Irenka powinna i nadal być bardzo serdeczna i uprzejma, bo nie zapominaj, że ty jesteś dla niej gospodynią domu.

— Czy zapomniałam? — obruszyła się siostra. — Jestem aż nadto słodka i ustępuję jej we wszystkim.

— Wiem, Irenko — łagodziła matka. — Władziu mówi o przyszłości, bo jemu, podobnie jak nam wszystkim, zależy na honorze naszego domu.

— Ależ będę nadskakującą — zapewniła z uśmiechem ironicznym. — I bez Władzia wiem, co do mnie należy.

— Może mama zechce, pspie powiedzieć, żeby chętnie przystał na ich projekty wyjazdu na wiec do Kopowic — rzekł pan Władysław.

— To majątek Sobieradzkiego.

— A cóż to szkodzi? On jest moim kolegą, jednak do niego niema potrzeby zajeżdzać. Będziemy na odpuszcie nihy, wysłuchamy papy przemówienia, może i innego kandydata, i wyjedziemy.

— Dobrze, Władziu, pomówię z papą... — a po chwili dodała: — Irenko, przynieś nam herbatę.

Po jej wyjściu nachyliła się do syna i spytała cicho:

— Podobała się tobie?

— Dosyć; jest w swoim rodzaju ponętą nawet.

— Ożeniłbyś się z nią, mimo jej przywar?

— Wielki posag tak osładza jej wady, że stają

się zaletami, coś w rodzaju oryginalności — uśmiechnął się.

— I nie obawiasz się jej?

— Jak zostanie pod moim wpływem, zmieni się wkrótce.

— To prawda; ona taka młoda.

— Teraz, mamó, są tylko przygotowania; wkrótce rozpocznie się gra. Jako jedynaczka, jest ona przyzwyczajona do uległości, nawet dla swych kaprysów; do czasu musimy jej ulegać wszyscy: żadnych sprzeciwiań się, sporów, tłumaczeń...

— Rozumiem, moje dziecko; to dobra i pewna droga ..

— Niech mama Irenkę dobrze nastroi dla Ewci...

— Możeby jej zwierzyć się?...

— O nie, to zawczasie, zdradzi się i spłoszy Ewcię; tu trzeba wielkiej ostrożności, bo posażne panny to, jak ptaki, zdala czują myśliwego...

— Przecież ty nim nie jesteś, Władziu — obruszyła się matka — i gdyby ci się nie podobała, chociażby miała milion posagu, nigdy nie ożeniłbyś się z nią.

— To prawda, moja mamó. Nie dokończyłem jednak mego zdania, że takie panny każdego podejrzewają o polowanie na ich posag.

— Nad czem tak państwo konferujecie tajemniczo? — spytała Irenka, wnosząc herbatę.

— Mówiliśmy o niefortunnym odezwaniu się Bolcia. Po co wyjeżdżał z tym lasem, z tym chłopem? — mówił brat z niesmakiem.

— Tak, Bolesł postąpił sobie bardzo niezręcznie — rzekła Irena, siadając na foteliku — ale i ty, Władziu, zmieniasz chorągiewkę dla przypodobania się Ewci.

— Tego wymaga gościnność i takt ludzi dobrze wychowanych. Nie jestem jej nauczycielem, ażebym nauczał, co złe, a co dobre... Zależy mi

tylko na tem, aby jej było dobrze i przyjemnie u nas.

— Zastosuj się i ty, Irenko, do tego — radziła matka, popijając herbatę — bądź dla niej dobrą i rozumiałą.

— Już raz to słyszałam — odparła, chmurząc się, Irena.

— Tak bardzo kocham Wandzię — rozczuliła się matka — a będzie jej dobrze i miło u nas, jeśli córka będzie zadowoloną z pobytu.

— Dobrze, moja mamó — mówiła Irena. — A jaką suknię radzi mi mama wziąć jutro? Bo ta różowa już się opatrzyła.

— Hm... weź albo lila, albo kremową; i w jednej i w drugiej jest ci do twarzy.

— Weź kremową — doradzał brat — ja będę miał utro garnitur z surowego jedwabiu; będziemy ubrani w odcieniach jednego koloru, jak przystoi kochającemu się rodzeństwu — zaśmiał się.

— Ileż ty masz tych garniturów? — zdziwiła się Irena — gdybym ja miała połowę sukien i kostiumów, to ty!... I po co ci się tak stroić?

— U nas, w politycznych urzędach, zważają bardzo na ubiór. Chcę, czy nie chcę, muszę się stosować do wymagań.

— Chciałabym służyć w takim urzędzie: możeby dla mnie był hojniejszy.

Roześmieli się wszyscy; matka ją ucałowała i zwróciła się do syna rozradowana:

— Władziu, prawda, jaka ta Irenka dowcipna? Pan Władysław skinął głową na znak zgody.

— Wracając do sukni — zaczęła Irena — więc razem pogody mam wziąć kremową... ze względu na harmonię rodzinną...

— A w jakiej będzie Ewcia? — spytał pan Władysław.

— Pewno w białej, pikowej.



— Hm.. to dobry gust, bo i siostry hrabiego Fredzia ubierają się często w białe suknie.

— Czy one ładne?

— Dosyć, tylko pretensyj za sto tysięcy dukatów, a posagu nie mają i stu tysięcy centów.

— Nieszczególnie to świadczy o ich wychowaniu—krytykowała matka—bo zawsze powinno się pamiętać, zwłaszcza w stosunku do córek, że wedle stawu grobla.

— Nie tak, jak Ewcia, której zdaje się, że wszystko jej wolno, bo ma posag—dorzuciła zjadliwie Irena.

— Ewcię, jako jedynaczkę, można jeszcze wytłómaczyć—usprawiedliwiła matka—ale ileż znam innych!—westchnęła ze współczuciem.

— Albo ta Zosia Zawierzycka, która niby zajmuje się tylko kwiatkami, ptaszkami, a dziś radaby pójść zamaż!—rzekła Irena.

— Ciesz się mnie, Irenko, że masz taki zdrowy sąd o ludziach—mówiła matka z uznaniem.—Nie lubię plotek, ale ta Rózia Pojemka także nieszczególnie zachowywała się u Rudnickich.

Rozpoczęło się nicowane znajomych, bez żadnej złej myśli, tylko gwoli pożytkowi i sławie Irenki, gdyż obie panie nienawidziły obmowy, jak zresztą głośno zawsze i wszędzie oświadczały.

Na tej poufnej pogawędce skończył się miły wieczór rodzinny.

Nazajutrz przy rannem śniadaniu, po zwykłych powitaniach, szczegółowem dopytywaniu, jak nie przepędziły, uniewinnianiu, że psy tak szczekały i t. p., gdy ogólna rozmowa umilkła, odezwała się Ewcia:

— Zazdroszczę wujowstwu, że mieszkacie w Brześniku.

Spojrzała na nią z pewnem zdziwieniem i pani Świetnoska spytała:

— Dlaczego, moja Ewciu? Podolska ziemia się

nie przecież z urodzajności, nie tak, jak nasza podgórska.

— Nie myślałam o gatunku ziemi, ale że wujostwo gospodarujecie we wsi, gdzie jest chłop polski, z którym nas łączy język i religia wspólna.

— Tak się zdaje zdaleka — rzekł pan Świetnoski — ale chłop jest zawsze chłopem: ruski, czy polski, wszystko jedno.

— Jednak musi być różnica w życiu, mieszkaniu, zwyczajach, w stosunku do dworu. Irenko, możebyśmy zwiedziły zagrodę chłopską?

To żądanie zaskoczyło państwa Świetnoskich. Nawet wytrawny pan Władysław umilkł, udając wielkie zainteresowanie się słodzeniem kawy. Tylko pani Rokicka z uśmiechem dobrotliwym zwróciła się do krewnej:

— Wiesz, Celinko, jadąc do was, Ewcia cieszyła się, że pozna polskiego chłopca. U nas, jak ci wiadomo, niema ich zupełnie.

— Hm... stosunki nasze ze wsią są, Wandziu, dość obojętne i, ze względów zawleczenia chorób, ograniczone do nieodzownej konieczności.

— Irenko, ty nie znasz własnej wsi?! — zdziwiła się Ewcia.

— Czasem przychodzą jakieś baby z prośbami i mama daje im lekarstwa, ale ja nie mieszam się do tego.

— U nas niema dnia, żeby ta lub owa nie przysłała do dworu, mimo, że ojciec zobowiązał lekarza do bezpłatnego leczenia chorych we wsi, a u was jest lekarz?

— Nie wiem nic o tem — odpowiedziała zirytowana panna Irena.

— Co kraj, to obyczaj — wtrącił pan Świetnoski. — Na Podolu są inni chłopci, a u nas inni. U nas, chociażbym sprowadził najświetniejszego doktora z Wiednia, chłop woli pójść do cyrulika w miasteczku, bo wierzy, że tylko on go uleczy.

— A wie papa, o higienie chłopów warto jednak pomyśleć i zaradzić coś tej śmiertelności, zwłaszcza wśród dzieci chłopskich—odezwał się syn.

— Mój Władziu, bardzo mnie dziwi twoja propozycja. Wiesz, że chłopci mają swój samorząd, sami się leczą, pilnuje zarazy starostwo i żandarmerya, co ja mogę zrobić?

— Moznaby jednak wpłynąć, aby przestrzegali warunków higienicznych, czystości i leczyli choroby nie u znachorów i cyrulików, lecz u lekarzy.

— A cóż to mnie obchodzi? — obruszył się ojciec.—Czy to moi poddani? Czy odpowiadam za nich? Muszę płacić, jeśli który z nich palcem dla mnie ruszy, niechże sami się leczą.

— No tak, zapewne... ale sama ludzkość nakazuje...

— Co mi wyjeżdżasz z ludzkością! — zawołał ojciec.—Chłop jest moim wrogiem, gdzie może, to mi szkodzi, sam wiesz o tem najlepiej, i ja mam jeszcze dbać o niego, o jego szacowne zdrowie? A może o to jeszcze, co je i jak mieszka?... Co innego dawniej, gdy odpowiadałem wobec rządu za całą wieś, gdy chłop był moim robotnikiem, ale dziś? Oni wolni i ja wolny.

— Jednak są pewne obowiązki—rzekł z lekkim naciskiem pan Władysław.

— Ty będziesz je wykonywał, nie ja!—zawołał z gniewem ojciec.

— Papa zrósł się z inną tradycją—mówił syn łagodnie — a ja jestem wychowany na wzorach liberalniejszych.

— No, no, zobaczylibyśmy twój liberalizm, gdyby ci przyszło gospodarować na wsi! Zdaleka wszystko to ładnie wygląda: stosunki chłopów z dworem są patryarchalne, czułe, ale wejrzyj bliżej, a łuski spadną ci z oczu.

— Mój Stefku — wmieszała się żona — po co się unosisz? Wiara w lepszą przyszłość jest wła-



ściwością młodych, takich jak Władzio. Pozwól im się łudzić, bo to złudzenie jest ich szczęściem.

— Gdyby mi to mówił ktoś sentymentalny — mówił mąż wzburzony — rozumiałbym jeszcze, ale Władzio! Słyszałem co mówił z komisarzem Silnickim i Ocieskim o wyborach chłopskich i wiem dobrze, co sądzi o chłopach.

Wśród chwilowego milczenia rzekł pan Władysław:

— Co innego wybory, gdzie idzie o dobro kraju, a co innego mój osobisty stosunek z chłopem.

Zniecierpliwiony ojciec machnął ręką i mruknął:

— Niech tam, jakaś nowa fantazyja!

Milczenie przerwało pytanie Ewci:

— Cóż, Irenko, pójdziemy na wieś?

— Jeśli już chcesz, to zajedziemy do leśnika naszego — odpowiedziała z uśmiechem wyrozumiałym.

— Do leśnika?... To sługa dworski... Chciałabym widzieć gospodarza...

— Mogę paniom towarzyszyć do wójta — odezwał się pan Władysław — to podobno zamożny chłop i przyjmie nas chętnie.

Pani Rokicka spostrzegła, że całe towarzystwo jest zwarzone tem żądaniem Ewci i rzekła spokojnie:

— Ewciu, odłóż na drugi raz zaspokojenie swej ciekawości, teraz wujostwo nie mają czasu.

— Dobrze, mamó.

— Tak będzie najlepiej — zawołała panna Irena — na drugi raz uprzedzi się chłopca o naszej wizycie i poznasz ich chatę doskonale.

— Jeśli jednak kuzynka chce... — odezwał się pan Władysław.

— Nie, dziękuję... Zobaczę innym razem.

— Zależy najzupełniej od woli kuzynki. Ja sam jestem ciekaw, jak mieszka chłop dzisiejszy, bo

od wielu lat nie miałem sposobności, mieszkając w mieście, zbliżyć się do chłopca.

— Poznasz, Ewciu, zresztą chłopów na wiecu — odezwała się pani Świetnoska — bo, jak mi mówiła Irenka, wybieracie się na to zgromadzenie.

— Pragnęłabym bardzo — odpowiedziała Ewcia zarumieniona — tylko nie wiem, czy wujostwu nie zrobi to różnicy.

— Ależ żadnej! — zawołała pani domu. — Przeciwnie, opowiecie nam dokładnie, jak mówił wuj i inni, i co widziałyście na odpuscie. Sądzę, moja Wandziu, że panny pojedą pod opiekę panów, a my zostaniemy w domu.

— Moja Celinko, jeśli będę czuła się tak, jak dziś, a u was jestem znacznie zdrowsza, pojechałabym i ja chętnie na ten wiec. Jestem ciekawa tego i nie lubię puszczać córki samej, chociażby pod tak dobrą opieką.

— Zupełnie jak ja — odpowiedziała pani Świetnoska. — Jeśli podałam taki projekt, to tylko ze względu na two zdrowie, Wandziu.

— Jesteś bardzo uprzejma, Celinko, ale może Bóg da, że będę zdrowsza.

Tego dnia przy obiedzie zameldował lokaj, że przyszedł Szaja.

— Niech zaczeka — rozkazał pan Świetnoski.

Starsze panie po obiedzie usunęły się do dalszych pokojów, panny i dzieci poszły do ogrodu, ojciec zaś i pan Władysław przy czarnej kawie na ganuku kazali zawołać pacheiarza.

Szaja wszedł z Nuchimem, który poprzednio był już wysłany przez kahał, i obaj skłonili się pokornie.

— Co mi powiesz, Szaja?

— Co ja mam powiedzieć? Jasny pan dziedzic kazał, aby przyjechał Nuchim — wskazał na towarzysza — to ja posłałem furmankę swoją — ja wiem, że jasny dziedzic mi to zwróci — no i Nuchim przyjechał.

— Idzie o głosy wasze przy wyborach—mówił pan Świetnoski, puszczając kłęb dymu. — Ile chcecie?

— Co mamy chcieć?—odparł chytry Nuchim.—  
My swoje powiedzieli. A co pan dziedzie?

— Słyszałeś już; więcej nie dam.

— Nu, kahał nie może na to przystać.

— Po cóż przyjechałeś? — spytał ze złością pan Świetnoski.

— Jasny pan kazał, Szaja przysłał furmankę; dlaczego nie miałem przyjechać?

— Hm... byliście u Drewniaka? Mówcie prawdę, bo wiem.

— Co taki Drewniak!? — zawołał Szaja. — To golec, on sam nie ma nic, ale Brosz, to bogaty chłop, on daje trzysta guldenów.

— Kłamiesz! — oburzył się pan. — Nie wierzę, aby chłop dawał tyle.

— Po co mi kłamać? Czy jasny pan dziedzie nie dowie się? On daje; co ja temu winien?

— Słuchaj mnie — odezwał się pan Władysław do Nuchima — wy macie z miasteczka i powiatu żydowskich głosów czterdzieści?

— Nu, tak.

— Wy sądzicie, że od waszych głosów zależy wybór; otóż mylicie się. Mówił nam onegdaj starosta i komisarz Silnicki, że papa może liczyć na chłopów; rozumiecie?

— Dlaczego nie mamy rozumieć?

— Jakim sposobem to zrobią, to nie jest rzecz nasza, dość że zrobią, bo przyrzekli.

— Niech będzie i tak — mruknął wysłannik.

— Jeśli zależy na waszych głosach, to tylko dla honoru.

— Nu, a pański honor nic nie wart? — spytał z uśmiechem szyderczym Nuchim.

— To nasza sprawa — odpowiedział z dumą — i tylko ze względu na wasze dobro dajemy wam po pięć guldenów za głos.



— Jakto pięć? — zawołał zdziwiony. — My, to jest kahał, żąda pięćdziesiąt.

— Nie udawaj głupiego.

— Dlaczego mam udawać? Kahał kazał, ja mówię.

Pan Władysław zwrócił się do ojca i rzekł po francusku:

— Ja myślę, papo, że można im dać po dziesięć guldenów.

— Czteryśta? Czy nie za wiele?

— Uprzedzono nas w starostwie, że żydzi muszą być za nami.

— Hm... czterysta to wielki pieniądz — ale daj. Targuj się z nimi sam.

— Słuchajcie — mówił do żydów pan Władysław — ostatecznie powiedzcie, ile chcecie?

— To nie ja, to Nuchim — rzekł Szaja.

— To nie ja, to kahał żąda za głos pięćdziesiąt; co ja temu winien?

— Hm... żeby obeszło się bez targów, damy wam po dziesięć guldenów.

— Ja nie mogę! — zawołał Nuchim, rozkładając ręce.

— Chcecie, czy nie chcecie? Gadajcie!

— Proszę jasnego dziedzica, jeśli taki chłop, taki cham, jak Brosz, daje trzystą, co powinna dać jasna osoba?

— Idźcież sobie do Brosza; ja i tak daję czterystą.

— Jaśnie panie — rzekł Nuchim pokornie — ja zrobiłbym już interes, ale nie mogę, bo to kahał.

— Ileż, u dyabła, chcecie? — zawołał pan Swietnowski z pasyą.

— Ja już powiedział.

— Nie dam.

— To po co ja przyjechał?

— Abyś się przetrząś! — odparł, śmiejąc się, kandydat na posła.

— Słuchajcie — rzekł pan Władysław — ostatnie słowo, ostrzegam was: damy po piętnaście za gtos.

— Władziu, za wiele!

— Papo, niech znają żydzi pana! Cóż, chcecie, czy nie?

— Co ja mam robić? — lamentował Nuchim. — Ja widzę, że muszę przystać, ale jasny pan nie cofnie swoje honorne słowo?

— Nie.

— I my dostaniemy dwadzieścia korcy żyta, dziesięć pszenicy i czterdzieści korcy kartofli.

— Jakto, do sześciuset guldenów? — oburzył się pan Swietnowski.

— My mamy słowo jasnego pana; to więcej znaczy, niż weksel.

— O nie, albo pieniądze, albo zboże.

— To szachrajstwo. Nie dam ani ziarnka zboża — obruszył się dziedzic.

— Co za wiele, to za wiele! — rzekł stanowczym tonem syn. — I tak daliśmy za wiele; jeszcze chcesz zboża, którego wartość najmniej wynosi czterysta guldenów.

— Po co jasny pan się gniewa? Jak nie, to nie... Kahał mi powiedział, że mam wziąć, jeśli nie dwa tysiące, to połowę. Ja sobie porachowałem, że sześćset guldenów i zboże razem może zrobi tysiąc; mnie nie wolno brać mniej.

— A to idź sobie do stu dyabłów! — zawołał pan rozgniewany.

— Ja też idę.

Istotnie Nuchim zabierał się do odejścia, a Szaja rzekł:

— Jasny pan dziedzic niech pomiarkuje: po co zrywać, kiedy się związało?

W tej chwili spostrzegł pan Władysław przechodzącą aleją Ewcię i Irekę, zapragnął być przy nich i rzekł do ojca po francusku:

— Niech im papa ustąpi... Bez ich głosów wybór papy niemożliwy.

— Kiedyż to zdzierstwo!

— Wiem, że korzystają, ale od tego są oni żydami.

— Hm... niech i tak będzie.

— Papa uległ moim prośbom — odezwał się pan Władysław — i nie chce łamać danego przyrzeczenia. Dostaniecie więc to zboże, ale jeśli padnie choć jeden głos wasz na stronę przeciwną, umowa zerwana.

— Dlaczego ma paść?... Czy pan nie wie, że jak kabał każe, to tak być musi? Czy my pierwszy raz głosujemy?... Teraz idzie o to, gdzie jasny pan chce złożyć pieniądze... Może na ręce rabina?

— O nie, musimy wybrać człowieka neutralnego...

— Niech będzie Icio Bleichstein.

— Papa go zna?

— Znam, to porządny kupiec.

— Więc może papa złoży u niego sześćset guldenów...

— Nu, i kwit na zboże — dorzucił Nuchim pokornie.

— Mogę złożyć... Będę przed wyborami w miasteczku i dam... Idźcie; interes skończony.

— Nu, a moja furmanka? — spytał Szaja.

— Później, przy obrachunku.

— Niech i tak będzie.

Już zabierali się obydwaj do odejścia, gdy zawołał pan Władysław:

— Słuchajcie, trzeba nam szynków dla wyborców.

Zwrócili się pośpiesznie i Szaja rzekł:

— Dlaczego nie? Ja mam szynk pewny. Mój szwagier ma na ulicy głównej dobry i wielki szynk.

— Za mało jeden...



— Przy starostwie — mówił Nuchim — mój brat ma szynk; to będzie drugi.

— Ale musi być i kiełbasa.

— Dlaczego nie ma być? — zdziwił się Szaja. — Jak chłopci to lubią — splunął zlekka — to niech ona będzie.

— Hm... liczymy, że będzie naszych wyborców siedmdziesięciu...

— Jakto? Czy jasny pan widział, aby chłop sam przyjechał na wybory? On będzie miał ze sobą dwóch, albo trzech, a każdy głodny i chce wódki.

— Co tam gadać z wami! — odezwał się pan Świetnoski. — Na każdy szynk daję po pięć wiader wódki, po trzy beczki piwa i koniec.

— To za mało! — jęknął Nuchim.

— Wystarczy. Całe miasto spoić można.

— Czy jasny pan nie zna chłopów? — tłómaczył Szaja. — Oni piją wódkę, jak wodę, a jedzą, aż strach! Ja nie wiem, gdzie się mieści u nich.

— Nie dam więcej!

— Ja wiem, że jasny pan dziedzic nie zechce krzywdy biednych żydków. Jak oni więcej wydadzą, jasny pan im zwróci.

— O tem potem... No, idźcie już.

Już zeszli z ganku, zbliżyli się do bramy, i nagle obydwaj wrócili.

— Czego tam jeszcze? — spytał pan.

— Czy jasnym panom nie trzeba agitacyi? Kto będzie chłopów namawiał?

— Hm... prawda, papo. Że też nie pomyślałem o tem!

— Szaja pomyślał za jasnego dziedzica — uśmiechnął się zadowolony. — Po co ma myśleć jasny pan? Czy on nie ma co innego do roboty?

— A masz agitatorów?

— Dlaczego nie? Ja mam bardzo mądrych.

— I drogo?

— Co ma być drogo? Oni wezmą po dziesięć guldenów.

— Za wiele... Wystarczy po pięć.

— Hm... a ile ich trzeba?

— Dwóch, trzech...

— Na taką hołotę dwóch? Jasny pan żartuje... Ich potrzebuje być dwadzieścia, a może więcej?

— Nie, dosyć dziesięciu... ale, Szaja, pamiętaj, żeby byli dobrzy.

— Szaja za nich ręczy; czy to nie dosyć?

— A więc dobrze, niech będzie dziesięciu, ale wiedz, Szajo, już ja będę wiedział, co i czy oni robią.

— Ja się o to nie stracham — uśmiechnął się Szaja.

— Czegoż stoisz?

— Ja sobie myślę, że będą tacy chłopci, co nie zechcą gadać z żydkami... Oni będą krzyżeć głośno: „My nie chcemy jasnego pana na posta!” Taki głupi chłop on nie wie, że to dla niego wielki honor.

— Cóż z tego?

— To ja sobie myślę, że i na takich głupich jest sposób.

— A daj mi spokój, znów chcesz wycyganąć pieniądze.

— Dlaczego mam wycyganąć? Czy ja będę gadać z takim głupim chłopem?

— Wie, papa, — rzekł syn po francusku — może on poda dobrą radę.

— Cóż tedy, Szajo?

— Nu, ja sobie myślę, że jak się trafi taki głupi chłop, to on za bijatykę może pójść na policję.

— To, papo, niezły sposób. Powiem o tem Silnickiemu.

— Jasny pan może pogadać, ale to trzeba zrobić... Ja mam takich chrześcian w mieście, jak ja im pokażę chłopca, oni zaraz zaczną się bić... ale takiemu potrzeba zapłacić.

— Nie, nie chcę! — zawołał pan Swietnoski. —

Nie potrzebuję uciekać się do takich sztuczek; chłopci będą za mną.

— Czy ja o tem nie wiem? Ale co jasny pan zrobi z tymi głupimi? Jak oni zaczną krzyżeć: „My nie chcemy jasnego pana!” to oni mogą wykrzyżeć.

— Papa poświęcił już tyle — doradzał syn — niech papa doda tych kilka guldenów. Sposobów, wspomnianych przez Szaję, używa się nieraz; dla bezpieczeństwa można nająć kilku drabów.

— A co? Czy Szaja źle radzi? Czy to moje pierwsze wybory? Ja widział, że sam pan starosta tak robi; dlaczego jasny pan nie chce?

— Wiesz, Władziu, — mówił po francusku — nie mogę się jakoś zdecydować, nie lubię takich podstępów.

— Ależ, papo, — odpowiedział z uśmiechem w tym samym języku — takie skrupuły dobre wobec równych, ale nie wobec chłopów!

— Hm... to już sam układaj się z nimi; ja nie chcę o niczem wiedzieć.

— Słuchaj, Szaja, wybierz sześciu chłopów z miasta; dam im po trzy guldeny i niech zrobią, co do nich należy.

— Jasny panie, co znaczy sześciu? Ich i dziesięć za mało i co... trzy guldeny? Taki chłop bije, jemu może krew pójdzie, on nie zechce trzy... Ja będę szczęśliwy, jak on weźmie pięć... Ja i za sto nie zrobiłbym tego.

— Weź dziesięciu wreszcie, ale tylko po trzy guldeny.

— Co ja mam robić? Ja będę próbował, prosiłbym tylko o zadatek na szynki i na chłopów.

— Nie teraz, na dzień przed wyborami.

— Niech jaśnie pan dziedzic uważa, kiedy będę mieć czas zrobić umowę; do miasta daleko.

— Przyjdź wreszcie na dwa dni przed wyborami.



— A dziś nie można?

— Nie, nie dam.

Żydzi z głębokimi ukłonami odeszli.

Pan Władysław, wzięwszy kapelusz panama, obciągnąwszy elegancki garnitur z surowego jedwabiu, włożył monokl i szedł elastycznym krokiem, podnosząc się lekko na palcach, do panien, które właśnie rozmawiały o żydach.

— Irenko, czy to kupcy?

— Nie, to nasz pachciarz, Szaja; pewno targuje się o głosy przy wyborach.

— O jakie głosy? — zdziwiła się.

— Wiesz, Ewciu, ci żydzi chcą okropnie papę wyzyskać! Za oddanie swych głosów przy wyborach na papę żądają aż dwa tysiące guldenów! — mówiła Irena, przypomniawszy sobie głośne oburzenie ojca na wysoką sumę.

— Jakto? U was kupują się głosy?

— Widocznie, jeśli papa kupuje. Cóż cię to tak dziwi?

— Sądziłam inaczej o wyborach...

— Ach, Ewciu, wybory, jak powiada Władzio, są czystą komedią! — Zaśmiała się. — Ciekawa też jestem, ile im papa obiecał? — a widząc zbliżającego się brata, spytała: — Władziu, ile dał żydom papa?

Nie nie podejrzewając, odpowiedział z uśmiechem:

— Wytargowałem za sześćset.

— O, to dużo! — zganiała siostra.

Przyzwyczajony do niezdrowych stosunków kraju, zżył się z nadużyciami wyborczemi, uważał je za naturalne, a pomysł, podsunięty przez pachciarza, wydał mu się tylko zabawny, rzekł też tonem lekkiej pogawędki.

— A wiecie panie, ten Szaja jest jednak sprytny: sam ofiarował agitatorów i podał dowcipny sposób na chłopów?

— Jaki, Władziu?

— Doradził, by oporni wyborcy pobili się, jak u nas mówią we Lwowie, z baciarzami najętymi, *excusez le mot*.

— I pan na to się zgodził? — spytała Ewcia, poblądłszy.

— Dlaczego zaraz „pan?”

— I kuzyn to przyjął?

Niedobre przeczucie tknęło go, gdy posłyszał ton jej pytania. Szybko się namyślił i rzekł:

— Nie o mnie tu idzie i nie ja proponowałem... Przeciwnie, kuzynko, jako urzędnik polityczny, mam obowiązek przestrzegać praw i konstytucyi, czuwać nad wolnością wyboru, usuwać i karać wszelkie nadużycia, ale tu w grze jest ojciec i wyższa polityka.

— Jaka? — spytała głosem bezdźwięcznym.

— Niepodobna dopuścić do wyboru chłopskiego kandydata; to gotowa rewolucya.

— Kuzyn go zna? Jak się nazywa?

— Jest ich dwu: niejaki Drewniak i Brosz, obydwaj niebezpieczni; wprowadzić ich nie słyszałem, ale tak mówią ogólnie.

— Więc można przeciwdziałać, wpłynąć na wyborców; wyjaśnić im, jacy to ludzie dążą do sejmu...

— Wszystko to robi się, kuzynko...

— Więc po co te niemoralne sposoby, kupno głosów, nastawianie pułapek?

— Niestety, kuzynko, to są ciemne strony naszej konstytucyi. Tacy żydzi to karna masa, nie interesująca się najzupełniej rozwojem kraju, nie posiadająca żadnych przekonań; kto zapłaci, ten ją kupi, a ich głosy często decydują.

— Ileż mają głosów?

— Papa nam mówił — odezwała się Irena — że mają czterdzieści, a chłopci sto czterdzieści głosów.

— Więc po co obawiać się żydów? Na co kupować ich głosy?

— Jeśli głosy chłopskie się rozstrzelą na różnych kandydatów... głosy żydów zdecydują wybór.

— Tak... teraz rozumiem.

Szli dalej w milczeniu; po chwili spytała Irena:

— Cóżżeś tak pobladała, Ewciu?

— Może usiadziemy?

— Na mój ból głowy pomaga mi spokój i cisza... Pójdę na chwilę do swego pokoju.

— Odprowadzę cię, Ewciu.

— Może kuzynka oprze się — mówił pan Władysław, podając jej ramię.

— Nie, dziękuję.

— Jakże współczuję z kuzynką! Sam wiem, jaka to przykra rzecz ból głowy.

— Miewasz bóle głowy?—spytała siostra.

— Czasem, z przepracowania.

Ewcia usiadła w swym pokoju i tak głęboko się zamyśliła, że nie słyszała wejścia matki, która zaniepokojona przyszła do córki.

— Co ci jest, moje dziecko? — mówiła z tklivością macierzyńską. — Głowa cię boli? Może połóżysz się?

— Nie, mamo, głowa mnie nie boli, tylko nie chciałam być dłużej w ich towarzystwie, aby nie wybuchnąć.

— Ale o co? kiedy? za co?

— Czy mama wie — zaczęła z wzrastającym oburzeniem, które zarumieniło jej twarz i nadało blask oczom — że pan Świetnoski kupuje głosy żydów?!

— Któż ci to mówił? To jakieś plotki!

— Irena i Władysław powiedzieli mi i to najspokojniej, jak o rzeczy najmoralniejszej.

— To dziwne.

— Nie koniec, mamo; pan Świetnoski najmuje agitatorów i takich ludzi, aby pobili się z opornymi wyborcami.

— Ewciu, ty chyba przesadzasz!



— Może mama spytać się sama; chyba nie wyprą się w żywe oczy. A zresztą, mamó, czy ja kiedy kłamię?

— Nie, nie, moja Ewciu, tylko wydały mi się twoje słowa nieprawdopodobne...

— I mnie także wydawało się zrazu, że to jakiś przykry sen, że się przestęszałam; ale mówił mi o tem pan Władysław, nawet usprawiedliwił kupno głosów—zaśmiała się ironicznie.

— Hm... trzeba, moje dziecko, być wyrozumiałą na błędy ludzkie...

— To nie błędy, mamó, to niemoralność, to frymarchenie uczciwością!

— Nie przesadzaj znów, Ewciu... Jeśli jest taki zwyczaj przy wyborach, cóż dziwnego, że oni stosują się do niego?

— Zatem według tej logiki, jeśli inni kradną, powinnam i ja kraść?

— Daj spokój, Ewciu, nie jesteś bocianem, abys świat czyściła... Wyjedziemy i skończy się wszystko.

— O nie, moja mamó, chcę widzieć do końca te wybory. Po co mam żyć w złudzeniu?... Bardzo proszę mamy, zostańmy jeszcze...

— Jeśli przyrzekniesz być rozsądną i spokojną, to dobrze, a jeśli nie, to jutro pojedziemy.

— Czy nie jestem rozsądną? Czy nie poszłam do swego pokoju?... Powiedziałam nawet, że cisza uspokaja mój ból głowy, i wyjdę wkrótce.

— Już dobrze; posiedź tu jeszcze chwilę... Może co przeczytasz?

— Nie mam książek, a tych francuskich nie chcę ruszać.

— Przyjdźże za pół godziny, a pamiętaj, że przyrzekłaś mi być rozsądną.

— Dobrze, mamó.

W czasie wieczornej herbaty przyjechał pan Za-

wierzycki. Po prezentacji i zaznajomieniu się siedli wszyscy do stołu.

— Wpadłem, Stefanie, tylko na chwilę do ciebie, aby się dowiedzieć, jak stoisz z wyborami.

— Tak sobie... Zobaczymy...

— Moją radę powiatową masz za sobą.

— Dziękuję ci, Antoni; ale też masz dziwnego sekretarza, jakiś dziki człowiek!

— Sekretarz!—zdziwił się marszałek.—Ależ to bardzo dobry urzędnik i zacna dusza! Nie pojmuję, czem ci mógł się narazić.

— Jest źle wychowany — dorzucił pan Władysław z grymasem niesmaku.

— To mnie bardzo dziwi, gdyż jest to były właściciel obszernego majątku w Królestwie. Stracił go, ale nie ze swej winy. Hm... zapytam go...

— Po co tyle zachodu, Antoni? Widocznie był w złym humorze i dlatego przyjął nas kwaśno.

— A co słyhać ze starostwem? — spytał po chwili pan marszałek.

— Starosta przeprowadzenie wyborów zdał na komisarza Silnickiego i Ocieskiego; obydwaj energiczni i, zdaje mi się, bardzo życzliwi dla mnie.

— Więc starostwo zarządza u was wyborami?— spytała pani Rokicka.

— Tak, proszę pani — odpowiedział pan Zawierzycki, który, jako marszałek, miał częste starcia ze starostwem w sprawach urzędowych;—jest to jedna z ujemnych stron naszej konstytucji.

— Pan marszałek zapatruje się zbyt ujemnie na działalność starostw—bronił pan Władysław.

— Rozumiem, że pan, jako urzędnik polityczny, usprawiedliwia starostwa, ale ja, jako obywatel, czuję krzywdę, jaką nam starostowie wyrządzają.

— Jaką?...—spytał tonem trochę wyzywającym młody Świetnoski.

— Jaką?... Zechciej pan mnie wysłuchać i osądź. Namiestnictwo i starostwa [odziedziczyły wszystkie

wady biurokracyzmu austriackiego w załatwianiu spraw, a trzymając się dawnej tradycji, usiłują rządzić despotycznie, są przeciwnikami naszych praw konstytucyjnych i mają za punkt honoru lekceważyć prawa autonomiczne na korzyść praw państwowych.

— Hm... panie marszałku, powiedz mi jednak, czy starostwa zaszkodziły w czemkolwiek naszemu stronnictwu?—rzekł pan Władysław z uśmiechem pewnością zwycięstwa.

— Dotychczas są starostowie z nami, to prawda, ale niech się nam karta odwróci, ci sami starostowie, jako posłuszne narzędzia rządu, będą nas tak traktowali, jak dzisiaj chłopów — kończył z goryczą marszałek.

— To są tylko przypuszczenia, nie fakty — odpowiedział młodzieniec.—Dziś my górą, i póki będą wybierani nasi posłami, niema żadnej obawy zmian.

— Daj to Boże—westchnął marszałek—ale nie zapominajmy, że chłopci się ruszyli, że dziś już mają dziesięć mandatów, a jeśli tak pójdzie dalej, sejm za trzy, cztery kadencje będzie się składał w połowie z posłów chłopskich.

— Jesteś pesymistą, mój Antoni — odezwał się kandydat na posła. — Zobaczysz sam, kto zwycięży w naszym powiecie!

Lokaj roznosił pieczyście i rozmowa polityczna się przerwała. Mówiono o Podolu, o Nauheimie, o nowych wrażeniach. Wśród chwilowego milczenia spytał marszałek:

— Będziesz, Stefanie, na wiecu?

— Tak jest, zrobię to ustępstwo od swoich zasad i powiem chłopom, co mogę dla nich uczynić.

— Bardzo dobrze, i pozwól mi, Stefanie, jako swemu przyjacielowi, zrobić ci uwagę, abys trzymał na wodzy wrodzoną ci porywczosć.

— Ja? Ja jestem porywczy?—zaśmiał się.

— Znamy się tyle lat, a zresztą apeluję do pani, niech sama powie.



— Pan marszałek ma słuszość. Stefan to najlepszy człowiek, ale istny proch zapalny; potem żałuje sam, ale w pierwszej chwili wybuchnie.

— A co, Stefanie?—uśmiechnął się marszałek.— Znamy cię, kochanku. Nie dajże się porwać krewkości na wiecu. Wysłuchaj skarg chłopskich i narzekañ; prawda, że dużo w nich przesady, ale, mówiąc między nami oni są przeciążeni podatkami i czasem za szorstko traktowani.

— Zastosuję się do twojej rady, Antoni — odparł trochę kwaśno pan Świetnoski;— ułożyłem zresztą sobie, co im powiem.

— Wolno mi wiedzieć? Bo tego dnia będę zajęty i nie stawię się na wiecu.

— Hm... wiesz, Antoni, wspomnę o kolei, fabryce, o gminie, coś nie coś o drogach i t. d.

— Nie zapomnij o ustawie łowieckiej...

— Dobrze, mogę i o niej powiedzieć...

Ewcia i pani Rokicka, zwłaszcza pierwsza, przysłuchiwały się bardzo uważnie całej rozmowie. Młoda panna chciała kilkakrotnie rozpytać się o ten lub o ów szczegół, powstrzymywał ją jednak wzrok matki, która nie życzyła sobie, aby córka uczestniczyła w rozmowie panów.

— Czy i pan Władysław będzie na wiecu? — spytał marszałek.

— Wybieramy się z całym dworem — odpowiedział z uśmiechem. — Panie z Podola są ciekawe zebrania chłopskiego, a mama, Irenka i ja towarzyszymy.

— O, dla pań—zwrócił się marszałek do przyjezdnych—wiec będzie ciekawy. Nasz chłop jest bardziej uświadomiony, aniżeli u was, w tem i owem ma poczucie praw obywatelskich i obowiązków, naturalnie, wszystko to w kolebce, zaprawione goryczą, często nieuzasadnioną, dużo przesady; ale to materyał na przyszłość, jeśli tylko potrafimy dobrze ich wychować.

— Czy pan marszałek sądzi, że wiec odbędzie się spokojnie?— spytała pani Rokicka.— Obawiam się awantury.

— Ależ, pani, w wiecu uczestniczą przeważnie sami gospodarze, ludzie dojrzały; mogę ręczyć za spokój.

— Nie tak bardzo, panie marszałku — uśmiechnął się pan Władysław — bywają też bijatyki w końcu.

— Byłem świadkiem kilku wieców, odbyły się spokojnie, a że krzyczą, hałasują, mówią nieparlamentarnie, mój Boże, przecież nie możemy od nich wymagać salonowego wychowania.

— Ja jestem ciekawa najpierw przemówień pa-py, a potem tego Drewniaka—odezwała się Irenka.

— Drewniaka? — uśmiechnął się lekceważąco marszałek—znam tych demagogów, bałamucących lud! Obiecują chłopom złote góry, niemożliwe ulgi, przywileje, walą na nas góry oskarżeń, jatrzą chłopów, a koniec końców nic nie zrobią.

— To oni tacy?—rzekła Ewcia.

— Takich znałem; może Drewniak inny, podobno człowiek wykształcony... A nie mówiłeś z nim, Stefanie?

— Nie, poprostu wyrzuciłem go ze wsi.

— Tak?—zdziwił się marszałek.

— Ścisłe mówiąc, zawołałem jego ojca, wytłómaczyłem staremu, aby pozbył się syna z chaty, i koniec.

— Sądziłem, że pomówisz z młodym, porozumienie w takich razach lepsze, aniżeli walka.

— Możebyś mi radził zaprosić i Brosza? — zaśmiał się ironicznie.

— Hm... Brosz? To chłop uparty i bez wykształcenia, z takim trudno się zejść na gruncie neutralnym, ale kto wie, czy nie przeciągnąłbyś Dre-

wniaka na swoją stronę i odrazu miałbyś poparcie jego stronników.

— Jeszcze jest czas, może i spróbuję --- rzekł wymijająco.

— Taki syn chłopski i Polak jest dla nas ciekawym zjawiskiem—odezwała się pani Rokicka.

— A kuzyn go zna?—spytała ciocia.

— Widywałem go młodym chłopcem, gdy przyjeżdżał ze szkół do naszej wsi.

— Więc pan mógłby ułatwić — radził marszałek—zbliżenie się ojca z Drewniakiem.

— Jeżeli panie zależy na tem, mogę to zrobić—odpowiedział dla przypodobania się Ewci, której ciekawość spostrzegł.

— Hm... zobaczymy... hm... pomówimy jeszcze o tem—dorzucił pan Swietnoski.

Już miano powstać od stołu, gdy odezwał się marszałek:

— A co słyhać, Stefanie, z żydami?

Ewcia zarumieniła się i poruszyła niespokojnie na krześle, uspokoiła się jednak natychmiast pod wzrokiem matki.

— Zdarli mnie, ale są za mną.

Marszałek sposepniał i kończył pić herbatę. Pani Rokicka, pragnąc wyjaśnienia, aby uspokoić córkę, spytała:

— Co pan rozumie pod słowem „zdarli?”

— Hm... musiałem pani dobrodziejko dać pieniędzy na kahał; taki u nas zwyczaj wyborezy — westchnął, szczerze żałując pieniędzy.

— To bardzo smutny objaw—dorzuciła pani Rokicka.

Ewcia nie spuszczała oczu z marszałka, który może i wyczytał w nich pytanie, bo rzekł:

— Jest to zło wielkie, ale zło konieczne, proszę pani. Chłop nam nie dowierza, a my nie umiemy trafić do niego; biorą go na lep obiecank demagogdy, a na wybór ich nie możemy pozwolić, ratuje-



my się tedy głosami żydów. Bóg da, że chłopci przejrzą, zrozumieją, że my nie jesteśmy ich wrogami; i chcemy równej sprawiedliwości dla wszystkich; wówczas obejdziemy się bez głosów żydowskich... Dziś jest to prawie koniecznością.

W czasie tych słów twarz pana Władysława rozjaśniła się; uśmiechnął się zadowolony i dodał:

— Mówiłem dziś to samo kuzynce, co przed chwilą pan marszałek, że dla uniknięcia większego zła, obiera się mniejsze...

— Jednak to rzecz przykra — westchnęła pani Rokicka.

— Nawet wysoce niemoralna — powiedział marszałek — ale co mamy robić, chcąc ochronić siebie i lud od czerwonej demagogii? Poznacie zresztą panie na wiecu, jacy to obrońcy narzucają się naiwnym chłopom.

Wkrótce wstano od stołu.

Marszałek odmówił zostania na kolacyi, śpiesząc się do domu; przyrzekł natomiast wizytę swych pań w tych dniach.

Przy kolacyi pani Rokicka pochwaliła gorąco marszałka.

— Tak, tak, to dobry człowiek — rzekł gospodarz domu — tylko za wiele trzyma o sobie, każdemu daje nauki, robi uwagi i zdaje mu się, że bez niego, jako marszałka, zginąłby powiat.

— Pan Zawierzycki — ujęła się Ewcia za nieobecnym — wydał mi się bardzo rozumnym człowiekiem.

— Szkoda, że chory — dorzucił pan Władysław z uśmiechem.

— Cóż mu brakuje? — spytała pani Rokicka, zainteresowana.

— Choruje na manię zasad — zaśmiał się. — Dla zasady urzęduje, z zasady zaniedbuje gospodarstwo, zjada obiad, idzie spać, wszystko i wszyscy redukuje

się u niego do zasad. To dziwne, że nie spytał ciotki o zasady!

— Nie spostrzegłam tego — mówiła Ewcia nachmurzona, podobały się jej bowiem wygłoszone przez marszałka poglądy.

— Nie miał sposobności, kuzynko — uśmiechnął się pan Władysław — ale wynagrodzi to sobie sownie innym razem.

I ojciec i matka uśmiechnęli się, radzi z dowcipu syna.

— Czy pani Zawierzycka przyjemna?

— Nawet bardzo — odpowiedziała pani Świetniska. — Tylko wiesz, Wandziu, ona jest zbyt zaślepiona w swych dzieciach, świata nie widzi po za niemi.

— To dosyć zwykły los kochających matek — rzekła pani Rokicka.

— Każda z nas kocha swe dzieci, ale Wandziu, jej się zdaje, że tylko jej dzieci są najmądrzsze i najpiękniejsze.

— Dużo ma dzieci?

— Troje: dwie córki, ładne panny, i syn w szkołach...

— Mamo, chyba Julcia nie należy jeszcze do panien; to dziecko.

— Moja Irenko, wiem, co mówię... Zosia ma przeszło dwadzieścia lat, a Julcia trzynaście.

— Czy Zosia jest ładna? — spytała Ewcia.

— Jak w czyim guście; dla Władzia — rzekła z uśmiechem Irena — podobno bardzo ładna.

— Tak?

— Irenko, po co ta przesada? — zawołał z żywością brat. — Istotnie, panna Zofia jest ładna, i gdybym od kobiety wymagał tylko piękności, podobałaby mi się napewno, ale jej dusza śpi, a nie rozumiem, nie tylko miłości, ale nawet podobania się bez łączności i harmonii dusz. Piękność przemija; dusza jest wieczną.

— Bardzo ładne zdanie — pochwaliła z uśmiechem pani Rokicka;—szkoda jednak, że tak mało mężczyzn hołduje tej zasadzie.

— Władzio był zawsze takim idealnym eutyziastą — odezwała się matka ze szczerem uznaniem.

— Powinszować wam takiego syna — mówiła pani Rokicka z uprzejmym uśmiechem — bo dzisiejsza młodzież jest bardzo zmateryalizowana.

— O, nie Władzio! — zaprzeczyła matka.

Po kolacyi obie panny przechadzały się po gan-ku, a Irena, nachylając się, szepnęła:

— Ewciu, powiem ci coś pod sekretem.

— Cóż takiego?

— Wiesz, Zosia Zawierzycka jest zajęta Władziem...

— Zkąd wiesz?

— Sama się przyznała, gdy byłyśmy z mamą u nich.

— A kuzyn Władysław?

— Dawniej mu to pochlebiało; nie bardzo jej nawet wówczas nadskakiwał, jednak zawsze więcej aniżeli innym; teraz, sama słyszałaś, zmienił się.

— Biedna dziewczyna! — rzekła ze współczuciem Ewcia.

— Dlaczego?

— To musi boleć, gdy się kocha, a nie jest się kochaną.

Irena zaśmiała się wesoło, mówiąc:

— Sama sobie winna, bo była niemądra!



## X.

W przeddzień wyjazdu na wiec pan Władysław, upatrzawszy stosowną chwilę, rzekł do ojca:

— Czy Stępalski z Wiktorówki jest wierny i uczciwy?

— Na złodziejstwie nie złapałem go, i ma tę zaletę, że posłuszny na skinienie.

— Czy będzie dziś u papy?

— Oczekuję go lada chwila, bo dziś sobota, dzień wypłaty robotnikom, a takiego dnia nie opuści—uśmiechnął się.—A dlaczego pytasz?

— Papa pamięta, co mówił Silnicki?

— O czym? — spytał, zapalając cygaro.

— Że dla zachowania pozorów powinien papa przemówić na wiecu...

— No, tak, i cóż z tego?

— Papa, przemówiwszy na wiecu, ułatwi bardzo pracę Silnickiego i Ocieskiego, gdyż będą mogli bardziej naciskać prawyborców, powołując się na korzyści wyboru papy na posła.

— Teraz rozumiem grę—uśmiechnął się.

— Nie dosyć jednak mowy, przychylnej żądaniom chłopskim, ale trzeba uznania z ich strony.

— Sądzę, że będę je miał, gdy im palnę mowę o kolei, zarobkach i t. d.

— Hm... zapewne, ale trzeba mieć pewność, że uznają słowa papy... Zależy mi prócz tego, aby ciocia i Ewcia widziały powodzenie papy.

— Nie kołuj, jedź prosto—zaśmiał się ojciec.— Po co te omawiania?

— Widzi papa — mówił syn spokojnie — okrzyki i brawa są zaraźliwe, tłum można porwać lichą mową, byle była wypowiedziana z patosem i deklamacją.

— Do czego to zmierza?

— Zaraz, papo, się wytlómaczę... W teatrze tego rodzaju podniecie tłumu spełnia klaka teatralna, mojem tedy zdaniem, coś podobnego należy urządzić na wiecu, aby powodzenie papy było zupełne.

— Hm... hm... więc co?

— Można polecić Stępalskiemu, aby zebrał kupę ludzi, wszystko jedno jakich, niech im da wódki i stawi się z nimi na wiecu. Gdy papa skończy, niech wrzeszcza: „To nasz poseł”, czy jak tam. byleby gardłowali za papą. Ręczę, że tłum ulegnie ich krzykom.

— To nowy wydatek, Władziu—zauważył z westchnieniem ojciec.

— *Le jeu vaut la chandelle*—zaśmiał się syn.

— To przyszłość pokaże—rzekł ojciec. — Hm... a jak stoisz z Ewcią?

Pan Władysław rozejrzał się wokoło i zniżywszy głos, mówił:

— Ciocia mi sprzyja. Ująłem ją opowiadaniem, co grozi pannom, wychodzącym za mąż za nieznanym bliżej ludzi.

— Hm.. to niezły sposób... A Ewcia?

— Z nią jestem niewyraźnie, bo to rozkapryszona jedynaczka; do czasu ulegam jej zachciankom...

— A niema ich dosyć?—zapytał ojciec.

— Jak na tak krótki pobyt—wystarczy... Teraz najnowszą jest chęć poznania Drewniaka.

— A to zkąd?

— Ten nieznośny marszałek podsunął jej tę myśl swem gadaniem... Wynajduję przeszkody, trudności, lecz ona nie chce zrozumieć, że nie życzę sobie tej znajomości.

— No, chyba Drewniaka nie wprowadzisz do nas, mój Władziu?

— Na razie nie myślę, chociaż jako człowiek

liberalny, powinienem go przyjąć, jak brata—odpowiedział drwiąco.

— Czyżbyś go zaprosił?—zdziwił się ojciec.

— Mój papo: *qui veut la fin, veut les moyens*, jeśli uznam to za potrzebne, papa nie weźmie mi chyba za złe?

— Hm... wolałbym tego unikać.

— I ja.

— A cóż na to matka i Irenka?

— To samo, co i papa; jeśli trzeba, to trzeba.

— Dziwnie wychowano tę dziewczynę! — rzekł ojciec.

— Bardzo dziwnie... Panna tak urodzona i z takim posagiem, powinna być czuła, poetyczna, wrażliwa, jak mimoza, dbać o elegancję, modę...

— Zmieni się ona, zmieni, tylko zamaż wyjdzie; kaprysy i ideały pójdą w ką, bo przyjdą dzieci...

— I ja jestem tego pewny.

Milczeli chwilę.

W ciszy popołudniowej posłyszeli chód konia, uderzającego podkową o kamienie przydrożne.

— To Stępalski. Zaczekaj, Władziu, pogadamy z nim.

Widząc przechodzącego lokaja, zawołał:

— Hej, Jakóbie, zawołaj do mnie Stępalskiego!

Stępalski wszedł krokiem ciężkim, w butach wysokich, zapyłonych, w podniszczonej marynarce, szczelnie zapiętej, z brodą rozwichrzoną, ze śladami pyłu na twarzy opalanej i skłonił się niezgrabnie, mnąc czapkę w rękę.

— To ty, Stępalski?

— Do usług, jaśnie panie.

— Co słyhać nowego?

— Chwała Bogu, wszystko dobrze... Przyjechałem wedle obrachunku.



— Ileż tam tego?

— Za zwózkę i młockę sześćdziesiąt dwa złote reńskie i 35 centów.

— Jest, jaśnie panie — i podał arkusz zapisany.

— Hm... dobrze. Sprawdzę i pieniądze dam...  
A niech Stępalski słucha...

— Słucham, jaśnie panie.

— Czy Stępalski wie, że jutro wiec chłopski w Kopowicach?

— Coś mi mówiono... ale to nie moja rzecz; ja jestem od gospodarstwa.

— Trzeba, ażeby Stępalskiego to interesowało.

— Słucham, jaśnie panie.

— Pojadę dwoma powozami na ten wiec. Trzeba, ażeby ktoś miał staranie o koniach, dozorował furmanów, bo nie zajadę do dworu... Będę przemawiał do chłopów...

— Jasny pan? Do chłopów?

— Cóż się dziwi Stępalski? Będę miał do nich mowę kandydacką.

— Jaśnie panie, czy oni aby zrozumieją?

— W tem nie głowa Stępalskiego; to moja rzecz; chcę i mówię.

Ekonom spokorniał i bąknął zmieszany:

— Wola jasnego pana.

— Hm... Otóż Stępalski tam pojedzie przodem tak około dziesiątej, ja będę z południa.

— Słucham, jaśnie panie.

— Hm... Otóż mówię... Władziu, powiedźże Stępalskiemu, co ma zrobić.

— Dobrze, papo... Stępalski weźmie parobków, fernalów, wogóle ludzi dworskich ze wszystkich trzech folwarków...

— Ale zostaw w domu potrzebnych! — upomniał właściciel.

— Rozumiem, jaśnie panie.

— Można wziąć i ze wsi, ale tylko przychylnych

dla dworu. Da im Stępalski wódki, przekąsek, obiecać jakieś napiwne i niech idą na wiec.

— Ho, ho, nie trzeba im dwa razy powtarzać! — zaśmiał się. — Polecą i bez wódki.

— Proszę słuchać dalej — rzekł surowo pan Władysław.

— Rozumiem, jasnie panie.

— Tych ludzi wszystkich będzie miał Stępalski na oku. Gdy papa zacznie mówić, niech krzyczą: „Wiwat nasz pan!” i niech klaszczą w dłonie... Po skończeniu mowy znów niech wołają: „Wiwat nasz poseł! Niech żyje!”

— Czy tylko taki cham zrozumie, kiedy trzeba krzycheć?

— Od tego będzie Stępalski. Sądzę, że nie będzie się zwierzał chłopom.

— Ja?! Chłopom?! Ho, ho, daleko im do mnie!

— Bardzo dobrze.. Stępalski zrobi to niby sam z siebie. My o niczem nie wiemy i sekret być musi — kończył twardo.

— I słówka nie pisnę.

Skłonił się głęboko.

— Na wydatki papa da Stępalskiemu — rzekł z wyrazem ulgi.

— Niech Stępalski idzie za mną do kancelarii. Policzymy się — powiedział właściciel, wstając z ławki.

Pan Władysław został sam.

Wygodnie ułożył się na krześle z głębokiem oparciem, nogi wyciągnął, zapalił suche cygaro, przyrzwał się ogniom brylantu w pierścionku i pograżył się w myślach.

Dziwna rzecz, jak mu się szczęści w tym roku. Ojciec, który zazwyczaj tak skąpi, był hojny dla niego. Co prawda, zasłużył rzetelnie, bo gdyby nie on i jego stosunki, las stałby nietknięty, a u ojca były-

by pustki w kasie. Następnie ten pomysł, aby ojca wybrano posłem... Pierwszy projekt wyszedł od matki, to prawda, ale i przed Gutenbergiem miewano pomysły liter ruchomych, a jednak wynalazcą był tylko Gutenberg!

On, Władysław, przeprowadził wszystko, i dokonał wszystkiego. Namówił marszałka do zrzeczenia się, wysunął, dzięki cudownie przeprowadzonemu flirtowi z Zosią, ojca na pierwszy plan. Tak, to było arcydziełem, i słusznie może być dumny z niego. — Uśmiechnął się zadowolony.

Ugłaskał starostę listem radcy, zniewolił komisarza dla ojca, zawarł umowę z żydami, skłonił ojca do przemówienia na wiecu i zapewnił mu oklaski. Wszystko to on zrobił! Czuł się wielkim.

Istotnie, ten cały świat należy tylko do mądrych, jak on! Ludzie, to marynetki, dające się nakręcać trudniej lub łatwiej, ale zawsze ulegną i muszą się kręcić według woli mistrza.

Ojciec zostanie posłem, to nie ulega wątpliwości... Chłopi muszą uleść zjednoczonym siłom stronnictwa... Wówczas nominację na komisarza otrzyma bezwzględnie. Wystarczy, gdy ojca podnieci do opozycji przeciw projektowi rządowemu np. do tej kolei dla celów wojskowych, łączącej Węgry z Galicyą, a obciążającej budżet krajowy. Dla złagodzenia opozycjonisty Świetnoskiego daje się nominację Świetnoskiemu; to rzecz tak zwykła, tak przyjęta... Zdawało mu się, że nominację ma już w bocznej kieszeni; dotknął się: nie, jeszcze niema, ale że wkrótce będzie, jest pewny.

Ma też powodzenie u kobiet... Nie licząc lwowskich zwycięstw, taka np. Zosia czułaby się najszczęśliwszą, gdyby zechciał z nią się ożenić... Ona jest ładna, bardzo ładna nawet i byłaby uległą, wyrozumiałą żoną, wpatrzoną tylko w jego oczy... ale co to za posag? Kilkadziesiąt tysięcy marnych guldenów



i to pewno niepłatnych, aż po śmierci ojca! To jest nic; gorzej, to tylko ciężar, a w dodatku taki teść nieznośny, maniak zasad...

Nie, takiej żony nie chce, chyba... chyba w ostateczności, a zresztą, z kąd te myśli o Zosi? Ma lepszą partycję pod ręką... Ewcial... Prawda, że nieznośna ze swoją prawdomównością, pojęciami demokratycznymi, niepojmowaniem subtelności flirtu, poezji, sztuki... ale bogata, i gdyby ją ubrał on sam, modnie, dobrał kolory do jej twarzy, włosów, figury, byłaby wcale ładna, zupełnie *comme il faut*... Teraz ma z nią krzyż pański, ale to tylko do chwili ślubu. Jeszcze ze dwa, trzy miesiące starań... wizyta na Podolu... oświadczenie, no, i ślub w karnawale, wypłata posagu, podróż poślubna za granicę, urządzenie domu we Lwowie. Kupiłby pałacyk... tak, ten byłby najwłaściwszy, tylko który? Czy ten ładny przy ulicy Sykstuskiej, czy przy ogrodzie jezuickim? Jeden i drugi równie elegancki...

Z tych słodkich marzeń zbudził go głos ojca:

— Chodź, Władziu, zobaczymy konie i powozy, którymi pojedziemy do Kopowic.

— Dobrze, papo — odpowiedział, przeciągając się, jak po śnie rozkosznym.

Na drugi dzień przed południem panna Irena w bledo-liliowej sukni, z aksamitnym, fioletowym kołnierzem i mankietami, smukła, z ładną figurą, uśmiechnięta weszła do gabinetu, w którym gromadzono się przed wyjazdem. Gdy zobaczyła Ewcię w tej samej popielatej sukience, w której przyjechała do Brusznika, przebiegł po jej ładnej twarzy uśmiech lekceważenia.

— Jakaś ty piękna i strojna! — zawołała Ewcia szczerym głosem.

— Tylko w twoich dobrych oczach — odpowiedziała zadowolona Irena. — Wzięłam tę sukienkę, bo, jak zwykle, na odpuszcie są ci i owi z sąsiedztwa.

— Ależ ty, Irenko, każdego dnia ubierasz się w inną suknię, i w każdej bardzo ci do twarzy...

— Dlaczegoż ty ich nie zmieniasz? Masz pewno więcej sukien odemnie.

— Mam mało sukien; kilka białych i tę do podróży; one wystarczają dla mnie, bo nie jestem tak piękna, jak ty, Irenko.

— I ja ubierałabym się skromnie, gdybym była na twojem miejscu.

— Na mojem? Dlaczego?

— Gdybym była bogatą jedynaczką, nie dbałabym o zdanie ludzi i ich krytykę.

— Nie jestem bogatą i nie jestem jedynaczką, bo mam brata; również zależy mi na ludziach... ale nie przywiązuję wielkiej wagi do strojów, bo nie mam ani twego ładnego wzrostu, zgrabnej figury, ani twej piękności, dla której opłaci się stroić i królować.

— Ewciu, co ty mówisz! — zawołała Irena ze śmiechem zadowolenia. — Nie sądź, że jestem tak naiwna, abym brała twe słowa na seryo.

Wszedł pan Władysław, w ciemnym, eleganckim garniturze, wyświeżony, naperfumowany, z wąsikami sterczącymi w górę i rzekł z progu:

— Panny już gotowe i czekają! A to prawdziwa niespodzianka!

— Mama i ciocia są w salonie — odpowiedziała Irena — tylko powozy... Właśnie zajeżdżają... Chodź my, Ewciu.

— Jakże siadamy? — spytał pan Świetnoski na ganku.

— Młodzi z młodymi, a my starsi osobno — odpowiedziała pani domu.

Najpierw usiadły starsze panie z panem Świetnoskim, a w drugim powozie panny z panem Władysławem.

Powóz nie wyjechał za bramę, gdy panna Irena zawołała na stangreta:

— Stój! Stój! — a do lokaja: — Idź do Broni, niech ci da chusteczkę; leży na gotowalni.

— Gdybyś się, Irenko, zakochała, zapomniała-byś o wielu rzeczach najpotrzebniejszych — zażartował brat.

— Przeciwnie, Władziu, pamiętałabym o wszystkim, bo miałabym komu się podobać, a dla siebie samej nie opłaca się starać.

— Czy i ubierasz się dla innych?

— A co to, to nie; lubię stroje dla strojów.

Wyjechali za wieś.

— Jaki u was piękny krajobraz — odezwała się Ewcia. — W głębi siniejące góry, a bliżej faliste podgórze.

— Kuzynka jest bardzo względna dla naszej okolicy. Ta pustka jest nudna w porównaniu z widokami Niemiec.

— Dla Niemca jego kraj jest piękny, a dla mnie taki krajobraz i polska jesień, która ma w sobie słodczyz spokojnego smutku.

— To już zatracą szowinizmem — rzekła Irena.

— Wcale nie — mówił brat — szowinizm jest to chwalenie i aprobowanie błędów i wad np. naszej szorstkości i braku estetyki.

— Naszej?—zdziwiła się Irena.

— Nie mówię o ludziach z naszej sfery, Irenko, ale o wadach narodowych, dajmy na to chłopskich.

— Tutejszych chłopów — przemówiła Ewcia — nie znam osobiście, nie wiem, czy są szorstcy, dziś zobaczę; jednak braku estetyki zarzucić im nie można.

— Gdyby kuzynka była w ich chacie i widziała ich tak zwane obrazy, ohydne bazgroty, ich skrzywnie dziko malowane, zmieniłaby kuzynka swe optymistyczne zapatrywania.

— Wątpię... Już samo szukanie koloru na



skrzyni wskazuje na pewne zamiłowanie piękna; dość zresztą spojrzeć na ich ubrania—tu wskazała na przechodzącą grupę włościan — te białe, wyszywane granatowe sukmany, świecące pasy, kamizele kolorowe, wstążki u koszuli, zdobne kapelusze mówią o dążności estetycznej, i to u mężczyzn, a cóż dopiero barwne stroje kobiet...

— No, tak, zapewne... Miałem jednak na myśli poezję i muzykę... — bronił się pan Władysław.

— Z poezji ludu czerpali wszyscy poeci wielcy, jak ze źródła, swe najpiękniejsze natchnienia, a muzyka Chopina wzorowała się na ludowej.

— Z kuzynki, jak widzę, niebezpieczny przeciwnik. Składam broń.

— Ewciu, czy ci to nie pochlebia?

— Kuzyn uznał widocznie, że mam słuszność— odpowiedziała poważnie.

— Jednak ty, Ewciu, jesteś dziwnie oschła — rzekła Irena.

Tak dobrej sposobności nie chciał opuścić pan Władysław, więc dodał:

— Zdaje mi się, że nigdy serce kuzynki nie zabiło żywiej; zawsze zimna, niedostępna, zamknięta w sobie.

— To dziwne—zaśmiała się swobodnie—bo mama i koleżanki uważają mnie za zbyt porywczą, zbyt szczerą i ulegającą wrażeniom chwili.

— Co też może rozruszać kuzynkę?

— Piękny czyn, ognista mowa, szczery ból, prawdziwy smutek, wogóle wszelkie objawy życia, w których drga uczucie i prawda.

— A więc i miłość — dodał z uśmiechem pan Władysław — bo ona jest najszczerzym i najprawdziwszym objawem życia.

— Naturalnie, że i miłość, jeśli tylko to uczucie nie zasklepia się w sobie, jak ślimak w skorupie, ale ogarnia szerokie horyzonty.

— Co ty, Ewciu, pod tem rozumiesz? — spytała ciekawie Irena.

— Miłość nie powinna się ograniczać na czułym duecie; ach i och! — zaśmiała się wesoło — ale tych dwoje, złączonych z sobą uczuciem, jako silniejsi od jednostki, powinni dążyć do...—szukała wyrazu.

Pan Władysław szepnął z uśmiechem:

— Do harmonii rodzinnej, do szczęścia dzieci.

— Zapewne, że dzieci są posiewem przyszłości, spadkobiercami ideałów rodzinnych... ale nie o tem chciałam powiedzieć, lecz, że oboje powinni mieć za cel: uszczęśliwienie swego otoczenia w najszerszem znaczeniu tego słowa.

— To są ideały, Ewciu — zaśmiała się Irena — w życiu bywa inaczej. Spójrzij wokół: gdzie takie wzory?

— Że nie znamy ich, to nie znaczy wcale, że takich małżeństw niema... a zresztą, według mego zdania, trzeba się usilnie starać o tak zwane ideały, a naprawdę szczerze potrzeby naszej duszy wprowadzać w życie... Ktoś musi zacząć...

— Dlaczegoż ja mam być pierwszą męczennicą?—zawołała Irena wesoło.

— Ależ, Irenko, to przecie szczęście!

— Milczałem dotychczas—odezwał się pan Władysław — ale ze zdziwienia, jakim cudem kuzynka czyta w mych myślach. Uzupełniłbym tylko przekonania kuzynki tą kardynalną zasadą, że władza i miłość wtedy są słodkie i godne podziwu, gdy służą dla dobra ogółu, dla dobra kraju... i to jest łatwym zadaniem, czuję to w tej chwili, bo kochając i wielbiąc, jest się dobrym, przebaczącym, wyrozumiałym na błędy i wady człowiekiem.

— Ty kochasz się, Władziu?—spytała siostra.

— Czyż cię to tak dziwi? Sądzisz, że nie jestem zdolny pokochać, widząc w pokrewnej mi duszy szlachetność, prawość, poświęcenie dla idei? Miłość,

jak raz już wam powiedziałem, wchodzi nagle, niepostrzeżenie i robi z wolnego niewolnika.

— Niechże nas Bóg broni od takiej niewoli! — zaśmiała się Irena.

Zdawało się panu Władysławowi, że teraz dopiero zrozumiał Ewcię, znalazł klucz do jej serca, postanowił tedy korzystać z odkrycia, twarzy swej nadał wyraz współczucia, a głos jego stał się miękkim z ogromu dobroci dla ludzi.

Wjeżdżali do Kopowic.

Powóz stanął.

— A co tam?—spytał pan Władysław.

— Jaśnie panie, to ja—odezwał się, skłoniwszy się nisko, Stępalski.

— Czego? — spytał tonem surowym pan Władysław.

— Starszy pan kazał mi powiedzieć, żeby jaśnie państwo jechali na plebanię.

— Pana Dobieradzkiego niema?

— Wielmożny dziedzic Kopowic wyjechał, a ksiądz proboszcz, dowiedziawszy się o przyjeździe jasnych państwa, prosi usilnie o zajechanie na plebanię...

— Dobrze... Dużo ludzi, Stępalski?

— Zebrałem z pięćdziesięciu, wedle rozkazu jasnego pana.

Pan Władysław ani drgnął i mówił spokojnie.

— Nie o tych pytałem; to sprawa papy; lecz czy na wiec dużo się zjechało gospodarzy?

— Ćma, jasny panie. Będzie z tysiąc, może więcej... a co do moich...

— Mówiłem, że to rzecz papy... Ruszaj! — zawołał ostro na stangreta.

Stępalski skłonił się i ustąpił na bok.

Konie szły wolno, gdyż mnóstwo wozów stało



na drodze, zachodziła więc obawa zaczepienia i uszkodzenia powozu.

— Kto to jest Stępalski?—spytała Ewcia.

— Ekonom z Wiktorówki.

— To wasza wieś?

— Tak jest. Papa ma Bruśnik, Wiktorówkę i Sęki.

— Aż trzy wsie?—zdziwiła się Ewcia, gdyż dotychczas słyszała tylko o Bruśniku.

— Trzy—mówiła Irena—ale na to jest nas sześcioro dzieci i rodzice.

— Kuzyn Władysław chyba nic nie potrzebuje, mając tak piękną posiadłość.

— To też nic nie biorę od papy, ale nie myślę się zrzekać, bo to majątek rodzinny z dziada pradziada i muszę mieć głos w zarządzie, aby pomódz rodu słowem i czynem.

Z ulicy wiejskiej, rojącej się wozami, końmi, ludźmi, wjechali przez szeroką bramę na podwórze plebanii.

Ksiądz proboszcz stary, siwy, z okrągłą twarzą, łysawy, z dobrotliwym uśmiechem rozmawiał z państwem Świetnoskimi i panią Rokicką, a gdy powóz stanął, zawołał tonem szczerego zadowolenia:

— Witajcie, młodzi! Witajcie!... Gdzieżecie tak marudzili?

Pierwszy wyskoczył pan Władysław, odsunął lokaja, pomagając wysiąść pannom, i odpowiedział:

— Jechaliśmy krok za krokiem we wsi, taki ścisk ludzi... Widocznie ksiądz proboszcz nęci ludzi swemi doskonałemi kazaniami.

— Mówi się na chwałę Bożą, jak się umie, ale dziś przyjechali tak tłumnie, bo to wiec.

— A wiem, wiem — i kolejno przedstawiały panny. — Proszę do bawialni, bardzo proszę! Trzeba czemś posilić zdrożone ciało. Coś się tam znajdzie...

— Ależ dziękujemy księdzu proboszczowi! Wyjechaliśmy po jedzeniu — mówiła pani Świetnoska.

— Nie róbcieź mi tego despektu, moi państwo! Musicie wejść, bo się pogniewam... Nie chcecie jeść, to trudno; nie będę was zmuszał, bo niema tak da-  
lece do czego, ale wejść, odpocząć musicie.

W skromnym saloniku proboszcza zastali wcho-  
dzący trzech gości dawniejszych: dwu księży z parafii  
sąsiedniej i młodego Drewniaka.

Najpierw proboszcz miejscowy poznał gości  
z dwoma księżmi, następnie wziął Drewniaka pod  
rękę i w chwili, gdy starsze panie usiadły na kana-  
pie, a panny stanęły przy oknie, rzekł do stojącego  
na środku pana Świetnoskiego:

— Przedstawiam panu Stanisława Drewniaka,  
profesora gimnazyalnego, a ty chyba znasz dziedzica  
Bruśnika?

Z chwilą, gdy wymienił nazwisko „Drewniak”,  
zrobiła się cisza w saloniku i wszyscy spojrzeli  
z ciekawością na grupę środkową.

Pan Świetnoski ruszył wąsem, spojrzął ba-  
dawczo w twarz młodego blondyna, na razie się od-  
chylił, ale wkrótce zapanował nad sobą i podając rę-  
kę z grzecznością chłodną, powiedział:

— Pan Drewniak? Podobno pan kandyduje na  
posta do sejmu?

— Nie myli się pan... Podobno i pan kandy-  
duje z kuryi włościańskiej?

— To jest, hm... postawił mnie komitet cen-  
tralny na kandydata, a pana?

— Komitet centralny ludowy.

— Mamy tedy dwóch kandydatów, dwa komi-  
tety, a musi być jeden poseł tylko; — zaśmiał się  
proboszcz swobodnie. — Ale wierz mi, staremu, mój  
Stachu, że nie dotrzymasz. To, panie, młody ptak  
z gniazda próbuje lotu, ale uważasz, Stachu, zje cie-  
bie Gryf — uczynił aluzję do herbu, co rozjaśniło  
twarz pana Świetnoskiego — i dobrze, że nie zwy-  
kły kruk lub wrona, ale król królów ptasich.

— Zgoda, księżę proboszczu — odpowiedział swobodnie głosem dźwięcznym — może i padnę, ale lotu nie zniżę.

— I dobrze robisz — uśmiechnął się ksiądz dobrotliwie — bo i co wart orzeł, gdy nie patrzy w słońce... Chodźże, kochanku, dalej ze mną... — i stanął przed starszemi paniami. — Drewniak, moje panie, słyszałyście o nim chyba, a to dziedziczka, musisz ją znać, to siostra cioteczna z Podola, matka tej małej osóбки — wskazał na Ewcię. — Chodźmy do młodych... hm... moje panny, to młodą orłę z niego... a zresztą poznajcie się sami — zostawił go przed pannami.

Drewniak skłonił się głęboko, otrzymawszy nieznaczne skinienie głową Ireny. Natomiast Ewcia, która od chwili usłyszenia nazwiska nie spuszczała oczu z niego, postąpiła krok naprzód i wyciągając ku niemu rękę, mówiła tonem szczerości:

— Miło mi pana poznać; dużo słyszałam o panu i cieszę się z poznania kandydata ludu dla ludu.

— Dobre słowa pani przyjmuję na rachunek sympatyj pani dla ludu.

Pan Władysław, widząc to powitanie, szybko zbliżył się z framugi okna i podając mu rękę, rzekł serdecznie:

— Zналиśmy się dziećmi, panie Drewniak, odnawiamy znajomość, jako ludzie dojrzały, a sądzę, że będzie ona trwałą.

— Znajomość bywa trwałą zazwyczaj, bo zależy tylko od pamięci.

— To pan zwołał dzisiejszy wiec? — spytała Ewcia.

— Maciek Brosz, mój kontrkandydat ludowy i ja.

— I obaj będziecie przemawiali?

— Zwołałiśmy wiec, by zbadać usposobienie i przekonania prawyborców; dowiedziałem się jednak od mych towarzyszków, że przemówi dzisiaj i pan Świetnoski.



— W tym celu papa przyjechał — dorzucił pan Władysław.

— Czy mogę słuchać blisko mówiących — spytała panna Ewa.

— Zależy to zupełnie od woli pani... Jeśli pani sobie tego życzy, każę ustawić dla państwa ławę w pobliżu mównicy.

— To będzie najlepiej! — zawołała uradowana. — Mam, możemy wysłuchać zblizka wszystkich przemówień.

— Bardzo dobrze, Ewciu... Dziękuję panu... My obie jesteśmy z innych stron i bardzo nas interesuje ruch ludowy.

— Bardzo wierzę, bo ten ruch ludowy, to przebudzenie milionów, jest najważniejszą zdobyczą naszej konstytucji.

— Zapomina pan o autonomii całego kraju. o sejmie, szlachcie, miastach -- odezwał się z ironią pan Władysław.

— Pamiętam nie tylko o tem, ale wiem, że samorząd szlachty, miast, sejmu był dawniej, miał tradycję wielką, często wspinała, a lud po raz pierwszy został powołany do współdziałania.

— I najmłodszy sięga po całe dziedzictwo — zadrwił lekko pan Świetnoski.

— Tylko o równe prawa, w równej nam ojczyźnie — odpowiedział porywczo Drewniak.

Umilkli wszyscy, a w tej chwili ciszy zawołał ksiądz proboszcz:

— *Pax vobiscum*, rozprawy polityczne zostawcie panowie na arenę polityczną... Oto owoce i ciastka dla pań; bardzo proszę, nie gardźcie, zróbcie to dla starego i pokosztujecie... a dla panów mam wino — i począł rozlewać kieliszki.

Zbliżył się Drewniak:

— Pozwoli ksiądz proboszcz, że go wyręcę.

— I owszem, ale pierwszy toast jest mój — wznosił kielich i rzekł:

— Darujcie mi, moje panie, że nie wznoszę waszego zdrowia, ale jest coś ważniejszego dla was i dla nas, to kraj nasz rodzinny... Pana Świetnoskiego szanuję i cenię, a Drewniaka lubię i Kocham, jak syna, na szczęście moje, nie jestem wyborcą, bo nie wiedziałbym, komu dać głos, gdyż i w to wierzę, że czy ten, czy ów zostanie wybrany, każdy z nich według sił będzie pracował dla dobra ogólnego. Więc na pomyślność całego kraju, ludu i naszej przyszłości wznoszę ten toast.

Tracono się kieliszkami i wypito, a gdy znów napełniono, przemówił pan Świetnoski:

— Stare przysłowie mówi: zgoda buduje, niezgoda rujnuje, a wiadomo, że przysłowia są mądrością narodów. Otoż mojem zdaniem, nasz kraj, to wspaniały budynek, który ma fundamenty — to lud; potem mieszczaństwo, szlachtę, arystokrację... Runie budynek cały, gdy fundamenty zechcą być wieżą lub ścianami, więc niech spokojnie wszystko stoi na swem miejscu, zgodnie, cicho, a budynek przetrwa wieki i burze. Na zgodę taką wypijmy, panowie.

Drewniak w czasie tej przemowy stał spokojnie, tylko raz uśmiechnął się ironicznie, dotknął ustami kieliszka i ledwie nadpity postawił na stole.

Zbliżył się następnie do proboszcza, mówiąc:

— Dziękuję za przyjęcie serdeczne, ale na mnie już czas. — Spojrzał na zegarek: — Już blisko druga; więc się zaczyna.

— Idź, mój synu, a nie buntuj mi chłopów za- nadto; i tak z nimi kłopot.

Drewniak skłonił się paniom starszym, a widząc chęć pożegnania się z nim pana Władysława, przystąpił do młodych, uścisnął podaną rękę i skłonił się pannom. Ewcia, podając mu rękę, rzekła:

— Czy możemy liczyć na miejsce przy mównicy?

— Będzie gotowe.

— I wiec zaraz się zacznie?

Pożegnał się z księżmi i skłonił się panu Świetnoskiemu.

Po jego wyjściu zawołał proboszcz:

— Powiadam państwu, złoto nie człowiek.

— Zdaje się, że rozumny — dodał grzecznie pan Świetnoski.

— Co tam rozum, panie dobrodzieju, ale jakie serce! Człowiek bez żółci, jak gołąb.

— Ksiądz proboszcz łaskaw w sądach swoich na wszystkich, więc i na niego — dorzuciła pani Świetnoska.

— Moja dobrodziejko, prawdę mówię; dobre to i zacne dziecko.

— Po cóż się miesza do wyborów? — odezwał się pan Władysław. — Zaszkożdzi sobie, a chłopom nie pomoże.

— Mówiłem mu to samo, ale gadajże z takim uparciuchem! On swoje w kółko i powiada: „Nie to, że upadnę, ale lud poczuje krzywdę i policzy swe siły”.

— Deklamacye! — mruknął niezadowolony pan Świetnoski.

— Mamo—mówiła Ewcia, patrząc na zegarek— za pięć druga; może pójdziemy na wiec?

— Dobrze, Ewciu.

— Hm... ja radziłbym inaczej — rzekł proboszcz. — Na samym początku wiec nie jest ciekawy; jeśli młodzi chcą, niech idą sami, a my przyjdziemy później... Dadzą mi znać, gdy będą przemawiali kandydaci.

— Bardzo słusznie radzi ksiądz proboszcz — przemówił pan Świetnoski. — Po co mamy piec się na słońcu?

— Jednak możeby papa wysłuchał ich mowy— doradzał pan Władysław.



— Posłucham, posłucham, chociaż wiem na przód, co powiedzą.

— Cóż, mamó? — spytała Ewcia.

— Pozwól iść młodym — rzekła pani Świenoska, ułatwiając sprawę synowi; my przyjdziemy za chwilę.

— To już idźcie — rzekła z westchnieniem pani Rokicka.

---

## XI.

Na wielkim placu przed kościołem było rojno i gwarno, a wszystko to ubrane odświętnie, z miną rzną i pewną siebie, bo każdy czuł, że choć w spichrzu mało zboża, ale stodoły pełne, a na polu zostały jeszcze dojrzewające prosa i dochodzące kartofle. Przeważali gospodarze, znaczni po dostatnich ubraniach, lśniących butach, z twarzą surową, skupioną w sobie, jak zwykle człowiek, co myśli nietylko o sobie, ale i o innych. Wśród nich uwijały się kobiety, w barwnych chustkach, w jaskrawych spódnicach, ze sznurami koralików pod szyją, na bielutkich koszulkach. Rozmawiały one przeważnie z sobą, uspakajając napierające się zabawek dzieci. A te wypatrywały oczy na stragany, obwieszone batożkami, uprężą, czapkami i ubraniami, a w dole czerwono malowane konie z wózkami białymi, dziwaczne zwierzęta i ptaki, z których każde gwizdało lub piszczało za pociśnięciem.

Przed straganami ścisk był największy. Matki rozwiązywały węzłki, ojcowie przeszukiwali pasy, aby kupić dzieciakom coś na pamiątkę z odpustu.

Wtem z końca placu, wchodzącego klinem w zabudowania wiejskie, zabrzmiał dzwonek i zbliżał się coraz bardziej do ogrodzenia kościelnego. Młody wyrostek z widoczną przyjemnością dzwonił gwałtownie, wymachując ręką i co chwila rzucał wezwanie:

— Na wiec!... Na wiec!...

Ruszyli się ludzie, co żywo, ku środkowi placu, jako widzieli, że tam ustawiono wzniesienie.

Ustawili się ludzie gęsto, chłop koło chłopą przy wzniesieniu, tak, że wyrostek z dzwonkiem przecisnął się z trudnością i oddał dzwonek jednemu ze starszych gospodarzy Kopowic, który wszedł na wzniesienie, oparł obie dłonie na stole, spojrzął na niespokojną ciżbę ludzi, zadzwonił silnie i zdejmując kapelusz, rzekł:

— Niech będzie pochwalony!

Odpowiedział mu głuchy pomruk:

— Na wieki wieków.

— Postanowiono, aby wiec odbył się u nas, tak jako gospodarz tutejszy, z Kopowic, witam was wszystkich mile, i starszych, i młodszych, boście nam wszyscy goście jednacy. Wiec, ten ostatni przed wyborami, ma radzić o wyborze kandydata na posła do sejmu.

Umilkł i spojrzął po zgromadzonych, z których jedni mówili głośno: „Chcemy Brosza!” a inni wołali: „Drewniak posłem!”

Patrzano na kandydatów, stojących w pobliżu wzniesienia.

Maciek Brosz, ubrany odświętnie, w białej sukmanie z wypustkami granatowemi, z czerwonemi wyłogami, przepasany szerokim, zdobnym pasem, chłop rośli, wysoki, silny, słysząc swe nazwisko, uśmiechnął się i podkręcił ładny, ciemny wąs.

Niedaleko stał Drewniak, witając tych i owych ze zgromadzenia uśmiechem i skinieniem głowy, wtem spostrzegł Ewcię i Irenę z panem Władysła-

wem, zbliżających się z nieśmiałością od strony plebanii.

— Rozstąpcie się, proszę... Ot idą moi goście... Walku, a dajże ławę!

Chłopi rozstąpili się i szpalerem z ludzi szły panny, trochę zmieszane, zarumienione pod wzrokiem tyłu ludzi i wśród głośnych szeptów, wyjaśniających, kto one, zbliżyły się do Drewniaka, wskazującego im uprzejmie przygotowaną ławę.

To ich wejście przedłużyło pauzę milczenia mówcy, a że gwar, zamiast się uciszać, rósł więcej, więc znów zadzwonił i mówił:

— Jako widzę, zebrała się w naszych Kopowicach chmara narodu, a w takim tłumie musi być porządek, bo inaczej wszystko się rozprzęgnie. Trzeba nam tedy wybrać przewodniczącego...

Z różnych stron wywoływano te i owe nazwiska. Gospodarz znów zadzwonił:

— Widzi mi się, że najlepszym będzie człowiek wypraktykowany, co to zna i gminny porządek, a także różnych zgromadzeń... Otóż myślę: wybierzmy Jana Rudnika, wójta z Bogucic.

— Zgodą! Zgodą!

— Nie jest ci on już wójtem! — wołano.

— Utracili go, bo nasz! — zakrzyknięto.

Rozstąpili się ludzie, dając wolne przejście Rudnikowi, który z wolna wszedł na wzniesienie, zdjął kapelusz, przygładził ręką szpakowate włosy, wyprostował się i rzekł:

— Witam szanowne zgromadzenie wiecowników!... Honor to dla mnie wielki, a tem więcej go sobie ważę, iż tysiąc, a może więcej gospodarzy mnie wybrało, chociaż pan starosta chciał mnie pohańbić, odejmując wójtowstwo zato, iż byłem przewodniczącym na zgromadzeniu poufnem u Bartusia Wiącka w Klimkówce...

— Już się mszeżal! — zawołano tu i owdzie.



— Strach chcą rzucić! — zaśmiano się z drwinami.

— Jako przewodniczący, żądam od wszystkich posłuchu, czy to będzie pan — spojrzął w stronę siedzących gości — urzędnik, albo wyrobnik. Jesteśmy gospodarze, siedzimy na roli, żądamy od czeladzi posłuchu, umiejmyż i my słuchać. Jako mi wiadomo, wiec ten prawyborców rozpatrzy sprawę kandydata na posła, poweźmie uchwałę, na kogo nasi delegaci muszą głosować, chociażby ich zato karano i ści-gano, jako się już trafiało. Każdy ma prawo głos zabrać, ale wedle porządku, który ja wskażę, a se-kretarz zapisze... Walka Grota z Kopowie proszę uprzejmie na sekretarza.

W chwili gdy wezwany przybliżał się do prze-wodniczącego, zawołał stary chłop, pochylony wie-kiem i pracą:

— Proszę o głos.

Za nim krzyknął drugi.

— I ja.

Wreszcie Brosz rzekł głośno:

— Zapiszcie i mnie.

Wójt, rozpytawszy o nazwiska, podyktował se-kretarzowi, zadzwonił i rzekł:

— W imię Bożę otwieram wiec... Marcin Trzop ma głos.

Stary człowiek, z ubrania widać, że zamożny, wszedł ciężko na wzniesienie, wyprostował trochę zgarbione plecy, dłonią przytarł wąs siwy, podcięty, odchrząknął, spojrzął wokoło i rzekł:

— Aż mi dziwno, że tylu ludzi tu się zeszło; myślałby kto, że jakiś wielkomocny król, albo wiel-możny pan daje bankiet dla chłopów, a ci zlecieli się, aby się uraczyć... Ale nie poświecisz tu żadnej go-rzałki, ani jedzenia...

— Kiełbasy wam się zachciewa! — zawołał ktoś drwiąco i zaśmiano się.

— Oj, dobra rzecz kiełbasa i zjadłbyś ją, aby ci danol — odciął się i mówił już spokojnie: — Zebrała

się was taka gromada, aby gębę psować, nahałasować, nakrzyczeć, i o głodzie, i o chłodzie wrócić do chałupy. I po co? Na co to wszystko? Drzewiej chłop pilnował roli, patrzył gospodarki, brał się do cepów, gnoju i wideł, i było chleba dosyć, gorzalka tania, podatków mało, popasł gdzie chciał, bo wrót od pola nie było, parobka dostał, jak żbika, za tanie pieniądze, a przyszło święto, jako dzisiaj, była muzyka, tańce i dobrze było...

— Co ten stary bajdurzy? — krzyknął ktoś ze złością.

Przewodniczący zadzwonił:

— Proszę pięknie o spokój; każdemu wygadać się wolno... Mówcie dalej..

— Jakom rzekł, było dobrze, bo chłop zajmował się tem, co do niego należy, a nie radził, nie wiecował, nie mędrkował, bo od tego był pan we dworze, a ksiądz na plebanii. Dziś wymyślono jakieś sejmy, rady państwa, rady powiatowe, a nam to po co? Chcą mieć posła od nas, a świerzbi pana ręka, aby wydać pieniądze we Lwowie, albo Wiedniu, to wybierzmy go, niech zdrów jedzie i używa. Tak i skończyłem.

— Chwała Bogu! — zakrzyknięto.

Wtem nagle rozległy się dość liczne oklaski gromady, skupionej około Stępalskiego. Za jego przykładem krzyknęli:

— Pana chcemy!

— Pana posłem!

Z oburzeniem odsunęli się od krzyczących co bliżsi i jakie pięćdziesiąt ludzi ze Stępalskim we środku stanęli na chwilę odosobnieni.

— Cicho głupcy! Milczeć! — krzyknął Brosz z gniewem.

Umilkli. Znów zwarli się ludzie, mówiąc głośno:

— Przedawczyki! Lizunie!

Zanim przewodniczący zadzwonił na znak rozpoczęcia obrad, zawołał ostro właściciel Bruśnika:

— Proszę o głos.

— Dobrze... Po kolei... Teraz przemówi Franciszek Zabawa.

Wszedł na wzniesienie chłop niski, pleczysty, z ubrania widać, że zamożny, a z okrągłej twarzy bez zarostu, że dobrze się odżywia. Potarł lewą ręką włosy nad uchem i zaczął:

— Marcin Trzop wspomniał dawne czasy, że było lepiej. Słyszałem i ja, że wszystko było lepsze i tańsze, ale nie sięgnę pamięcią, jako Marcin Trzop, bom też młodszy. Kiedy już nam na to przyszło, byśmy poszli do sejmu wybierali, niechże on coś zaradzi, aby te dzisiejsze czasy, takie psie i zatracone ustały.

— Racyał Racyał

— Powinien to zrobić!

Zachęcony temi słowy prawił dalej:

— Chłop pracuje krwawo, zboże tanie, towar drogi i raz po raz droższy, a spytacie kupca, dlaczego taka cena, zaraz odpowie: bo robotnik drogi. A i my, co siedzim na roli, czy mało płacimy robotnikom, czy zagrzeje się u nas grosz? Raz wraz płac słońco to parobczakom, to dziewczkom, to pastuchom. Taki rak, co ledwie odrósł od ziemi, już bierze pensję.

— Prawda, prawda — mruzcili co zamożniejsi.

— A z czego ta cena, dlaczego płacim tak drogo? Pojedźcie wczesną wiosną na stację kolejową, a zobaczycie huk ludzi z tobołkami... Spytacie się ich, a dokąd droga, ten odpowie, że w Saksy, ów że w Dania, tamten aż do Ameryki. Co tylko ma mocne ręce, precz wyjeżdża, a my gospodarze nie możemy nikogo do służby dostać i musim skapać do cna. Więc niechże nasz poseł poradzi na to, aby ludzie wsi i chałup pilnowali, a wszystkim nam lżej będzie.

— Bogacz! — zadrwiono.

— Patrzcie go, chce mu się darmochoy

— Płac, gdy sługi potrzebujesz!



Byli jednak i tacy, którzy schodzącemu ze wzniesienia poszeptywali:

— Dobrześ powiedział.

— Nie dbaj o ludzkie gadanie.

Brosz, który stał blisko mówców, rzucał na nich zabójcze spojrzenia, zgrzytał zębami i ścisnął pięście. Drewniak uśmiechał się zagadkowo i stał spokojnie.

Pan Świetnoski nie ukrywał swego zadowolenia, nachylał się ku paniom i mówił półgłosem do pani Rokickiej.

— Pani dobrodziejka widzi i słyszy, że nasi chłopcy są mądrzy, rozumieją swe interesy...

Już wstał, by wejść i przemówić, gdy przewodniczący rzekł:

— Maciek Brosz ma głos.

Już samo wejście i zachowanie wskazywało na człowieka, obytego z licznem zgromadzeniem. Stał, wyprostował się, musnął wąs ciemny, spojrzął na zgromadzenie bystro, jak gdyby pragnął wy badać, co myślą i czują, i zaczął głosem donośnym.

— Mówił wam Marcin Trzop o dawnych czasach i chce ich powrotu. Byłbym na takie mielenie językiem nie zważał i tylko wam rzekł: „Plecie stary koszałki - opałki; dajcie mu spokój: widzicie, że stary jest, zgarbiony nie z pracy, ale z podlizywania się obszarnikom; zemrze on wkrótce, a z nim i jego rówieśnicy, co to wychowani za pańszczyzny, olśniewają te czasy, kiedy chłop był szczęśliwy, gdy umknął którego dnia bata ekonomą lub włodarza, legł na barłogu i nie myślał o niczem; ale słyszeliśmy oklaski i okrzyki, więc muszę odpowiedzieć na mowę Marcina Trzopa. A wiecie wy, co było drzewiej, w one dobre dawne czasy? Robiliśmy darmo dla dworów na polu. Kto chciał się żenić, musiał dziedzicowi dać skórki z kun, a koniom gości dworskich darmo dawać obroki...

W czasie przemówienia tego, co chwila z tłumu wyrwały się okrzyki zgrozy, potępienia, niedokończonych przekleństw. Patrzano drwiąco na gości Drewniaka, zwłaszcza na pana Świetnoskiego, który siedział obojętny, jak gdyby nic nie słyszał.

Ewcia już przy pierwszym i drugim przemówieniu doznała miłych wrażeń, słysząc chłopów rozumujących, ale ognista mowa Brosza, akcentującego niewolę pańszczyźnianą, podnieciła ją. To bladła, to czerwieniła, prostowała się, i zasłuchana, patrzyła tylko na mówcę, nie zważając na bliższe otoczenie. Tę grę wyraźną na jej twarzy notował sobie pan Władysław w pamięci, uśmiechając się drwiąco z jej zapału.

— W człowieku krew się burzy — ciągnął — gdy wspomni, cośmy przeszli i ile cierpimy teraz jeszcze od obszarników... I dziś, gdyśmy już wolni, mamy prawo głosu, znaleźli się tacy głupcy, którzy wilka chcą wpuścić do owczarni i krzyczą bezmyślnie, jak cieleta: „Pana chcemy!” — Zaśmiał się drwiąco. — Jeśli ten pan chce być naszym posłem, niechże powie nam, co zamysła zrobić, ale prawdę szczerą. I ja staram się o poselstwo. Gdy wybieriecie mnie, to powiem głośno w sejmie słowa prawdy wszystkim obszarnikom. Będę żądał i wymuszę na nich, by nam dali równe prawa i rozłożyli podatki sprawiedliwie, bo już nie wyżyć chłopu z tem zdzierstwem i niesprawiedliwością.

— Prawda! prawda!

— Dobrze mówi!

— Ten nasz!

— Z obszarnikami nie pomogą delikatne przemówienia — mówił dalej Brosz — wezwanie do rozumu i opamiętania, układne zachowanie — spojrzał złośliwie na Drewniaka. — Czy wskóra kto prośbą i gadaniem cokolwiek u obszarnika?... Powiedzcie samil...

— Nie, nie! — zawołano w około.

— Ale jak was obszarnik potrzebuje, jak boi się was, jak wie, że na krzywdę jest krzywda, jak mu twardo staniecie... zaraz on zmięknie. A przysięgam wam, że ja się ich nie ulęknę i z każdej wsi, z każdej chałupy wywlokę cierpienie, postawię im przed oczyma w jasny dzień i spytam ich: „Długoż tego będzie?”

Rozległy się ogłuszające oklaski; krzyczano tak głośno i zapamiętało na cześć Brosza, że słowa ginęły, a zdawało się, że słyszy się grzmot, trzask, szum, jak gdy wezbrana rzeka, pędząc zwały kry, łamie przęsła mostu.

Panie pobladły, prócz Ewci, i siedziały nieme i wystraszone, patrząc na tłum przerażonemi oczami.

Pan Władysław stracił pewność siebie i klnąc wiec, szukał wzrokiem żandarmów; pobladł też i pan Świetnoski, a dla dodania sobie pewności, podkręcał wąsy.

A Brosz uśmiechnięty, tryumfujący, patrzył na ruchomą falę ludzi, muskając wąsy, a kiedy niekiedy rzucał drwiące spojrzenia na Drewniaka i jego gości.

Po długim dzwonienu uspokojono się o tyle, że Maciek Brosz mógł mówić dalej:

— W końcu uprzedzam was, moi bracia prawyborcy, abyście nie pozwalali na sztuczki wyborcze starościńskich wysłanników, a że one będą, wiem o tem—spojrzał w stronę pana Świetnoskiego.—Wybierajcie na delegatów ludzi pewnych, którzy nie zląkną się głosować, jak wy im każecie, i takich, co nie dbają o obszarników. Gdy wyberzecie takich delegatów, to jestem pewny, że posłem zostanie chłop, nie pan!

Skłonił się i zaczął schodzić. Nastąpiły znów oklaski burzliwe; co bliżsi ściskali go za ręce, całowali, a wszyscy wołali:



— Chłop posłem!

— Wiwat chłop!

— Wiwat Brosz!

Przewodniczący spojrział w stronę właściciela Bruśnika, a syn szepnął:

— Teraz kolej na pape...  
Pan Świetnoski wstał, obciągnął ciemną marynarkę, poprawił kołnierzyk u koszuli, skinął głową paniom i szedł ku wzniesieniu.

— Obszarnik... Szlachcic... Jasny pan...—odzywały się głosy z intonacją drwin.

Stanął, wyprostował się, spojrział śmiało po zgromadzonych, jedną rękę włożył w kieszeń marynarki, drugą pogładził włosy nad czołem, i zaczął równym, lecz dość cichym głosem:

— Komitet centralny sejmowy postawił moją kandydaturę w kurii czwartej. Korzystam ze sposobności wiecu, aby przemówić do wyborców i przedstawić im swój program...

— Głośniej!... Głośniej!...  
Pan Świetnoski podniósł głos i mówił:

— Mój poprzednik, Trzop, chociaż go wyśmiał ostatni mówca, miał jednak rację, bo i po co do sejmku, gdzie rozstrzygają się sprawy całego kraju, nie zaś gminy, macie wybierać gospodarza? Czyż takiemu nie żal porzucać swej chaty, swej wioski, swego kościoła i jechać do Lwowa?

— A panu?—zawołał ktoś z tłumu.

— Im kto ma więcej, ten więcej dawać powinien... Kazano mi być posłem, muszę nim być, chcę, czy nie chcę... Na wymyślania ostatniego mówcy nie będę odpowiadał, bo nie przyjechałem tu na spory i kłótnie, ale po to, aby wam wyjaśnić, co jest dla nas w powiecie potrzebne. Nie mamy kolei, ztąd mało handlujących, trudna dostawa, tańsze zboże... Postaram się o kolej, przy której będziecie mieli za-

robki znaczne; również zażądam ulgi na budowę fabryki dachówek, znów będą zarobki, a wówczas nie będzie potrzeba emigrować za granicę i robotnik, jak żąda tego drugi mówca, będzie tańszy i zostanie na miejscu; o stosowną ustawę postaram się w sejmie naszym.

— Oho... Już zakazy!

— Proszę o głos — rzekł Drewniak do przewodniczącego.

— Słyszałem tu narzekania na nasze ustawy, np. drogową. Jest to niezrozumienie własnego interesu: im lepsze drogi, tem mniej niszczą się konie i wozy...

Brosz zawołał:

— Proszę o głos!

— Postaram się też — ciągnął pan Świetnoski — o niżenie opłat stemplowych i sądowych (uważam je za wysokie), a także o pomnożenie sądów i prędszy wymiar sprawiedliwości, bo teraz ciągną się sprawy przez całe lata. Wreszcie będę przemawiał za ukróceniem lichwy żydowskiej i przestrzeganiem porządków tak we wsi, jak i na jarmarkach. Wiecie, że słów nie rzucam na wiatr; co przyrzekam, to i dotrzymam. Nie dajcie się uwodzić krzykaczom, bo tylko zgoda między dworem a wsią doprowadzi do spokoju i zamożności. Skończyłem — i skłonił się sztywnie.

Stępalski dał znak, i gromadka jego zaczęła bić w dłonie, krzyząc:

— Pan posłem!... Wiwat pan!... Niech żyje pan!

Rozległy się wołania o ciszę; niektórzy psykali, inni gwizdali, a byli i tacy, którzy wołali:

— Precz z panem.

— Ten nie nasz!... Nie chcemy!

Wobec groźnej postawy sąsiadów, gromada Stępalskiego nagle umilkła.

Pan Świetnoski z miną dumną i obojętną szedł do pań. Pzzyjął z uśmiechem zadowolenia powinszowania rodziny, usiadł obok, ocierając chusteczką pot z czoła i szepnął:

— Ano, odbyłem pańszczyznę... Może już pójdziemy?

— Jeszcze chwilę, papo; po Drewniaku i Broszu pójdziemy wszyscy—odpowiedział cicho syn.

Na wniesienie wszedł pewnym, równym krokiem Drewniak, ubrany w czarny surdut i trzymając kapelusz w ręce, odezwał się dźwięcznym, donośnym głosem, którym umiał władać i stosownie do treści słów modulować:

— Witam was, moi bracia... To wasze liczne przybycie na wiec świadczy, że zrozumieliście ważność chwili wyboru naszego zastępcy w sejmie.

Przyjaciele jego, jak Sobek, Bartuś, inni gospodarze z Klimkówki, Sławęcina, Bruśnika i z różnych wsi, usłyszawszy go przemawiającego, gdy wstrzymał się na chwilę, zawołali tonem serdecznego powitania:

— Witaj nam, Stachu!

Ten uśmiechnął się, przyglądził brodę jasną i mówił:

— Słowa Trzopa dały sposobność gospodarzowi Maćkowi Broszowi do wypowiedzenia ostrej mowy przeciw obszarnikom, których napiętnował jako ciemiężycieli, ździerców i wrogów stanu naszego.

— Bo to prawda!—zawołano tu i owdzie.

— Miał rację!—krzyknął inny.

— Stachu, uważaj! — mówili bliżsi ostrzegająco.

— Ani myślę przeczyć faktom, zacytowanym przez Maćka Brosza z czasów pańszczyźnianych; one były, może nawet były większe nadużycia...

— A co? Brosz góra! — krzyknęli jego zwolennicy.



— Jednak zastanówcie się na chwilę, wspomnijcie przeszłość i spytajcie, jakim sposobem my, chłopcy, jesteśmy dziś wolni, równi, możemy radzić nad naszym losem i wybierać dowolnie naszego obrońcę. O tem Brosz przemilczał, a porwał was wymownem przedstawieniem krzywd i niewoli. Bracia moi, to nie my, chłopcy, zdobyliśmy dzisiejszą swobodę, to nie my wyzwoliliśmy się z jarzma... Umieliśmy tylko cierpieć i milczeć. Ci jednak z obszarników, ze szlachty, którzy mieli współczujące serce i patrzyli daleko w przyszłość kraju, zaczęli dopominać się głośno o zmianę doli ludu, starać się o jego wolność, o przemianę bezmyślnego robotnika na człowieka z poczuciem praw i obowiązków obywatelskich. Czy więc wolno nam, jako ludziom uczciwym i rzetelnym, każdego obszarnika bez wyjątku potępiać i, jak chce Brosz, dążyć do ich zguby? A gdzie sumienie, gdzie sprawiedliwość? Teraz, gdy dzięki poświęceniom i ofiarom obszarników opadły z nas wiekowe kajdany, rzecz słuszną, że obszarnicy mówią: „Wolności wszyscy, równi nam wobec praw ogólnych, starajcie się sami, aby wam dobrze było na świecie, bo przecież całe znów wieki nie będziemy was niańczyli.” I powiedzcie sami, czy nie jest słusność po ich stronie?...

— Hm... niby jest—mruknięto z ociąganiem.

— Kiedy bo oni tacy przeciwni — mówiono tuż w bliskości państwa Świetnoskich.

— Pomagaj sobie, Bóg ci dopomoże! — zawołał Drewniak. — Moi bracia, mamy sejm, który uchwała ustawy krajowe, mamy radę państwa, która stanowi prawa, mamy prawo wyboru posłów, wybierajmyż naszych szczerych obrońców.

— Drewniaka! Drewniaka! — zawołano.

— Jeszcze raz powtarzam i będę powtarzał, że nie odgrózkami, złorzeczeniami, nienawiścią dochodzi człowiek do szczęścia i zamożności. Czyż nie tak?

— Prawda!... Rzetelna prawda!

— Idzie o to, moi bracia, abyśmy, silni jednością, przeparli naszych postów, znieśli dawniejsze, niesprawiedliwe ustawy i prawa, a postanowili nowe, stosowne do naszego życia i jego potrzeb. I możemy to zrobić na drodze legalnej; bo możemy mieć w sejmie większość, możemy wybrać siedemdziesięciu trzech postów z duchowieństwa, akademii, szlachty i miast. I to jest jedyna droga dobra, rozumna, która prowadzi do wielkiego celu, równości, zgody i siły całego kraju, nie zaś poszczególnych powiatów, czy stanów. Mając taki cel przed sobą, idziemy śmiało naprzód, z wiarą w przyszłość jasną, a pomogą nam wszyscy ludzie dobrej woli, czy to będą księża, obszarnicy, czy też mieszczanie:

— Wiwat Drewniak!... Górą Stach!... Niech nam żyje!... Prowadź nas! — rozległy się wołania i oklaski gorące ze wszystkich stron.

Ewcia, słuchając, odczuwała szybką wymianę myśli i uczuć pomiędzy mówcą a słuchaczami, ulegając wrażeniom, na równi z innymi wiecownikami, biła oklaski ku zgorszeniu swego towarzystwa. Spostrzegł to Drewniak i skłonił się w jej stronę, odbierając lekkie skinienie głową.

— Ewciu, uważaj — napominała matka.

— Dobrze, mam — i wnet się uspokoiła.

— Wierzę głęboko, podobnie jak wy — mówił Drewniak — że Maćko Brosz kocha lud, że radby z całej duszy i serca zapobiedz złemu, ale na drogę, którą on wskazuje, nie mogę się zgodzić. Taka droga nie prowadzi do szczęścia i spokoju, którego my wszyscy pragniemy.

— Prawda, prawda. — odezwali się ci i owi.

— Dziś zjawił się na wiecu dawno zapowiedziany kandydat: pan Stefan Świetnoski z Bruśnika — mówił dalej Drewniak.

Wszyscy spojrzeli w stronę siedzącego właściciela, który z ciekawością patrzył na mówcę.

— Przemówienie jego miało was ująć i skłonić do głosowania za nim, przeszło jednak bez wrażenia... I nie dziwnego, bo jest to człowiek z rodu i wychowania zamknięty w ciasnym kole stanowych przywilejów. On może i chciałby coś dobrego dla ludu zrobić, ale ta myśl pomocy i współczucia dla chłopów zjawia się u niego jak ptak spłoszony i nie pozostało po nim śladu. To nie jest nawet lenistwo mózgu, ale mimo najlepszych chęci (przypuściwszy, że są), nie może on się wychylić po za zaczarowane koło szlacheckich przywilejów. Takiego przedstawiciela naszych praw i dążeń, jak pan Świetnoski, nie radzę wam wybierać, bo znów sześć lat stracimy, aby na nowo się rozczarować.

— Nie chcemy pana!... Nie będzie on naszym posłem!... Tylko Drewniak! — wołali jego stronnicy, gdy Brosz ze swoją partią, milcząc, trzymali się na uboczu.

— Kończąc, proszę was, moi bracia, abyście przejęli się ważnością wyborów, aby z prawyborów wyszli ludzie dzielni, odważni, świadomi, czego chcą, i gotowi dla stwierdzenia swych przekonań znosić upokorzenia. Nie wybierajcie zależnych, trwożliwych, ambitnych i zarozumiałych, ale ludzi, którzy przyjęte obowiązki spełniają zawsze uczciwie i twardo... a wówczas wyjdzie z wyborów nasz, ludowy poseł!

Zewsząd grzmiały oklaski, ciśnięto się do scho-  
dzącego, aby mu spojrzeć w oczy, uściśnąć rękę, być blizkim jego osoby.

Przewodniczący długo dzwonił, zanim o tyle się uciszono, że posłyszano jego głos:

— Gospodarz Maciek Brosz ma głos:

Wszedł na mównicę chmurny, niezadowolony z tryumfu i oklasków Drewniaka, włożył lewą rękę za pas i zaczął głośno:

— Na zarzuty Stacha Drewniaka odpowiem w końcu, teraz muszę się rozprawić z kandydatem



nam narzucanym przez opiekunów nieproszonych. Mówię o obszarniku, o jasnym panu Świetnoskim — uśmiechnął się drwiąco. — Temu panu podobał się tytuł pośta, zaufanie ludu i wyjazd do Lwowa, gdzie zobaczy się i zabawi z krewniakami swoimi, także obszarnikami. Idzie tylko o małą rzecz, czy lud go chce, czy wybierze posłem?

— Niel... Nie chcemy!...—zawołano.

Brosz spojrział na ławę, gdzie goście siedzieli trochę zaniepokojeni.

Spostrzegł to Brosz i mówił z drwinami:

— Uprzedzam jasnego pana i syna ze Lwowa, że odkryję przed wicem różne machinacje, panom może być przykra prawda, radzę wyjść, bo chłop nie obwija w bawełnę, ale rzecz nazywa po imieniu, idźcież do waszych pałaców — uśmiechnął się z ironią.

Te jego słowa podnieciły ojca i syna do pozostania na miejscu, i obadwaj spojrzeli wyzywająco na mówcę.

— Kiedy zostajecie, to i zaczynam...

Zaciekawieni wicownicy otoczyli wzniesienie ścisłym kołem, a Brosz mówił:

— Jaki to dobrodziej dla ludu byłby z tego pana, świadczą jego słowa i czyny. Na wybory pana trzeba pieniędzy, bo głosy się kupuje, ludzi poi, urzędników ugaszczą, więc obszarnik sprzedaje las. Co go obchodzi, że ludzie w Bruśniku będą marzli w zimie, będą się ciągali o kilka mil po kawałek drzewa, że sam niszczy swe gospodarstwo, on chce być posłem i pieniądze być muszą. Potem kupuje głosy żydowskie. Przyjechali i do mnie żydzi, dawali mi czterdzieści swoich głosów za trzysta guldenów, ale ich przepędziłem, bo zechcecie wy mnie wybrać, to wybierzeć; i tak naszych głosów ogromna większość. Wycyganili potem u pana kandydata sześćset guldenów...

— Jezus Marya, taki pieniądzi... Ho, ho, i nie pożałował!—dziwiono się.

— Prócz tego dodał zboża za czterysta, razem tysiąc guldenów, i dał; ale gdy jego parobcy, te nieszczęśliwe zmorki, chcieli dostać na wiosnę przynależną im ordynaryę, nie dał im, i przymierali głodem.

— Zdierca!... Kamień, nie człowiek!...

— Kupił żydów obszarnik, ale trzeba mu jeszcze starostwa... Pojechał i tam, sprosił urzędników na ucztę, spoił i wziął od nich słowo, że przepią go na posta...

— Kłamstwo!—krzyknął oburzony pan Świetnoski, zaczerwieniony z gniewu.

— Mówiłem ci, jasny panie, wyjdź, nie chciałeś... Może teraz pójdziesz? Radzę ci, jasny panie, idź — kpił Brosz. — Otóż powiem ci, jasny panie, że ucztowałeś z komisarzami Silnickim i Ocieckim, i śmiałeś się razem z synem, gdy wam opowiadali tamci, jak dusi się prawyborców, a zamyka się wyborców. Dali tego już dowód i teraz... Wójta, Jana Rudnika, naszego przewodniczącego, już utracili, bo on nasz i nie jest im na rękę. Sobka Maczkę i Bartusia Wiącka pokarali grzywnami, bo popierają Drewniaka; a Korzenia, Pilutę, Hubę, Jędrzejczuka zastraszyli egzekucją...

— I mnie... I nas... — zaczęto wywoływać nazwiska różne.

— Już zaczęli robotę, jak widzisz, jasny panie, opłaciła się ucztą — zaśmiał się. — Ale idźmy dalej... Są już dwa szynki niedaleko starostwa najęte z kiełbasą dla wyborców, i słyszę, że w mieście kaptuje sobie żydów agitarów i hultajów różnych, aby rozpoczęli bójkę z wyborcami... Tak przygotował sobie jasny pan wybory i wtedy powozem, zmówiwszy ludzi do oklasków, przyjeżdża na wiec, aby słodkim głosem i obietnicami kusić ludzi do zdrady... Czy takiego wybieriecie?

— Niel Niel... Precz z nimi... Wyrzucić gol...  
Wygnać!!!

I tłum cały, rozgoryczony, z błyszczącymi oczami, z pięściami zaciśniętymi, zachrypiły od gniewu, parł się ku ławie, na której siedzieli nieruchomo blade i przelękli goście.

W tej chwili Drewniak krzyknął:

— Hej, Bartuś, Sobek, Walek i wy, inni moi przyjaciele, do mnie!

Przyskoczyli, rozpierając falę ludzi, cisnącą się na Drewniaka, stojącego tuż przed państwem Świetnoskimi, i wzięwszy się za ręce, powstrzymali napór.

— Bracia, opamiętajcie się! — zawołał Drewniak. — Chcecie pohańbić nasz wiec ludowy? Splamić się gwałtem? Rzucić się na bezbronych?... Odstąpcie zaraz... Pokażecie waszą dojrzałość obywatelską i zemścicie się za podstępny wtedy, gdy wybierzecie delegatów wiernych stronnictwu ludowemu.

Ale już cofnęła się fala ludzi; jeszcze chwilę stali, mrużąc, niektórzy z bardziej zawziętych, ustąpili jednak i ci.

Panie blade wstały z ławki, Ewcia zbliżyła się szybko do Drewniaka i uścisnęła jego rękę.

— Panie mogą być zupełnie spokojne—odezwał się Drewniak.—Ręczę za bezpieczeństwo najzupełniejsze. To był poryw chwili, przemijający gniew tłumu. Obecnie są już spokojni i taki wybuch nie powtórzy się dzisiaj.

— Pan nam przyrzeka? — spytała słodkim głosem pani Świetnoska.

— Tak jest.

— Wierzymy.

I znów usiedli wszyscy.

— Teraz odpowiem Drewniakowi—zaczął Brosz po uciszeniu się wiecowników. — Otóż on nie zgadza się na moją drogę i na moje sposoby polepszenia



doli ludu. Z tej samej racji i ja nie zgadzam się na jego drogę i na jego sposoby, bo widzą mi się fałszywe. Ja jestem prosty chłop w suknanie, nie jestem uczonym profesorem, mam też i chłopską, twardą naturę i chłopskie, twarde serce: jak pokocham, to całą duszą, a jak nienawidzę, to także całą duszą. Odkryłem wam swoje serce do dna. Chcecie mnie wybrać takiego, jakim jestem, to i dobrze, a nie wybieriecie, zaczekam sześć lat i wówczas pogadamy z sobą. O jedno was tylko proszę: nie wybierajcie pana, nie wybierajcie obszarnika!

Zahuczało w tłumie, jak gdy wichur uderzy w las i gnie drzewa, łamie gałęzie, miota liśćmi. Okrzyki na cześć Brosza, zapewnienia, że pana nie wybiorą, miały w sobie coś z łoskotu fali i gwałtownego uderzenia w dzwony.

Gdy się uciszyło, zawołał przewodniczący:

— Sobek Mączka, gospodarz z Klimków, ma głos:

Wszedł Sobek, smukły, szczupły chłop, odrzucił w tył głowy spadające mu na czoło włosy i rzekł:

— Mamy tu trzech kandydatów na posła do sejmu...

— Tylko dwu! — krzyknął ktoś z tłumu.

— Tak, tak, tylko Brosz i Drewniak!

— Powtarzam — mówił Sobek — mamy trzech kandydatów, bo kto się stara o poselstwo, jest kandydatem, a pan Swietnoski stara się o to różnymi sposobami — uśmiechnął się z ironią.

— To prawda! — potwierdzono.

— Otóż, aby nie było bałamuctwa dla prawoborców i delegatów, musimy na tym ostatnim naszym wiecu postanowić, kto ma być posłem naszym. Stawiam więc wniosek: zakończmy już nasz wiec; ale przedtem należy zarządzić głosowanie, aby wiedzieć, jaka wola ludu i kogo chce mieć posłem. Tyle jest słów moich.

— Ma rację! Ma rację! — zawołano z tłumu.

Przewodniczący zadzwonił i rzekł:

— Jest to wniosek głosowania na wybór kandydata na posła. Czy zgadzacie się, wiecownicy?

— Zgadzamy! zgadzamy!

— Kto z was tedy jest za Maćkiem Broszem, niech idzie na prawo... Kto za Stachem Drewniakiem — na lewo... Kto za panem Świetnoskim, niech zostanie na środku... A was, gospodarze — tu wymienił pięć nazwisk — proszę do mnie, będziecie mi pomocnymi w obrachunku.

Wszczął się wielki ruch i gwar wśród wiecowników; ci tych, ci owych namawiali, ciągnęli, przekonywali, albo też mierzyli się groźnie i wyzywająco oczyma, rozchodząc się w przeciwne strony, a Walek Grot, sprawujący urząd sekretarza, wyznaczał linie, oddzielające poszczególne grupy głosujących.

Wszyscy trzej kandydaci byli ciekawi tego głosowania prawyborców. Nawet pan Świetnoski wstał z ławy, za nim syn i Ewcia, aby widzieć dokładnie podział wiecowników na stronnictwa.

W środku stała mała grupa, najwyżej czterdziestu ludzi, z ekonomem Stępalskim, wszyscy jacyś wystraszeni i zawstyżeni, to spuszczały oczy pod gradem szyderstw, to znów trwożliwie oglądali się za sobą, jak gdyby obawiali się odcięcia odwrotu. A i tak malała ich ilość, odrywali się pojedynczo, przechodząc chyłkiem i nieznacznie na stronę Brosza.

Wezwani do obliczenia głosów gospodarze nie mogli dojść do zgody, które stronnictwo jest silniejsze: Brosza, czy Drewniaka? Sami kandydaci weszli na wzniesienie, aby dokładniej widzieć ilość swych stronników.

Drewniak spojrzął na zwolenników Brosza. Zauważył, że wszyscy mieli wyraz twarzy, świadczący o uporze bezwzględny, a chmurne twarze, błyski

oczu, zaognione policzki, zwartość koła mówiły o podnieceniu uczuć. Zdawało się, że potrzeba tylko kilku słów, jakiegoś rozkazu, aby gromada ta rzuciła się na przeciwników i rozproszyła ich.

Jego stronnicy stali spokojni, pogodni, rozmawiali swobodnie z sobą, przywołując od czasu do czasu opóźnionych towarzyszy.

Przewodniczący, wysłuchawszy sprawozdania powołanych pięciu gospodarzy, co do liczby stronników poszczególnych kandydatów, zadzwonił i rzekł:

— Głosowanie na trzech kandydatów, przedsięwzięte na wniosek Sobka Mączki, a za zgodą wiecowników, dało rezultat następujący, który każdy naczynie może sprawdzić. Za panem Świetnoskim stanęła nieliczna gromadka ludzi, zdaje mi się, że nawet nienależących do prawyborców, więc ta kandydatura z woli wiecu upada. Reszta wiecowników rozdzieliła się bez mała na połowę, z prawej za Broszem, z lewej za Drewniakiem. Jak oświadczyli biegli gospodarze, powołani do obrachunku, może być z jednej, albo z drugiej strony dziesięć więcej, dziesięć mniej, co nie daje żadnemu z kandydatów przewagi, i nie mogę, jako przewodniczący, wskazać sumiennie, przy którym z dwu jest większość, liczenie zaś, jako narodu jest dużo, przeciągnęłoby się do późna, a i tak dziesięć głosów mniej, lub więcej nie stanowi różnicy...

— Proszę o głos!—zawołał Drewniak.

— Jeszcze nie skończyłem—odrzekł przewodniczący.—Otóż, mojem zdaniem, które zapewne podzielią wiecownicy, dla dobra naszego powinien jeden z kandydatów zrzec się starania o poselstwo. Głosowanie uważam za zamknięte, a co dalej będzie, zobaczymy z obrad wiecu.

Trzy grupy wiecowników zlały się znów w jedną całość i, jak poprzednio, otoczono szerokiem półkolem wzniesienie.



Łwicia, która z wielką uwagą przysłuchiwała się wywodom przewodniczącego, zwróciła teraz swą rozognioną twarzyczkę w stronę pana Władysława, mówiąc cicho:

— Teraz ojciec pana chyba ustąpi...

— Nie wiem... może...

— Ale wobec faktu tak widocznego?...— mówiła z żywością.

— Słyszała kuzynka, jak wszyscy namawialiśmy ojca, aby opuścił wiec; nie słuchał nas jednak...

— To sprawa inna, kuzynie, i rozumiem tę chęć pozostania... ale narzucać się wolnym wyborcom wobec wyraźnego ich oświadczenia... Proszę, bardzo proszę kuzyna, wpłynąć na ojca...

— Zrobię, co będę mógł...

Przewodniczący zadzwonił, udzielając głosu Drewniakowi.

— Moi przyjaciele, zechcicie mnie posłuchać uważnie... Wynik głosowania prawyborców na tak liczny a ostatni wiecu jest już wam wiadomy i napewno wpłynie na wybór delegatów. Teraz zrobimy rachunek, jak przystało na dobrych gospodarzy.

— Rachunek, to grunt!—odezwał się ktoś z tłumu, a inni dogadywali:

— Zawsze z kredką, a nie zginiesz.

— Większość bezwzględna, potrzebna do wyboru posła—mówił dalej Drewniak—przy stawieniu się wszystkich uprawnionych do głosowania, wynosi czterdzieści sześć głosów. Przypuśćmy, że przy usilnych staraniach prawyborców wybór delegatów padnie na dzielnych, odważnych ludzi, dotrzymujących danego przyrzeczenia, i że nie zdradzą zaufania ani za podarunki, napitki, pochlebstwa, ani nie zlekną się starostwa i rady powiatowej...

— Wybierzemy takich!—zawołano.

— Tylko takich.

— Daj to Boże; tego życzę wam i sobie. Jednak ci delegaci, jakkolwiek wierni sprawie ludowej, będą głosowali jedni na Maćka Brosza, drudzy na mnie; w ten sposób głosy się rozstrzelą i najnie spodziewaniej może wyjść z urny inny poseł, który będzie przeciwny stronnictwu ludowemu.

— Nie może to być!

— Nie pozwolimy!

— Bardzo być może, że wasze przypuszczenie jest prawdziwe, ale tak samo mogę mieć i ja słuszność.

— Co prawda, to prawda—wzdychali.

— Po co nam prawybory?... Na co nam delegaci?—wołali.

— Moi drodzy przyjaciele—mówił Drewniak po chwili—zanim osiągniemy bezpośrednio, tajne wybory, które będą wyrazem woli i przekonań wszystkich wyborców, musimy się liczyć z istniejącymi warunkami.. Otóż nasi delegaci, jak mamy przykład na dzisiejszym wiecu, mogą się rozpaść na dwie części, i ani Brosz, ani ja nie otrzymamy potrzebnej ilości głosów, czyli dziewięćdziesięciu sześciu głosów, aby zostać waszym posłem. Wobec tego słuszną jest rzeczą zastanowić się i obliczyć dobrze, który z nas dwu ma więcej prawdopodobieństwa zyskania większości delegatów... Maciek Brosz przemówił do waszych uczuć. To jest człowiek czysty, szczery, współczujący z każdą waszą krzywdą i pragnący usunięcia wszystkich nadużyć i niesprawiedliwości.

— Górą Brosz! Wiwat Brosz, nasz poseł! — wołali jego stronnicy, podczas gdy zwolennicy Stacha milczeli, trochę zaniepokojeni, a bardziej zdziwieni.

— Ja nie umiałem tak przemówić do waszych uczuć, jak Maciek Brosz..

— Umiałeś, Stachu, umiałeś! — zawołali jego przyjaciele

— Dla mnie i dla was — mówił dalej Drewniak — najważniejszą rzeczą jest sprawa ludu; czy ten, czy ów poseł będzie, to sprawa drugorzędna; najglówniejsza — aby on był ludowcem, aby ten lud rolny, siedzący po chatach, pracujący własnymi rękami na zagonie, miał swego przedstawiciela i obrońcę, dawał sobą świadectwo, że lud żyje, czuje, czeka lepszej przyszłości.

— Wiwat Stach!... Tyś nasz!... Drewniak posłem!

— Dla większej rzeczy warto zawsze poświęcić mniejszą... Nasza sprawa wymaga jedności, unikania waśni i sporów w naszym obozie... Z tych względów zrzekam się swej kandydatury na rzecz Maćka Brosza.

— Stachu, Stachu! — zawołali żałośnie jego zwolennicy, gdy stronnictwo Brosza i on sam stali niezaradni, tak niespodziewanie zaskoczyło ich zrzeczenie się Drewniaka.

— Wy, moi przyjaciele i stronnicy dajcie mi dowód waszego zaufania i wiary w czystość moich zamiarów, i jako prawyborcy, czy też delegaci, oddajcie wasze głosy na Maćka Brosza. Ten nie zdradzi sprawy ludowej.

Po skończeniu jego mowy zapanowało chwilę milczenie.

Ewcia, słuchając mowy Drewniaka, w chwili, gdy się zrzekł kandydatury, omal, że się nie rozplakała, taki żal ścisnął jej serce na myśl, iż taki dzielny człowiek nie zasiądzie w sejmie.

— Kuzynie Władysławie — przemówiła słodkim głosem — czy i teraz ojciec pana się nie zrzeknie?

— Nie wiem... Postaram się.

— Takie szlachetne wystąpienie pana Drewniaka powinno przecież nas skłonić do równych ustępstw — mówiła, podkreślając słowo „nas”.

— Dobrze, kuzynko, o ile potrafię, wpłynę na



ojca... Kuzynka ma słuszość, i my nie powinniśmy być egoistami.

— Przyrzeka mi to kuzyn?—i wyciągnęła rękę do niego.

-- Przyrzekam—i uściskał czule jej rękę.

Zwolna na wzniesienie wszedł Maciek Brosz. Gdy go ujrzeli jego stronnicy, zaczęli wołać gorąco:

— Wiwat Brosz!... Wiwat nasz poseł!...

On się kłaniał z uśmiechem, podkręcał ciemny wąs i czekał, aż się uciszą.

Słońce zniżyło się ku zachodowi, a ukośne jego promienie padały na tłum, błyszczący różnobarwnymi strojami niewiast i mężczyzn, zaznaczając ostro wyraźne barwy. Na tle tych jasnych promieni rysowała się wyraźnie wysoka, silna postać Brosza, który, stojąc na wzniesieniu, panował nad całym wiecem.

— Pozwólcie mi, moi bracia—przemówił Brosz—że uzupełnię mowę Stacha Drewniaka i wyjaśnię ją—tu spojrział na stojącego niedaleko Drewniaka i przyjaźnie uśmiechnął się do niego. — Otóż pochlebiło mi bardzo świadectwo, które mi wydał Stach Drewniak, jako żem uczciwy i rzetelny chłop, i za to świadectwo szczerze mu dziękuję... Ale jeszcze milej było mi słyszeć, że trafiłem do waszych uczuć... to jest prawda; ale nie zrobiła tego moja wymowa, ani też rozum mój, ale serca cierpiące zawsze się znajdują i lgną do siebie. Nietylko ty, Stachu, profesorze, masz oko, mam ci je i ja. Widziałeś moich przyjaciół, oni stali jak mur, cicho i groźnie, każdy z nich przecierpi męki, katowanie, i każdy z nich powie w końcu, co powiedział na początku: Maćko Brosz posłem! A wiesz, dlaczego to się dzieje? Bo ja mam ich serca, a ty masz głowy... Jednak co najbardziej i najmilej było mi usłyszeć, to twoje zrzeczenie się kandydatury...

Odezwały się okrzyki zdziwienia wśród zgromadzonych, a ktoś bliższy zawołał tonem ostrzeżenia:

— Ej, Maćku, ostrożnie!

— Myślałem, że tam, pod cienką koszulą i czar-  
nym surdudem, nie bije już serce chłopskie... że za-  
chciało mu się poselstwa dla honoru i ambicyi... aż  
tu nagle Stach powiada: „Sprawa ludu jest ważniej-  
sza, aniżeli moja osoba”; no i zrzekł się dobrowol-  
nie... Bierz przykład, jasny panie — zwrócił się do  
pana Swietnoskiego — z tego oto Stacha Drewniaka,  
którego dziad był poddanym i niewolnikiem twego  
ojca, jak należy dbać o sprawę ogólną... Wracajmy  
jednak do Stacha. O czym on tak myśli i cicho roz-  
waża? — spojrział na niego, a za nim zwróciły się  
wszystkie oczy na spokojnie, bez ruchu stojącego  
Drewniaka, uśmiechniętego pogodnie. — Ja wam po-  
wiem, co Stach myśli: „Chcieliście Brosza, macie go;  
ja go dobrze znam, to chłop—wskazał palcem na sie-  
bie—ambitny, chciwy honoru i władzy; zachciało mu  
się być posłem... dobrze, niech zostanie, on sądzi,  
że do serc sejmujących tak łatwo przemówi, jak do  
serc chłopskich... ano zobaczymy”. Tak myśli sobie  
Stach, a ja mu na to: Ej, Stachu, Brosz nie taki głu-  
pi, on wie dobrze, że w głowie jego nie tak jasno,  
jak w twojej, on wie, że obszarnicy w sejmie mają  
kamienne serca dla ludu, że gadaniem dużo nie zy-  
szczę, ale i to wie, że raz trzeba obszarnikom pra-  
wdę powiedzieć.

— Nasz Maciek!... Górą!... Wiwat — rozległy  
się wołania.

— A ty, dobry Stachu, inną idziesz drogą... Ty  
myślisz, że obszarnicy to ludzie z sercem, że wy-  
grasz, mówiąc do nich: „Zapomnijmy wzajemnych  
pretensyj i krzywd, bądźmy sprawiedliwi dla wszyst-  
kich; wszak my dzieci jednej ziemi, mamy coś le-  
pszego do roboty, aniżeli kłótnie; idzie o cały kraj,  
a nie o to, co lepsze: czy szlacheckie, czy chłopskie...”  
Oj, ty biedaku zaślepiony, źle ty wyjdiesz na tem!  
Oto dziś ochroniłeś jasnego pana przed ludem, a wiesz,

że ten pan namawiał i kusił twego rodzonego ojca, aby cię z chaty precz wygnał?!... Słyszysz, Stachu, on kazał ojcu wygnać dziecko ukochane z chaty... I tak zrobią ci wszyscy obszarnicy, których masz za braci, których dawne zasługi cenisz i chwalisz...

— Prawda, prawda!—zaczęto mruzczyć, ale wnet inni zasyczeli cicho, bo mowa Brosza wszystkim się spodobała i radziby nie stracić i słówka.

— Twoja droga, mój Stachu, tak na rozum biorąc, jest pewna i może cokolwiek ulżyć ludowi; umiesz ty mówić do rozumu i znasz prawa, to może cię i obszarnicy zrozumieją, choć ciasne u nich głowy, a serca z kamienia. Słyszałem ciebie mówiącego dużo razy, wiedziałem, żeś rozumniejszy i lepszy, ale nie ustępowałem ci, chociażem głupszy jest, bo ci nie dowierzałem i myślałem: Ten Drewniak tylko chłopą udaje, bo ma nazwisko chłopskie, ale dba tyle o nas, co pies o piątą nogę; idzie mu tylko o mandat.. Ano pomyliłem się, bracie, daruj mi, tyś nasz prawdziwy, szczery, rzetelny chłop.

Ta pochwała ucieszyła bardzo wszystkich wiecowników. Zagrzmiały oklaski i okrzyki.

— Moi bracia i przyjaciele — zaczął Brosz po chwili—nie ten jest zły człowiek, co pobłądził i skrzywdził drugiego, ale ten, kto tego nie uznał i trwa w złem dalej!... Nie chcę być złym człowiekiem, i jak można, to zaraz naprawiam złe... Ten Stach Drewniak to mądry i dobry człowiek, rozumniejszy od nas chłopów, a jest też rzetelnym chłopem, jemu idzie o sprawę, nie o osobę...

— Prawda!... Prawda!...

— I jakim Maciek Brosz, ja pierwszy, jeśli mnie wybiorą na delegata, dam głos za Stachem Drewniakiem, bo tylko on wart być naszym posłem, i wszystkich mych przyjaciół proszę i zaklinam, aby starali się całym sercem poprzeć wybór Stacha Drewniaka. A teraz, bracia moi, wzniesmy okrzyk: „Niech żyje sprawa ludowa! Niech żyje lud!”



Zeskoczył z wzniesienia, pochwycił Drewniaka i szczerze go ucałował.

Zgromadzony lud wykrzyknął okrzykiem radości, dumy, szczęścia.

Oklaski były ogłuszające.

Ten zapał tłumu podzielała rozentuzymowana Ewcia i rozczulona pani Rokicka. Ewcia to się podnosiła, to znów siedziała spokojnie, chciała biedz do Brosza, do Drewniaka, aby im powiedzieć swe uczucia zachwytu i uznania, powstrzymała się jednak, bo czuła, że nie znajdzie słów odpowiednich. Spojrzała na pana Władysława, który ją obserwował z ironicznym uśmiechem na spokojnej twarzy; zimne spojrzenia pani Świetnoskiej, Ireny i kuzyna otrzeźwiły ją, i zapanowawszy nad sobą, zwróciła się do pana Władysława tonem, w którym brzmiała prośba:

— Kuzynku, kiedy spełnisz swoją obietnicę?

— Jaka? Czy względem papy?

— O nie. Kuzynek mi przecież przyrzekł to, i wiem, że dotrzyma — uśmiechnęła się przyjaźnie — ale obietnicę, daną mi w parku...

— Naprawdę, kuzyneczko, zapomniałem.

— A względem zaprosin pana Drewniaka.

— Ach, tak!

— On nas obronił przed chłopami; musimy mu podziękować...

— To prawda... Ale czy nie możnaby odłożyć?

— O nie, bardzo proszę kuzynka, gdyż mam pewien plan...

— Wolno wiedzieć jaki?

— Jestem głęboko przekonana, że gdyby ojciec kuzynka i pan Drewniak pozнали się bliżej, porozmawiali z sobą, wpłynęłoby to korzystnie na przebieg wyborów.

— Tak sądzi kuzyneczka? — Uśmiechnął się. — Jeśli jednak pan Drewniak odmówi?

— To będzie winą kuzynka. — Zaśmiała się. — Ja tak wierzę w znajomość ludzi kuzyna, że nie wątpię, iż jeśli kuzyn zechce, pan Drewniak przyjść musi...

— Hm... spróbuję.

— To moja prośba pierwsza... Czy kuzynek mi odmówi?

— Zrobię wszystko dla kuzyneczki — odpowiedział głosem, w którym brzmiało uczucie i uwielbienie.

W tej chwili nadszedł ksiądz proboszcz, tłumacząc swą nieobecność przyjazdem licznych gości i księdza dziekana.

Przewodniczący zadzwonił i po chwili przemówił:

— Wiec nasz zakończyliśmy szczęśliwie na chwałę Bożą i pożytek narodu. Wzywam was, bracia moi, abyście pilnowali prawyborów i zobowiązacie każdego delegata, aby głosował tylko na Stacha Drewniaka z Bruśnika, którego uważamy wszyscy za jedynego kandydata na posła do sejmu... A teraz zwracam się do wielmożnego pana, dziedzica Bruśnika... Proszę i błagam pana w imieniu całego wiecu, a jest tu przeszło tysiąc gospodarzy, ulituj się nad nami i cofnij, wielmożny panie, swą kandydaturę... Wszak widzisz, że naród ci nie sprzyja, postanowił wybrać Stacha Drewniaka, po co i na co mamy znosić prześladowania od różnych urzędników?... Wielmożny pan jest szlachcicem, niechże ciebie oni wybiorą, panowie szlachta, a zostaw lud w spokoju...

Pan Świetnoski wstał i szepnął do sąsiada:

— Księżę proboszczu, proszę uprzejmie, racz im powiedzieć, że nie cofnę swej kandydatury.

To powiedziawszy, poszedł w stronę plebanii.

Wiecownicy, oburzeni i zdziwieni, patrzyli za odchodzącym, klnąc zcicha, wtem odezwał się proboszcz:

— Proszę o głos!

I idąc ku mównicy, wziął pana Władysława pod rękę i szeptął:

— Ojciec pana polecił mi powiedzieć, że nie cofa swej kandydatury. Co mam powiedzieć? Jakie podać przyczyny?

— To rzecz najłatwiejsza — odpowiedział również szeptem pan Władysław — komitet kazał i ojciec musi słuchać.

— I to jest prawdą?

— Najzupełniejszą, i ręczę, że ojciec się nie zrzeknie.

Ksiądz poszedł dalej, a pan Władysław usiadł obok Ewci, która spytała:

— O czym będzie mówił ksiądz proboszcz?

— Papa prosił go, aby w jego imieniu przemówił do zgromadzonych; właśnie ksiądz powiadomił mnie o tem.

Ksiądz proboszcz, szanowany powszechnie, przemówił:

— Pan Świetnoski prosił mnie, abym was zawiadomił, że swej kandydatury się nie zrzeka.

— Obszarnik!... Zdzierca!... Dusiciel!

— Postanowił jego kandydaturę komitet centralny, a on musi słuchać jego poleceń, i zrzec mu się nie wolno.

— Żarty!... Kpiny!... Łże, jak pies, ten obszarnik!

Ksiądz, skłoniwszy im głową, szedł w stronę swych gości.

Przewodniczący zadzwonił.

— Zamykam wiec... a nie chce pan Świetnoski się zrzec, to się i obejdzie, jak powiada Brosz — zaśmiał się drwiąco.

Wieczownicy ruszyli się, a co bliżsi zawołali:

— Bóg zapłać za przewodnictwo, i tobie, sekretarzu, dziękujemy.



— Da Bóg doczekać, spotkamy się jeszcze—odpowiedzieli obydwaj, schodząc ze wzniesienia.

— Tak i już po wiecu — przemówił ksiądz proboszcz do pań.—Jakże się pani spodobał?—spytał pani Rokickiej.

— Bardzo piękny był wiec, i nie przypuszczałam, że tutejsi włościanie są tak dojrzały politycznie.

— Wandziu — uśmiechnęła się pani Świetnoska z ironią—czy i ten napad chłopów na nas był dowodem dojrzałości?

— Jakto? — zdziwił się proboszcz — czyż oni osmieliliby się to zrobić?

— I gdyby nie pan Drewniak, byliby nas rozszarpali—dodała panna Irena.

— Ale jak to było? kiedy? — mówił proboszcz, idąc obok pań w kierunku plebanii.

— Chłopi, podnieceni przez Maćka Brosza — wmieszała się Ewcia do rozmowy — przeciw kandydaturze pana Świetnoskiego, chcieli go wydalić z wiecu i z okrzykami zbliżyli się do nas.

— O, ten Brosz — westchnął proboszcz—on ich podjudza zawsze. Cóż dalej?

— Skończyło się na krzykach; przemówił do nich pan Drewniak, i uspokoili się — dodała Ewcia.

— Całe szczęście, że on pamiętał o tem, że pochodzi z Bruśnika, i rozumiał swój obowiązek — dodała pani Świetnoska tonem oschłym.

Ewcia zarumieniła się, już otworzyła usta, aby odpowiedzieć, wstrzymała się jednak, przygryzając wargi.

— Tak, tak — rzekł proboszcz. — Mówiłem, że Stach uczciwy, zacny i usłużny. A dobrze mówił Stach?—spytał Ewcię.

— Jasno, rozumiałe i z wielkiem uczuciem; to człowiek niepospolity.

— Słuszna uwaga, on przerasta głową wielu, bardzo wielu ludzi... Hm... otóż i on — wskazał na Drewniaka, dość oddalonego, idącego w otoczeniu wiecowników. — Zobowiązałem go, aby zaszedł na plebanię po wiecu; spodziewam się, że i panie będą łaskawe wstąpić do mnie i odpocząć po wrażeńiach...

— Dziękujemy, księżę proboszczu, ale zostawiłam w domu dzieci; już późno, trzeba wracać...

— Pani dobrodziejko, tylko na chwilę...

— Nie mogę... zresztą niech mąż decyduje.

Drewniak zbliżył się do drogi, którą szło towarzysstwo; spostrzegła to Ewcia, przysunęła się do pana Władysława, mówiąc cicho:

— Kuzynku, a moja prośba?... Teraz jest najlepsza sposobność, zwolnijmy kroku, on musi przejść obok nas, i kuzynek może go zaprosić.

— Zastosuję się do rozkazu kuzyneczki.

Ksiądz proboszcz, widząc zbliżającego się Drewniaka, zawołał:

— Chodź, Stachu, do nas, pójdziemy razem na plebanię.

Zbliżył się, uchylając kapelusza; wnet podszedł do niego pan Władysław i wyciągając rękę, przemówił tonem serdecznym:

— Dziękuję, bardzo dziękuję panu za wyświadczoną nam pomoc; wierz mi pan, że wdzięczność nasza jest wielka i szczerą.

— Zawiele wagi przywiązujecie państwo do drobnej przygody... Jakże wiec? — spytał pani Rokickiej.

— Był pod każdym względem prawdziwą niespodzianką dla nas.

— Zechciej pan uzupełnić swoją grzeczność dla nas, i proszę w imieniu ojca i swoim o odwiedzenie nas w Bruśniku.

— Wysoko cenię uprzejmość panów — odpowiedział z ukłonem — i służyłbym panom chętnie, ale istotnie zajęcia przed wyborami mam bardzo wiele.

— Znajdzie pan jednak chwilę swobodną — nalegał pan Władysław. — Powiem panu szczerze, pragnę widzenia pana z ojcem moim, bo może nastąpić jakieś porozumienie w sprawie wyborów, i uniknie się sporów.

Drewniak spojrzał mu badawczo w oczy, zastanowił się chwilę, i odpowiedział z wahaniem w głosie:

— Jeśli istotnie mogłoby to wpłynąć na przebieg wyborów, służę państwu... Kiedy mam się stawić?

— Zawsze będzie pan miłym gościem — rzekł pan Władysław, spostrzegłszy spoczywające na nim oczy Ewci. — Możeby dziś pan pojechał z nami?

— Dziś?... Nie, nie mogę, umówiłem się z kilku moimi przyjaciółkami za godzinę... Jednak jutro jestem wolny.

— A więc dobrze... Jutro czekamy pana — mówił młody Świetnoski, ściskając mu rękę.

— Co ty, Stachu, mówiłeś — odezwał się proboszcz — o jakichś schadzkach dziś wieczorem... To ci się nie uda; zabieram cię do siebie.

— Będę też u księdza proboszcza, i tylko na godzinę pójdę do nich...

— Nie puszczę cię teraz, chodź ze mną; gotów jesteś uciec — zaśmiał się.

— Ksiądz proboszcz żartuje, gdyż wie, że od takich przyjaciół nie ucieka się nigdy.

— Więc chodź...

Drewniak obejrzał się.

O jakie trzydzieści kroków na lewo spostrzegł grupę z trzech osób. Dwie wiejskie kobiety i chłop stali w miejscu, przypatrując się paniom i księdzu.



Poznał—to byli jego rodzice z siostrą; widocznie szukali go, aby przed wyjazdem swoim do Bruśnika pożegnać syna.

Drewniak spojrział na panie i pana, przeczuwał ich drwiące miny, czuł do nich żal dziwny; ale szybko się otrząsnął i rzekł do księdza:

— Przyjdę natychmiast na plebanię, ale wpierw muszę pożegnać rodziców.

— Hm... to już idź i wracaj szybko.

Skłonił się wszystkim i szedł prosto w kierunku rodziców, którzy, widząc go, zbliżyli się, i pierwsza matka podeszła do niego.

Ucałował ją w rękę, a ona go w czoło, i gła-skała jasne włosy, mówiąc z czułością i dumą macie-rzyńską:

— Bóg ci poszczęścił dzisiaj, mój synu, poznali się ludzie na tobie, i tyś już naszym posłem!

— Nic pewnego, matusiu, zobaczymy wybory, a wówczas powinszujecie mi, matusiu.

Ksiądz proboszcz, miłujący szczerze Drewniaka, nie omieszkał go pochwalić, jako dobrego syna.

— W oczach księdza proboszcza — odezwała się panna Irena ze złośliwą intonacją w głosie—ten pan jest skończonym ideałem.

— Jestem dość stary—przemówił ksiądz—i poznałem ludzi... Gdzieś w kącie, w cztery oczy bywa człowiek czuł z biednymi i ubogimi krewnymi, ale wobec ludzi i świata ledwie ich poznaje. Drewniak mógł uniknąć powitania, jednak poszedł do nich za popędem serca i obowiązku.

— Zapatrywanie księdza proboszcza wydaje mi się prawdziwe—potwierdziła pani Rokicka.

— Może i jest takie—dorzucił pan Władysław.— W każdym razie nie zna on *savoir-vivre'u*; dał się prosić o wizytę, jak ksiązę lub hrabia.

— Mamo—zwróciła się Irena—czy my z Ewcią wyjdziemy do tego pana? Bo — spojrziała na panią

Rokicką, rozmawiającą z zajęciem z księdzem — on przyjdzie tylko jako interesant do papy... Znudzimy się.

Ewcia, która szła obok, zarumieniała się z gniewu i rzekła porywczo:

— Niepotrzebnie łączysz mnie z sobą, Irenko, w tym wypadku... Ciocia pozwoli, że ja będę obecna w czasie tej wizyty.

— Naturalnie, moja Ewciu — odpowiedziała pani Świetnoska słodkim głosem. — Gość, zaproszony przez nas, już tem samem staje się nam równy.

Nadszedł pan Świetnoski, mówiąc:

— Konie gotowe... jedziemy; dosyć mieliśmy tego wiecu.

Nastąpiły dość serdeczne pożegnania, zaprosiny do Bruśnika, wreszcie wsiedli do powozów.

Pan Władysław, chcąc osłabić wrażenie oskarżeń Brosza, skorzystał ze sposobnej chwili i rzekł smutnym głosem:

— Jednak cywilizacya wśród chłopów robi małe postępy; mimo naszych usiłowań tyloletnich, brakuje im pewnej sumiennosci i bezstronności w ocenianiu faktów, jak gdyby pewne nerwy etyczne wcale u nich nie funkcjonowały.

— Tak sądzi kuzyn?

— Dziś mieliśmy jaskrawy przykład tego w przemówieniu Brosza...

— To wstętny oszczerca!—zawołała Irena.

— Irenko, używasz zbyt ostrych słów — upomniał brat. — Dla niższych umysłem i urodzeniem trzeba mieć wyrozumiałość i... umieć im przebaczyć...

— Istotnie, irytuję się niepotrzebnie — odpowiedziała spokojniej.—On nie zasługuje na to.

— W czym widzi kuzyn brak sumiennosci w chłopach?—spytała Ewcia.

— W tłumaczeniu na złe wszystkiego, co tylko zrobi pan... Naprzykład sprzedaż lasu była konieczną, aby nie wszczynać nieustannych sporów z chłopami, nie umiejącymi szanować cudzej własności... Wiem, jak papa długo się wahał, aż wreszcie dla zachowania harmonii pomiędzy wsią a dworem zdecydował się z bólem serca na sprzedaż. Taki jest istotny stan rzeczy, a słyszała kuzynka, co Brosz z tego zrobił?... Mnie to nie rozgorycza, bo jestem wyrozumiały na słabości ludzkie, ale papę musiało to zboleć.

— I w jakim stopniu — dodała Irena — najlepszy dowód, że nie zważając na naszą obecność, zawołał: „Kłamstwo!...” Gdyby o mnie ktoś taki, jak ten chłop, źle mówił, uśmiechnęłabym się tylko ironicznie.

— Pomijam już te jego gadania o rzekomej zmo-wie papy z urzędnikami starostwa.

— Podobno kuzyn opowiadał coś o spotkaniu się z urzędnikami, czy sekretarzem — wtrąciła Ewcia obojętnie.

— Tak, byliśmy z papą w urzędzie. ale w sprawie jakichś dróg, podatków, i przy sposobności zgadało się o wyborach.

— Wierzę kuzynowi, że Maciek Brosz, nie znając intencji i powodów pana Świetnoskiego — mówiła Ewcia tonem uprzejmości towarzyskiej — tłumaczył sobie to i owo fałszywie, jednak to kupno głosów żydowskich pozostaje zawsze niewłaściwością.

Pan Władysław poczerwieniał z gniewu, lecz powstrzymał się i dopiero po chwili rzekł z wyrozumiałym uśmiechem:

— Kuzynka jest jednak purytanką, zresztą tylko w tej jednej sprawie. Przecież tłumaczyłem kuzynce, dlaczego papa musi się chwycić takich dróg, to samo powtórzył marszałek Zawierzycki, a kuzynka zawsze ma za złe papie...



— Dużo spodziewam się po spotkaniu się pana Świetnoskiego z panem Drewniakiem w Bruśniku—powiedziała Ewcia.

Po chwili milczenia jąła panna Irena mówić o sąsiedztwie.

Rozmowa była ożywiona i przeciągnęła się aż do domu.

Gdy po kolacyi pani Rokicka, tłómacząc się znużeniem, cofnęła się dość wczesnie do swego pokoju, Ewcia, zostawszy sam na sam z matką, ucałowała ją bardzo czule i serdecznie, szepcząc:

— Moja złota mamó, jaki ten wiec był miły... jaki wspaniały... Wyobrażałam sobie, że nasi chłopci są dzielni, ale takich nie spodziewałam się spotkać...

— Tak marnych, Ewciu? — zaśmiała się matka.

— Dużo było w nich jednak przesady, moja Ewciu... Nadużywali mównicy, aby dokuczyć panu Świetnoskiemu.

— Ależ, mamó, czy on nie zasłużył na to?... Kupił głosy żydowskie, zmawia się z nimi, werbuje agentów i kłótników... spiskuje na swobodę wyborców... To przecież wszystko wstrętne, niemoralne, obrzydliwe...

— Nie unos się, Ewciu, jeszcze młoda jesteś i nie rozumiesz, co znaczy walka stronnictw politycznych.

— Panu Świetnoskiemu brak etyki!

— Wstydz się, Ewciu, wydawać sąd tak pośpieszny i bezwzględny o człowieku, którego znasz tak mało, a korzystasz z jego gościnności.

— Ja jestem bezwzględna? — zawołała. — Ależ, mamó, ja wszystkich ludzi szanuję, cenię, poważam, jeśli tylko zasługują na to... Dlaczego nie mówię nic złego o innych?

— No, już dobrze, dobrze... Jakże ci się podobał Władysław?

— On jest z nich wszystkich najlepszy, a może najsprytniejszy, zawsze umie się usprawiedliwić i winę złożyć na innych, na okoliczności i t. d., i t. d.

— A względem ciebie?

— Słodki, jak karmelek! — zaśmiała się. — Ale to źle, że wysmiewam się z niego. On jest dobry i daje się przekonać. Np. wpłynię na ojca, aby się zrzekł kandydatury.

— Wątpię; oni zbyt wiele przywiązują wagi do poselstwa; nie zgodzi się mąż Celinki, nawet na prośby syna.

— Zobaczymy, mamó — odpowiedziała pewna swego Ewcia. — Następnie zaprosił Drewniaka do dworu...

— Ewciu, czy ty wpłynęłaś na to? — spytała matka z lekkim niepokojem.

— Ja, mamó, zrobiłam to w pewnym celu, bardzo ważnym... Dlaczego mama tak badawczo patrzy na mnie?

— Nic, nic... Mów dalej... Jakiż to cel?

— Zaraz wyjaśnię... Otóż pan Świetnoski, namawiany przez syna, aby ustąpił, już się zachwieje... przychodzi na to Drewniak, gdy on pozna go bliżej, gdy rozmówią się, niepodobna, mamó, aby pan Świetnoski nie zrozumiał, iż pan Drewniak jest mądrzejszy, ma za sobą wyborców i młode, nieużyte siły; wtedy sam dobrowolnie ustąpi na rzecz pana Drewniaka... To, mamó, będzie moja zasługa—uśmiechnęła się z dumą.

— Ewciu, po co ty się mieszasz w te sprawy? Przyjechaliśmy tu tylko na kilka dni, a ty chcesz brać zaraz czynny udział, układasz jakieś plany, i wierz mi, Ewciu, że to wcale nie wypada dla panny zapraszać młodego człowieka do domu, gdzie jest się samą w gościnie.

— Ja też nie zapraszałam go, tylko prosiłam Władysława, mego kuzyna.

— Ach, Ewciu, tego tylko brakowało, abyś sama prosiła pana Drewniaka... Teraz dopiero rozumiem nalegania Władysława, zaproszenie Celinki... Co ty wyprawiasz, dziewczyno?...

— Cóż takiego, mamo?

— Jeszcze się pytasz!... Nie jesteś już dzieckiem, Ewciu, ale dorosłą panną, i zwracasz się z prośbą o przysługę do młodego mężczyzny...

— Do kuzyna, mamo.

— Taki daleki kuzyn, a żaden, to wszystko jedno... Naturalnie, to go spoufala i on zażąda znów od ciebie pewnych ustępstw, bo upoważniłaś go do tego... Chyba muszę przypuścić, że on podobał ci się tak bardzo... Bądź ostrożną i uważną, bo zdaje mi się, że on nie bez pewnych zamiarów jest taki usłużny..

— O to może być mama spokojna; nie nadaje się wcale na jego żonę, która musi się modnie stroić, stosować się do świata nudów i umieć zachować się wobec jego przyjaciół... samych hrabiów galicyjskich — zaśmiała się.

— Nie bądź, Ewciu, złośliwą—uśmiechnęła się matka wbrew woli, gdyż i ona nasłuchiwała się dosyć o hrabiach — a uważaj na siebie jutro przy panu Drewniak, nie wtrącaj się bez potrzeby i niewzwana do rozmowy, bierz przykład z Irenki, jak siedzi cichutko i milczy...

— Postaram się, aby mama była ze mnie zadowolona... Mamo, jak podobał się mamie pan Drewniak?

— Hm... podobał mi się... Mówił płynnie, dobrze, jasno...

— Co za olbrzymia różnica pomiędzy nim a panem Świetnoskim... On wie, czego chce, dokąd idzie, ma cel przed sobą, a pan Świetnoski mówił tak blade, bez zapału, bez myśli przewodniej...

— Nic dziwnego, Ewciu, czuł się w obcym, nie-



przyjaznym żywiole. Wobec siebie równych mówiłby z pewnością inaczej...

— I dlaczego narzuca się na postą, kiedy jest taki pan Drewniak, wyższy od niego o całe niebo?... Prawda, mamó, że to było szlachetnie z jego strony, że zrzekł się kandydatury... Tego nie zrobiłby inny.

— A Brosz, czy nie postąpił tak samo?

— To też i Brosz bardzo mi się podobał, ale wolę pana Drewniaka, bo myśl jego obejmuje szerokie horyzonty.

— Kto wie, czy to zrzeczenie się nie było sztuczką oratorską — próbowała matka osłabić wrażenie córki.

— Ach, jaka mama podejrzliwa! — oburzyła się. — On a udawanie, wybiegi, sztuczki jakieś, może kłamstwa i przekupstwa... Mama zaraziła się już od cieci, ja to widzę.

— Wcale nie, tylko znamy go tak mało... Inaczej, Ewciu, wyglądają ludzie na scenie, a inaczej w garderobie... Już późno, Ewciu. Pora spać.

— Już, mamó?... a nie mówiłyśmy jeszcze nic o wieczu...

— Jutro, Ewciu. Dziś jestem zmęczona. Dobranoc ci, moje dzieciątko złote.

— Dobranoc mamie.

---

## XII.

Panny w towarzystwie pana Władysława i Bolka, rozmawiając, spacerowały po ganku, i nie schodziły do ogrodu, gdyż słońce, mimo że już dobrze było z południa, paliło swemi promieniami.

Pan Władysław spojrzął przypadkowo na drogę, wiodącą ze wsi, a widną od zakrętu przy ogrodzie dworskim aż do pagórka i zawołał:

— Zdaje się, że idzie do nas bohater wczorajszego wiecu.

— Gdzie? Gdzie?—spytała panna Irena.

— Spójrzij na gościniec...

— A tak. To on...

Drewniak zbliżał się i postać jego stawała się wyraźniejszą.

— Prawda, Ewciu, jak to dziwnie, że ktoś na wsi idzie pieszo na wizytę—rzekła panna Irena.

— Jeśli nie ma koni i powozu... a zresztą jego rodzice mieszkają tak blisko—odpowiedziała zarumieniona, gdyż i jej to przyjscie pieszo wydało się niezwykajnem.

— Idzie już — szepnęła Irena — i to od frontu; pewno mu lokaj wskazał drogę—uśmiechnęła się złośliwie.

— A może sam ją wybrał—rzekła Ewcia.

— Zaraz się dowiemy — zaśmiał się pan Władysław i zeszedł ze schodów, aby powitać Drewniaka.

— To bardzo pięknie ze strony pana, że nie zapomniałeś pan o nas — mówił, ściskając jego rękę.

— Wszak przyrzekłem—zdziwił się lekko—więc przychodzę — i skłonił się pannom, stojącym na najwyższym stopniu.

— Spostrzegłem pana idącego w ostatniej chwili i właśnie miałem wysłać lokaja, ażeby wskazał drogę.

— Dziękuję panu, widziałem panie na ganku i szedłem wprost tutaj.

Wszedł na ganek, zrzucił paltot letni i zbliżył się do pań z powtórnyim ukłonem.

Ewcia, spostrzegłszy, że Irena unika podania ręki, nie podała jej sama, obawiając się, że przez uściśnienie ręki, niechęć Ireny okaże się jaskrawo.

Z chwilowego zakłopotania wybawiło je zjawienie się starszych pań; po przywitaniu rozmowa toczyła się o pogodzie, żniwach, Podolu, Galicyi, ze staraniem omijaniem wszystkiego, co mogłoby drażnić to lub owo stronnictwo.

Przyszedł wreszcie pan Świetnoski po drzemce poobiedniej i uprzejmie przywitał gościa.

— Długo bawił pan wczoraj w Kopowicach? — spytał.

— Nocowałem na plebanii, a dziś rano przyjechałem do rodziców.

— Ojciec już wszystko zebrał z pola?

— Zostało trochę warzyw i kartofli.

— Szczęśliwy człowiek. Ja mam jeszcze proso, kartofle, no i buraki; bodajto mieć mały kawałek: prędko się człowiek uwinie i ma spokój.

— Przypowieść jednak mówi: „Małe gospodarstwo, wielkie kłopotarstwo” — uśmiechnął się Drewniak.

Wszczął się ożywiony spór na ten temat, w którym i panie brały udział, wreszcie wszyscy zasiedli do popołudniowej herbaty.

Drewniak, pamiętając o celu swej wizyty, skończył z chwili ogólnego mileczenia i przemówił:

— Wczoraj przyszły wiadomości o rezultacie wyborów z dwóch sąsiednich powiatów.

— Tak? Może pan nam powiedzieć?

— W jednym — wymienił nazwisko powiatu — zwyciężył kandydat komitetu centralnego, a w drugim kandydat ludowy.

— To niespodzianka! — zawołał pan Władysław. — Dotychczas w tym powiecie przechodził kandydat komitetu.

— Hm... to istotnie dziwne — rzekł pan Świetnoski — a jak dla mnie, dla konserwatysty, jest to objaw smutny, nawet chorobliwy... Pan zna moje



przekonania, panie Drewniak: chłop nie dorósł i nie dojrzał do samorządu, powinien więc słuchać i iść za wskazówkami swojej starszej braci... I naprawdę nie wiem, do czego dojdzie to ich rozwydrzenie i rozpolitykowanie; to gotowa rewolucya, to rzeź...

— Zdaje mi się—mówił Drewniak—że wczorajszy wiec odbył się dość spokojnie, a był to jeden z burzliwszych.

— Tak? — zaśmiał się z goryczą pan Świetnoski.—Dobry mi spokój... No, zapewne brakowało tylko, aby nas wzięto na kosy.

— To już przesada.

— Ależ gdyby nie wdanie się pana, byliby się chłopci rzucili na nas.

— Nie tacy oni straszni—uśmiechnął się Drewniak—można z nimi trafić do ładu, do zgody...

— Na to ja za stary, i teraz po tym wiecu cenię i szanuję rozporządzenia i presję komitetu centralnego... Tu do wyboru są tylko dwie rzeczy: albo jawny bunt chłopski, albo ugiąć ich, zmusić do posłuszeństwa, dla naszego spokoju, a dla ich dobra... To może się komuś nie podobać, ale takie jest moje przekonanie. Jeszcze wczoraj wahałem się, ale po wiecu zrozumiałem jasno politykę komitetu centralnego i pozostanę jej wierny.

— Szanuję szczerłość pańskich przekonań — odezwał się grzecznie Drewniak — i zawsze wolę mieć otwartego przeciwnika, aniżeli chwiejnego przyjaciela.

— I pan myśli starać się o mandat? Nie zrzeknie się pan?—spytał z pewnem zdziwieniem naiwnem pan Świetnoski.

— Nie zrzeknę się.

— Ale dlaczego?

— Pan ma swoje przekonania — nazwijmy je konserwatywnymi — a ja jestem zdecydowanym zwolennikiem ludu i rozszerzenia jego praw.

Atmosfera przy stole stawała się ciężką, duszną, jak zwykle, gdy porywezy gospodarz daje się unieść swej krewkości.

Właśnie pani Świetnoska miała dać hasło do wstania od herbaty, gdy rozległ się przed gankiem trzask bata, a lokaj pośpiesznie mówił:

— Jaśnie wielmożna pani marszałkowa z córkami.

Pani Świetnoska, przeprosiwszy zgromadzonych u stołu, poszła razem z mężem i synem witać przybyłych, wkrótce wyszła i panna Irena; przy stole została pani Rokicka z Ewcią i Drewniak.

— Panie długo jeszcze zabawią w Galicyi? — spytał po chwili.

— Prawdopodobnie kilka dni—odpowiedziała pani Rokicka.

— Sądzę, że uproszę mamę, abyśmy wyjechały dopiero po wyborach; nigdy nie widziałam, a bardzo jestem ciekawa—odezwała się Ewcia.

— Same wybory, jeśli się nie jest wtajemniczonym w robotę zakulisową, są dość jednostajne. Delegaci z prawyborów idą z kartkami legitymacyjnymi, pokazują je na żądanie żandarmów lub urzędników i ustnie oddają swe głosy przed komisją wyborczą. Pozornie jest zazwyczaj wszystko w porządku.

— A jakim sposobem wejść za kulisy?—spytała Ewcia.

Drewniak nie zdążył odpowiedzieć, gdyż weszła pani Zawierzycka z Julcią i Zosią, prowadzona przez domowych.

Nastąpiła prezentacya, powitanie; pani Zawierzycka uprzejmie, ukrywając zdziwienie, przywitała się z Drewniakiem, i całe towarzystwo przeszło do salonu.

Po kilku banalnych frazesach, zapytaniu o zdrowie i przyczynę nieobecności marszałka, zaproponowano, aby młodzież poszła do ogrodu.

Julcia pobiegła oglądać kwiaty; trzy panny po-

szły naprzód, za nimi pan Władysław z Drewniakiem.

Po chwili panna Irena przywołała brata do siebie, aby zaproponował jakąś wspólną zabawę, a Ewcia tak się opóźniała, że Drewniak musiał iść obok niej. Gdy tamta grupa rozprawiała o wyborze gry, przemówiła Ewcia:

— Wierz mi pan, że bardzo mi przykro, iż pan Świetnoski nie zrzekł się swej kandydatury; miałam nadzieję, że po wczorajszym wiecu będzie skłonny do ustąpienia.

— Nie miałem, proszę pani, tej nadziei; przyszedłem tu bliżej poznać jego zapatrywania i, o ile potrafię, dobrze go usposobić dla ludu.

— Nawet i to nie udało się panu — westchnęła Ewcia.

— Nie mam jednak sobie nic do wyrzucenia, przyszedłem, usłyszałem jego zasady, nie zrobić nie mogę i jestem już zwolniony.

— Pan jednak zwycięży... Będzie pan po-  
stęmem...

— Nie wiem, proszę pani.

— Ależ cały lud za panem.

— Zostaje, proszę pani, robota za kulisami; tam knują się różne sposoby na prawyborców i na wyborców.

— Czy może mi pan o nich powiedzieć?

— Jeśli pani będzie na wyborach, zapewne się spotkamy; pokażę pani fakty wówczas, te najlepiej objaśnią panią, a w każdym razie niech się pani postara, z pomocą pana Świetnoskiego będzie to łatwym, zajrzeć do sali wyborczej w czasie wyborów.

— Dobrze, będę tam.

— Ewciu, zgadzasz się na krokietą? — spytała Irena.

— Zgadzam... A pan gra?

— Grywam wprawdzie, ale wkrótce odchodzę, więc nie będę brał udziału...



— Szkoda... Jeszcze jedno, ale proszę o szczerość...

— Szczery jestem zawsze.

— Czy to prawda, co mówił wczoraj Brosz o panu Świetnoskim?

— Potrzebne to pani?

— Bardzo.

— Więc o żydach i kupnie głosów powiedział prawdę; wiem o tem... O znowie z urzędnikami twierdzi Brosz, że ma naoczego świadka... To samo co do rady powiatowej...

— I ktoby się spodziewał, że pan Świetnoski jest taki podstępny, zabiegliwy? — dziwiła się Ewcia.

— To też nim nie jest.

— A więc kto? Komitet centralny?

— W osobie jego syna — uśmiechnął się. — On wszystko ukartował i prowadzi.

— Pan tego pewny?

— Proszę pani, stronnictwo ludowe ma w sobie coś z gorących sekciarzy, czy wyznawców, my wszędzie mamy dobrowolnych zwolenników, którzy pilnują naszej sprawy.

— To jeszcze nie odpowiedź — mówiła poważnie.

— Dzień po dniu wiemy, co robi nasz przeciwnik i wiemy, że wszystkim kieruje syn... Wczoraj zdziwiłem się bardzo, gdy mnie zapraszał, nie chciałem, obawiałem się podstępu, ale gdy nalegał, ustąpiłem.

Ewcia pobladła z oburzenia na swego kuzyna... Po chwili spytała:

— A sprawa z lasem?

— Pan Świetnoski sprzedał osiemdziesiąt morgów lasu, zostaje na trzy folwarki dziesięć morgów lasu i dziesięć krzaków. Chłopi, przerażeni brakiem opału i budulecu, podali prośbę do starosty o zakaz

wyrębu. Starosta przychylił się do prośby. Jednak syn pana Świetnoskiego, służąc w namiestnictwie, przez swe wpływy uchylił zakaz starosty i las rąbią.

— Dziękuję panu... Jeszcze jedno, te pieniądze z lasu poszły na wybory?

— Tego nie wiem, to sprawa pugilaresu i kasy pana Świetnoskiego.

— Wiem już... I jeszcze raz dziękuję panu za prawdę—podała mu rękę.

Uściskał ją, mówiąc:

— Zarazem żegnam panią.

— Już pan idzie?

— Idę, to nie mój świat.

— Ma pan słuszość: to nie nasz świat—i znów podała mu rękę.—Do widzenia na wyborach i szczerze życzę panu zwycięstwa.

— Dziękuję.

Podszedł do pań, naradzających się, w którym miejscu byłoby najdogodniej ustawić bramki do krokieta i skłonił się im uprzejmie.

Nastąpiły wzajemne ukłony pożegnalne i obaj panowie szli w kierunku dworu.

— Nie przypuszczałem, panie profesorze, że na ojca podziałają w tym kierunku niesprawiedliwe zarzuty Brosza... Sądziłem, że przebieg wiecu zniechęci ojca.

Na twarzy Drewniaka błąkał się niewyraźny uśmiech i odpowiedział utartym komunałem:

— Mylić się jest rzeczą ludzką.

— Ale pan nie ma do mnie żalu?—spytał pan Władysław tonem przyjaciela.

— Żalu żadnego... Mam nawet pewien rodzaj wdzięczności, jaki ma chory dla aptekarza, przyrzadzającego gorzkie lekarstwo z przepisu lekarza... A w panu Świetnoskim cenię otwartość i szczerłość, chociażby one były bardziej szorstkie, aniżeli sły-  
szalem.

W milczeniu podeszli pod ganek, na którym się działy starsze panie i pan Świetnoski.

— Pan Drewniak już nas opuszcza—przemówił pan Władysław—nie chce dłużej pozostać.

— Raczej nie mogę—uzupełnił Drewniak.

— Żałujemy, że na tak krótko pan nas odwiedził—uczyniła zadość formie pani Świetnoska.

— Zostań pan jeszcze — mówił tonem przyjaznym pan Świetnoski—jesteśmy przeciwnikami politycznymi, możemy jednak znać się i wspólnie czas spędzić.

— Muszę iść, gdyż zobowiązałem się na oznaczoną godzinę.

— A nie miej pan żalu do mnie, może się i uniosłem trochę, ale to na rachunek tego Brosza; do pana nie mam żadnej pretensyi.

— Dziękuję i za to uznanie — uśmiechnął się, i skłoniwszy się, odszedł.

— Jakóbie—rozporządzał lokajowi pan Władysław—krokiet zanieś do ogrodu.

— Będziecie grali?—spytała pani Zawierzycka.

— Tak jest.

— Niechże pan wyłączy Julcię, zanadto się zapala.

— Tem przyjemniejszy przeciwnik—uśmiechnął się — i proszę o pozwolenie dla panny Julci; sam przypilnuję, aby się nie męczyła zanadto.

— Przyjdziemy do was później — powiedziała pani Rokicka.

Pan Władysław w popielatym, eleganckim garniturze marynarkowym, w kapeluszu panama, szedł przyspieszonym krokiem w stronę pańien, i podchodząc do nich, zawołał tonem zadowolenia:

— *La corvée est finie*—przypomniawszy sobie jednak, że Ewcia nie lubi francuzczyzny, dodał: — Jesteśmy sami swoi, a teraz do zabawy.

— Jaki ten Władzio wesół!—zaśmiała się Ire-



na, a Zosia nie spuszczała z niego rozmarzonych oczu.

— Panno Julciu—zwrócił się do dziewczynki— podczas gdy reprezentuję dla pani ojca i mamę, proszę być grzeczną i słuchać mnie.

— Ani myślę — zaśmiała się zaczerwieniona — jestem pod opieką Zosi, nie pana.

Wreszcie ustawiono bramki i rozpoczęła się gra, którą ożywiał swemi konceptami pan Władysław; nawet pochmurna Ewcia uśmiechała się.

Pan Władysław obserwował ją pilnie i podchwytował jej badawcze, zimne spojrzenia rzucane na niego; zdawało mu się, że Ewcia, ile razy zbliży się do Zosi i żartuje z nią, staje się smutną. Czyż byłaby zazdrosną? przemknęło mu w myśli, a może? Kobiety, a zwłaszcza rozpieszczone panny, nie znoszą czasem cienia rywalki, spróbujemy doświadczenia, i gdy bila Zosi i jego stanęła obok, zawołał z uśmiechem zadowolenia, spoglądając niby w twarz Zosi, a nie spuszcżając oczu z Ewci:

— *Enfin réunis!*

Zdawało mu się, że około ust Ewci przebiegł uśmiech bolesny, i chcąc ją pocieszyć, dodał krokietując:

— *Pas pour toujours!*

Ewcia, najlepiej grająca w krokieta z biorących udział w grze, wyszła pierwsza; skończywszy partję, odeszła na bok i usiadła na ławce.

Mimo gry i żartów nie otrząsnęła się jeszcze z wrażenia, doznanego w rozmowie z Drewniakiem. Czuła głęboką niechęć do całej rodziny Świetnoskich, już nie jako do przedstawicieli niemilego jej stronnictwa, ale osobistą, jak po doznanej krzywdzie. To są ludzie obłudni, nieszczerzy, kłamliwi, grali podwójną grę z nią i z jej matką...

I jaki ten Drewniak, z którego oni drwią, jako

z chłopskiego syna, jest wobec nich wielki, potężny, czysty...

Gdyby tylko doczekać i przeczekać do wyborów!... Poprosi już matkę, aby wyjechała zaraz na jutro, ani chwili zwłoki, i nigdy, przenigdy nie zajrzy do Świetnoskich.

I ta Zosia Zawierzycka, ta wiejska madonna, naiwna i szczerą, ona kocha tego Władysława! Gdyby oczy jej otworzyć, gdyby jej wskazać fakty, jakim jest ów wyśniony Władysław, pewno wyleczyłaby się ze swej chorobliwej czułości...

Te i tym podobne myśli snuła Ewcia i w czasie gry w krokieta i siedząc na ławce.

Pan Władysław zaproponował jeszcze jedną partycję, i obserwując bacznie Ewcię, znów miał dla Zosi słodkie słówka, uśmiech i spojrzenia, pomagał jej w grze, aby Ewcię wyprzedziła w zrobieniu partyi.

Ewcia, widząc, jak Zosia poddaje się urokowi flirtu, posępniała coraz bardziej, co utwierdzało Władysława w przekonaniu, że Ewcia jest zazdrosną o Zosię, zatem on nie jest dla niej obojętny, i na tej podstawie snuł daleko idące plany i marzenia o życiu wykwiśniętym, bogatym, wspaniałym, gdy ożeni się z Ewcią, tak posażną panną.

Lecz dość już czułego flirtu z Zosią, teraz uspokoi zazdrość Ewci i musi ją przekonać, że on tylko ją kocha, o niej marzy i śni.

— Widzę, że kuzyneczkę znudził krokiet — zwrócił się z troskliwością. — Możemy grę przerwać.

— Władziu, jeszcze jedną partycję — zawołała rozbawiona Irena. — Grasz Ewciu i ty, Zosiu?

— Gram — rzekła Ewcia.

Pan Władysław, zbliżywszy się do Ewci, rzekł:

— Grajcie, moje panie, ja nie mogę... Nie jestem zmęczony, ale mam smutne przeczucia żalu i zmartwienia..

— Władziu, ostatnią partycję—prosiła Irena.

— Nie mogę... — Zwrócił się do Ewci i mówił eicho: — Grze brakuje duszy, bo kuzyneczka smutna, a smutek kuzyneczki działa na mnie, jak brak słońca i rosy na kwiaty.

Ewcia odsunęła się trochę i rzekła ze śmiechem:

— Zostawmy kuzyna z jego smutnym nastrojeniem duszy i zagrajmy same w krokieta.

Gra szła dość ospale, mimo usiłowań Ewci; wreszcie skończyła się.

— Panny, zmęczone krokietem, usiadły na ławce; zbliżył się do nich pan Władysław, rozpytujać o przebieg gry.

— Czy będzie pan w karnawale w naszych stronach?—spytała Zosia.

— Wątpię... Nie lubię balów, strojów, występów...

— Pan?—zdziwiła się szczerze.

— Tak jest, zmieniłem się... Sam siebie nie poznaję... Dawniej trwoniłem czas na tańcach i zabawach, ale spotkałem kogoś, kto mi wskazał drogę obowiązku, pracy... Teraz mam inny cel w życiu, może nie tak błyskotliwy, ale czysty, jak brylant, jasny, jak słońce — i z pod oka przypatrywał się Ewci, jakie wrażenie robi na niej to głośne wyznanie.

Nastało milczenie. Przerwała je Irena, zapytując:

— Cóż ty, Ewciu, takaś zamyślona?

— Ja?... Ach, tak. Myślałam, jak pani d'Alq w swem *savoir-vivre* nakazuje zachować się beneficentce, która nie chce i nie lubi hołdów beneficentnych.

— Dziwna myśl!—zaśmiała się Irena.

— Nie przypomina pan sobie, kuzynie Władysławie, tego ważnego przepisu kodeksu światowego?—uśmiechnęła się drwiąco.



— O ile wiem, o teatrze i aktorkach nic nie ma w książce tej pani—odciął Władysław.

— Jaka szkoda! Czy nie należałoby, kuzynie, poprawić edycję?

„Osa z niej — pomyślał pan Władysław, jednak sposób mój wzbudzania zazdrości był dobry, ale od tej chwili jestem tylko z nią i dla niej”. Rzekł więc uprzejmie:

— Kuzynka o tyle się myli, że uważa aktorki i aktorów za odrębny gatunek ludzi, a oni, pracując dla sztuki, są nam równi i obowiązują ich te same prawidła, co nas.

— Dziękuję kuzynowi. Teraz wiem już, że teatr na scenie i teatr w życiu są sobie równe—odpowiedziała z wyszukaną grzecznością.

Zbliżył się lokaj, zapraszając do stołu.

Przy kolacyi, gdy panny opowiedziały swoje przygody przy krokiecie, po ogólnikach o zbiorach i służbie, rozmowa zeszała na Drewniaka.

— Zdaje się, że on jest zupełnie *correct*—zauważyła pani Zawierzycka.

— Istotnie, gdy się uwzględni jego urodzenie i wychowanie, dziwić się należy, że przyswoił sobie pewne znośne formy—przyznała pani Świetnoska.

— Mojem zdaniem—rzekł pan Świetnoski — to chłopak niezły, dość rozumny, tylko wszedł na błędną drogę, burzy lud...

— I może utonąć w tej burzy — dodała żona złośliwie.

— Nie życzę mu tego, ale rada szkolna nie powinna dopuścić, aby agitator przewrotu bałamucił młodzież.

— Czy nie jadł mięsa łyżką lub nożem?—spytał Boles, który pragnął wtrącić się do rozmowy i zmanifestować swą dojrzałość.

Zaśmiano się z pytania i zaczęto mówić o wiecu; oburzano się szczerze na brutalny napad chłopów.

— Pani wybiera się na wybory, jak słyszałam? — zwróciła się pani Zawierzycka do pani Rokickiej.

— Chciałabym. Dla mnie i dla córki to nowość. A pani?

— Mąż mój będzie z urzędu, a ja wątpię, czy pojedę, teraz jesienią dużo mam zajęcia i dozoru.

Od samego początku kolacyi niepokoiła się matka smutkiem Zosi, siedzącej sztywno i bez uśmiechu; skorzystała z tego, że kolację ukończono i rzekła:

— Przepraszam, że wstaję pierwsza, ale księżyc zachodzi wcześniej, a w ciemną noc niebezpiecznie jechać.

Wyprowadzone na ganek, wsiadły do powozu, i zanim jeszcze wyjechały za ogrodzenie dworskie, spytała matka troskliwie:

— Zosiu, co ci się stało?

— Nic, mam.

— Byłaś taka smutna — i nachyliwszy się do ucha, szepnęła:—Czy co z panem Władysławem?

— Niech mama o nim nie wspomina, bardzo proszę mamy—mówiła po przez łyzy.

— Powiedźże mi, takim niespokojna...

— To aktor obrzydliwy: grał komedię ze mną, a teraz z Rokicką.

— Widziałas?

— Widziałam i słyszałam... Niecierpię go, brzydzę się jego fałszem.

— Pamiętaj, abys nie odwołała swych słów — powiedziała matka, a w głosie jej nie było żalu, raczej uspokojenie.

Zosia odpowiedziała z mocą i wielką stanowczością:

— Nic, mam, nigdy nie pożałuję, bo to prawda szczerą.

Matka westchnęła i cicho szepnęła:

— Bogu dzięki, że wczas przejrzałaś, moja Zosiu.

---

### XIII.

Już w przeddzień wyborów miasto powiatowe zaroilo się delegatami, wybranymi przez prawyborców, gdyż zapowiedziano w urzędach gminnych, aby delegaci stawili się w starostwie po południu, celem odebrania kart legitymacyjnych, upoważniających do wejścia na salę wyborezą i głosowania na kandydata do sejm.

Wielu prawyborców, zainteresowanych wyborami i pragnąc przypilnować swych delegatów, przybyło do miasta. Na placach miejskich co chwila tworzyły się grupy włościan, widnych po swych sukmanach, aby się umówić o miejsce zebrania wieczorem, po otrzymaniu kart legitymacyjnych. Policyanci jednak i gęsto krążące patrole żandarmów szybko rozpraszali zmagających się chłopów z polecenia starostwa, rzekomo, aby swem przystawaniem nie tamowali ruchu ulicznego.

Jedynie na placu targowym, gdzie stały wozy i konie włościan, musiano pozwolić gospodarzom opatrzyć konie, przypilnować wozów. Tu też uwijali się płatni agitatorzy pana Świetnoskiego, sami żydzi, namawiając chłopów do korzystania z gościnności najętych szynków. Otrzymywali wprawdzie ostre odpowiedzi odmowne, surowe nagany, zagrożenia obiciem, jednak odprawieni z jednej strony, znów przysuwali się, tłómacząc chłopom:



— Co wy, gospodarzu, taki zły? Czy nie można do was po ludzku zagadać?

— Nie mam co sprzedać, ani co kupić; odczep się utrapiony!

— Gospodarzu, wy zmęczeni, drogi taki kawał, napijcie się wódki... To darmo; ja nie nie chcę; wy możecie głosować, jak wam się podoba, a co wam szkodzi zjeść i wypić, kiedy jest taki głupi, że zapłaci za was.

— Idźże, bo cię trzasnę!

— Co to jest? Po co te krzyki? Ja do was, jak do człowieka, a wy zaraz z kijem.

— Pójdziesz!—i chłop zaklął.

— Tu nie wieś wasza! Co to za gwałt? Wy możecie bić się z chłopami, ale nie ze mną, ja miejski.

I dopiero pod grozą podniesionego w górę biczyśka ustępował agitator, ażeby podobną rozmowę przeprowadzić z drugim gospodarzem. Agitacya za szynkami, przypuszczalnem upiciem się, a tem samem łatwiejszą namową za oddaniem głosu panu Świetnoskiemu, nie powiodła się na razie prawie zupełnie, nie tylko z powodu charakteru wyborców, pilnowania ich przez prawyborców, braku gotówki na przekupstwo, ale też działał na wyborców wpływ osobisty Brosza i Drewniaka, z których pierwszy, stojąc przy swoim wozie, oczekiwał niecierpliwie na Stacha, poszukującego w mieście sali, aby wyborcy mogli się zejść i porozumieć z sobą.

Nadszedł wreszcie Drewniak, a Brosz wołał zdaleka:

— Bywaj tu! Bywaj! — a gdy się zbliżył: — Cóż Stachu, jest sala?

— Nie ma... Starosta zabronił żydom i katolikom wynajęcia nam sali, pod groźbą utraty prawa wyszynku.

— To podlec... A nie mogłeś najać jakiej izby?

— Nie chcę... Zachodziłem do kilku zajazdów, do kółka rolniczego, wszędzie spotkała mnie odmowa.

— To źle... Rozejdą się wyborcy po mieście; na pojedynkę łatwiej zapolują urzędnicy i żydzi; coś musimy poradzić...

— Mam nadzieję, wprowadzie słabą, ale zawsze jest, że dostanę salę.

— Gdzie? Gadajże.

— Mój dobry znajomy jest prezesem tutejszego „Sokoła”; byłem u niego dwa razy i nie zastałem, więc nie wiem nic pewnego.

— Idźże, na miły Bóg; za godzinę musimy iść po legitymacye do starostwa, a wpieryw powinien naród wiedzieć, gdzie ma się zebrać.

Zaledwie Stach zrobił kilka kroków, zawołał Brosz:

— Czekał, pójdę z tobą — i idąc razem mówił: — Mam tu w mieście znajomego stolarza z naszej wsi, byłem u niego kilka razy... Ma on warsztat i izbę z kuchnią; jeśli nie dadzą nam sali w „Sokole”, zbierzemy się u niego; wiem, że nie odmówi, bo on nasz.

Szli ulicą główną, nie dbając, że śledzą za nimi agitatorzy przeciwnego kandydata.

Przed budynkiem, na którym wisiała wielka tablica z napisem: „Towarzystwo gimnastyczne „Sokół”, rozłączyli się, umówiwszy się wpieryw o miejsce spotkania.

Drewniak, wszedłszy na piętro, zadzwonił u drzwi, na których widniał bilet z nazwiskiem, „Jan Dolecki, prezes „Sokoła”.

— Jest pan w domu? — spytał służącej.

— Kazał prosić—odpowiedziała, a w tej chwili z drzwi bocznych wyszedł brunet, krępy, niski z brodą krótko ostrzyżoną i zawołał z radością:

— Witaj, Stachu. Nareszcie zaszedłeś do mnie...

Po przywitaniu usiedli obaj w małym, skromnie umeblowanym saloniku.

— Przyszedłem do ciebie, Janku, z interesem i prośbą — zaczął Drewniak — wiesz, że kandyduję do sejmu z kuryi wiejskiej; jutro wybory... Chciałbym, by delegaci z gmin zebrali się dziś i wspólnie naradzili, policzyli swe głosy, poznali swą siłę...

— O cóż idzie?

— Szukałem sali w mieście i nigdzie nie chciano mi odnajść.

— A to ciekawe! I dlaczego?

— Zastaniają się rozkazem starosty, który zabronił wynajęcia lokalu na wspólną naradę delegatów.

— Ależ on nie ma prawa do tego — zawołał oburzony — to nadużycie władzy; on nie jest kacykiem, a my niewolnikami.

— Masz słuszność, Janku; można go zaskarżyć i zakaz zostanie zniesiony, ale to nie przeszkodzi, że dziś nie mają wyborcy lokalu, a na placu lub ulicy każdy policyant i żandarm rozpędzi zgromadzonych... Idzie mi o to, czy nie mógłbyś na dzisiejszy wieczór użyć nam sali „Sokoła”?

— Bardzo chętnie, mój Stachu, byłbym ci pierwszy zaproponował sądziłem jednak, że chciałbyś ucęstować czemś wyborców, co statutami jest u nas wzbronione.

— Jestem za ubogi na to, by podejmować tylu ludzi — uśmiechnął się — i taki traktament mógłby ktoś, nawet sami wyborcy, poczytywać za rodzaj przekupstwa, czego należy unikać ze względów moralnych.

— Zawsześ ten sam idealista — zaśmiał się gospodarz; — sądziłem, że świat nauczył cię praktyczności... Ileż masz głosów za sobą?

— Według ścisłych obliczeń, będzie za mną sto dwadzieścia pewnych. a pięć wątpliwych.



— Czy masz większość?

— Tak jest, gdyż mój przeciwnik ma czterdzieści żydowskich, dziewięć wirylnych, a piętnaście z gmin; przypuściwszy, że przyłączy się do niego pięciu wątpliwych, będzie miał dopiero sześćdziesiąt dziewięć.

— Zostaniesz więc wybrany, z czego szczerze się cieszę i serdecznie winszuję — mówił, ściskając mu rękę.

— Zawczasie, Janku, zawczasie — uśmiechnął się — dopiero jedną kataraktę przebyłem szczęśliwie, a mianowicie prawybory.. Teraz czekają wyborców różne sztuczki i sposoby komisarza ze starostwa, a jest on niewyczerpany w ich wynajdywaniu.

— Hm... hm... powiem ci prawdę, Stachu, nadużycia wyborcze są wszędzie i gdyby wasze stronnictwo było górą, robilibyście i wy to samo.

— Może... Jakkolwiek chłopi są za ubodzy i za skąpi, by forsować wybory pieniędzmi.. Cała przyczyna tego leży w tem, że urzędnik, będący stróżem praw, nie powinien być agitatorom stronnictw, a tego, niestety, wymaga się od urzędników i za to wynagradza.

— I jaka rada na to?

— Aby posłowie, przedstawiciele kraju, sami przestrzegali praw, a wówczas urzędnicy w obawie przed odpowiedzialnością i karą nie dopuszczaliby się nadużyć... Ale dosyć tej gawędy — mówił wstając -- zatem salę odstępujesz nam na ten wieczór?

— Już powiedziałem... Jestem niezależny i starosta nie ośmieli się zabronić mi użycia sali na zgromadzenie.

— Dziękuję ci serdecznie.

— Do widzenia, mój Stachu.

Drewniak pośpieszył na plac targowy, by spotkać się z Broszem, którego już zastał na miejscu.

— Cóż, Stachu, dostałeś salę?

— Mam. Teraz trzeba uwiadomić wyborców, że po otrzymaniu kart legitymacyjnych mają się zejść w budynku „Sokoła”.

— To będzie dość łatwo, bo wszyscy o godzinie czwartej będziemy w starostwie po karty; powiem naszym, a ty, Stachu, idź posil się i odpocznij.

— Zgoda... Zatem o piątej czekam was w sali...

— Już my przyjdziemy.

— Cóż ci mówił stolarz? — spytał Stach.

— Już uprzęta warsztat i izbę — zaśmiał się Brosz — nawet uprosił sąsiada, aby sąsiednich izb użyczył na ten wieczór.

— Trzeba mu dać znać, że mamy salę.

— Iii, nie śpieszno mi; kto wie, czy starosta, zwiedziawszy się o „Sokole”, nie zabroni sali.

— Zdaje się, że niema tej obawy.

— Wolę być pewniejszy; nie wielki to zachód uprzętnąć izbę — zaśmiał się Brosz — a zawsze mamy pewność zebrania się.

— Hm... niech i tak będzie; po zebraniu pójdziemy go przeprosić za kłopot.

W sali „Sokoła”, uprzętniętej z przyrządów gimnastycznych, wielkiej, podłużnej, jasno oświetlonej sześcioma oknami, ustawiono ławy i krzesła, urządzono nawet podwyższenie, jako mównicę. Zwolna małemi gromadkami schodzili się wyborcy, a było ich około dwudziestu, i rozprawiali żywo o przebiegu praw wyborów.

Wszedł Sobek Mączka; widząc go, Drewniak podszedł do niego i spytał:

— Cóż tak wolno schodzicie się? Już godzina szósta?

— A to przez komisarza w starostwie.

— Cóż takiego?

— Marudzi z każdym wyborcą przy oddaniu karty, że niech go... — i zaklął.

— Jest obowiązkiem jego sprawdzić osobistość każdego wyborcy; to trudno, Sobku, z tego nie można mu zrobić zarzutu.

— Bo gdyby on tylko sprawdzał, niechby i marudził, ale każdego namawia, aby oddał głos swój na Świetnoskiego, a obiecuje to wstrzymać egzekucyę, to wydanie paszportu, to zarobek przy szosie... Albo też grozi przeróżnemi karami, ale my nie tacy głupi, słuchamy, bo słuchać musimy, jako on starszy i siedzi pod cesarskim portretem, a każdy z nas swoje robi.

— Hm... to on źle robi.

— Powiadam ci, Stachu, że człowieka aż język świerzbi, aby mu powiedzieć słowa prawdy... Cóż, kiedy siedzi w urzędzie... Już trzech naszych zamknął, niby za opór władzy, a to tylko za słowa prawdy...

— Kogoż uwięził? — spytał Stach zaniepokojony.

— Ano Miłka, Frączka i Brózdę, bo ten tak, ten owak, ale wszyscy zgodzili się na jedno, że, powiadają, my tu nie przyszli po instrukcyę, kogo mamy wybierać, od tego są prawyborcy i musimy ich słuchać, ale przyszliśmy po karty legitymacyjne. Tego było temu psu i potrzeba; z miejsca posłał ich do więzienia za obrazę i hardość, jako on urzęduje pod portretem cesarskim.

— Było, Sobku, uprzedzić innych wyborców, aby milczeli.

— Obeszło się bezemnie, bo zaraz przybiegł stróż od więzienia i dał nam znać; myślałem, że Maciek oszaleje z gniewu, ale wytłómaczyli mu zaraz, co zyska, gdy ulży swej złości, tyle, że go zamkną, a ty, Stachu, stracisz znowu głos jeden.

— To dobrze, że Brosza uspokoiłi.

Weszło kilku chłopów do sali i zaraz spytał ich Sobek:

— A co macie już karty?



— Mamy.

— Prędko was wypuścić? Mnie trzymał ten zatracony długo.

— Ba i nas, tylko, że teraz dwóch wydaje karty legitymacyjne, to idzie żwawiej.

W bocznych drzwiach sali stanął prezes „Sokoła”, i dał znak Drewniakowi, aby się zbliżył. Weszli do pobocznego pokoju, zamknawszy drzwi za sobą.

— Nie chciałem, Stachu, mówić ci przy wyborcach, ale starosta już drugi raz przysyła do mnie, bym nie dawał wam sali.

— I cóż?

— Pierwszy raz odpowiedziałem, że według statutów sala przeznaczona jest na zgromadzenia, bez zastrzeżenia, jaki one mają charakter. Drugim razem zażądał jego wysłannik, bym mu pokazał uchwałę wydziału, upoważniającą mnie, jako prezesa „Sokoła”, do oddania sali na dzisiejsze zebranie.

— No, takiej uchwały nie masz, Janku. Jaka szkoda! — westchnął.

— Powiedziałem, że książka uchwał jest zamknięta, a klucz u sekretarza... Że bez piśmiennego zażądania ze starostwa książki nikomu nie myślę pokazywać. Odszedł; przypuszczam, że starosta nie zechce dać piśmiennego dowodu swej stronniczości dla pana Świetnoskiego i nie będzie się mieszał w nasze wewnętrzne rzędy wydziałowe... Jednak, bądź co bądź, uprzedzam cię o możliwości jakiegoś nadużycia ze strony starosty i nie miej mi za złe, gdy wzbronią ci sali... Ależ ciebie prześladują!

— Gdyby tylko mnie, lecz jak dokuczają chłopom, którzy są za mną! Grożą im i spełniają swe groźby, odszukują dawne, już zapomniane przepisy, okólniki starostwa i rady powiatowej, pod pozorem nieposłuszeństwa rozporządzeniom władzy karzą moich zwolenników.

— Ależ to krzyczące nadużycia!... I dziwi mnie że chłopci idą jeduak za tobą, że nie zlekli się.

— Mój drogi, tamci ludzą się, że wstrzymują ruch ludowy, cieszą się podstępniemi zwycięztwami i te zastaniają im oczy na siłę, rosnącą z dniem każdym. Może ja, i tacy jak ja, upadniemy przy wyborach, ale wierz mi, że tacy, jak Maciek Brosz, zwyciężą, bo oni sfanatyzują chłopów i wówczas może być źle nie tylko ze szlachtą, ale z całym krajem może na długie lata, zanim się uspokoją nienawiści kastowe.

— Hm... to prawda, oni będą wszystko obniżać do swego poziomu inteligencji i potrzeb. Jednak miejmy nadzieję, że ty i tobie podobni nie wyginą i masz najlepszy dowód, bo jutro będziesz posłem.

— Może... Dziś już uwięzili moich trzech wyborców za hardą odpowiedź... A ilu przerażą, przekupią, uwiężą... Bo człowiek jest zawsze człowiekiem, obawiającym się teroryzmu i prześladowań; cóż dziwnego, że dla dobrobytu i spokoju poświęci swe przekonania, zwłaszcza, gdy je świeżo nabył, nie zróść się z niemi i nie jest fanatykiem... Słuchaj, Janku, gdyby nadeszło coś nowego w sprawie sali, uprzedź mnie chociaż na kilka minut.

— Dobrze, Stachu. Już idziesz?

— Czekają mnie... Dowidzenia.

W sali było około pięćdziesięciu wyborców, którzy rozmawiali z wielkiem ożywieniem o wyborach, cenach zboża, tegorocznych urodzajach.

Wszedł Maciek Brosz, którego Drewniak przywitał serdecznie, mówiąc:

— Myślałem, że cię uwięziono, tak długo nie przychodziłeś...

— Nie głupim dać się złapać na ich plewy — zaśmiał się — nastawał na mnie okrutnie komisarz, ale zaciąłem się i pary z ust nie puściłem, a ręce tom trzymał twardo przy sobie, aby się nie wyrwały i nie lunęły tego zwodziciela.

— To mnie cieszy; a gdzież inni?

— Ściągną się powoli, tylko pięciu kazał już zamknąć komisarz, a pięciu drugich zabrała policya; tych wszystkich puszcza dopiero po wyborach.

Jakto, aż dziesięciu! Ja słyszałem tylko o trzech od Sobka...

— No tak, póki był Sobek, było trzech, potem aby im się nie cknęło w ciupie, dodał im komisarz dwóch — śmiał się drwiąco — a tamtych pięciu, chociaż wszystkich npominał, dali się wziąć żydom. Te żydy umyślnie kłótnię wszczynają, doprowadzają do bójki i ty, chłopie, marsz na policyę.. Taki jest pański porządek. Cóż robić z głupimi, którzy sami wiażą w sidła nastawione!

— Żeby chociaż innych ostrzedz — westchnął Stach.

— A czyś ty im nie mówił? A ja czy nie gadałem? Ale na głupotę niema lekarstwa.

Na podobnych rozmowach, opowiadaniach szczegółów upłynęło z pół godziny; już zaczęło się na dobre zmierzchać i służący w sali „Sokoła“ zapalał lampy, jednak wyborców nie było więcej, niż sześćdziesięciu, zamiast oczekiwanych stu dziewięciu, gdyż jedenastu zwolenników posła ludowego siedziało w więzieniu.

Po chwili wszedł na salę woźny i zbliżywszy się do Drewniaka, rzekł:

— Pan prezes prosi.

Zaniepokojony poszedł do przyległego pokoju.

— Co się stało, Janku?

— Źle, Stachu... Starosta przysłał urzędnika z dwoma żandarmami; stoją w sieniach, gdyż poprosiłem o zwłokę, by cię uprzedzić... Urzędnik przyszedł do mnie z tem, że wprawdzie sala służy do zebrań, ale niech się wszyscy uczestnicy wykażą zaproszeniami z mej strony. Tłómaczyłem urzędnikowi, że ty ustnie zaprosiłeś ich w mojem imieniu, że na żądanie dam każdemu bilet zapraszający, nie chce ustąpić, a za sobą ma siłę zbrojną.



— Dziękuję ci, Janku, że mnie uprzedziłeś... Powstrzymaj ich przez pięć minut, a rozejdziemy się.

— Dobrze... Sprawże się szybko, Stachu — zawołał za odchodzącym.

Drewniak zawiadomił niemal szeptem zebranych, że salę muszą opróżnić i pojedynczo, aby niezwracać uwagi niczyjej, zebrać się u stolarza w ustronnej uliczce, a Brosz wskaże bliższy adres.

— A co, Stachu! — tryumfował Brosz — nie przydał się warsztat i izby? Znam ja panów dobrze i mnie nie wywiodą w pole!

Rozeszli się cicho, bez narzekań i odgrózek, przechodząc w milczeniu pomiędzy dwoma żandarmami, którzy strzegli drzwi, trzymając w pogotowiu najeżone bagnety w razie oporu ze strony włóścian.

Dopiero po godzinie 9-ej w nocy zebrało się siedemdziesięciu wyborców w trzech izbach i warsztacie. Było tu duszno i gorąco, że pot spływał kroplami, a zaduch z wyziewów ciał ludzkich, kleju stolarskiego, zapach kwaskowaty z drzewa, mieszał się z wyziewami kuchennymi i zgnilizną rynsztoków podwórzowych. Kilka świec, z chwiejącymi się płomieniami zaledwie rozświetlało grubsze mroki, rzucając dziwne cienie na twarze siedzących i stojących chłopów, którzy w tem niepewnym oświetleniu wyglądali posepnie i groźnie.

— Moi bracia—przemówił pierwszy Drewniak—zebraliśmy się tu, bo, jak wiecie, nie chciano nam w mieście odnajać sali. Dom ten leży na ustroniu, nie każdy go odnajdzie, więc też wielu z naszych brakuje, i proszę was, abyście uwiadomili nieobecnych, że jutro o godzinie 8-ej zrana odbędzie się w kościele farnym msza święta na intencję szczęśliwego zakończenia wyborów, na którą was wszystkich zapraszam...

— Dziękujemy... Przyjdziemy... Powiemy innym...—mówili ci i owi.

— Przebyliśmy szczęśliwie prawyборы, może Bóg da, że zwycięzko wyjdziemy i z jutrzejszych wyborów, bo za posłem stronnictwa ludowego, to jest za mną, za Drewniakiem, było stu dwudziestu delegatów...

— To i musimy zwyciężyć — zawołano wesoło.

— Było nas tylu, ale jedenastu zamknięto już w więzieniu, aby uniemożliwić im oddanie głosów na mnie. Z jakich powodów i dlaczego to się stało, wiecie sami i powtarzać nie potrzebuję. Was jednak, moi przyjaciele, wzywam i proszę, starajcie się o spokój i zimną krew. Nie obawiajcie się groźb i surowych spojrzeń urzędników. Głosujcie odważnie, śmiało, bez obawy, gdyż jeśli i przecierpicie, to za sprawę ludową, a nie za brudy i winy.

— Wybierzemy ciebie!... Tyś nasz poseł!... Wivat Stach Drewniak! — zawołali niektórzy, ale uciszyli się prędko, spostrzegli bowiem, że krzykiem mogli zdradzić swą obecność.

Za stołem stanął Maciek Brosz i tak przemówił:

— Moi bracia, my tu, wszyscy wyborcy, mamy zaufanie narodu, bo każdy z nas przedstawia w swej osobie pięćuset zamożniejszych włóścian. A wiecie wy, moi bracia, ilu chłopów trzeba, aby mieli prawo wybrać jednego posła? Wiem, to i wam powiem... Otóż 55 panów wybiera jednego posła, już trzeba 4,410 mieszczan bogatszych, aby mieli posła, a 18,200 chłopów zamożniejszych ma także tylko jednego posła, nie mówię już o tem, że miliony uboższych mieszczan i chłopów, tudzież robotnicy nie posiadają ani jednego przedstawiciela w sejmie. To widzicie, moi bracia, jest sprawiedliwość pańska, ale każdy szlachcic mówi zawsze: „równość stanów, braterstwo”, i powołuje się na miłość bliźniego, jeśli chce nas zmianić!...

— Choroba z taką miłością!... Bodaj wyginęli!... Bodaj przepadli!

— Dali nam dziś przedsmak, co nas jutro czeka... Horda żydów nas opadła i ciągnęła do szynków... Inni znów wyzywali nas do kłótni... Ale na żyda człowiek tyle zważa, co na psie łajanie... Może jednak znajdą się miejskie katoliki i zechcą wszezać zwadę, to już może boleć człowieka, ale najgorsza rzecz, gdy swoi, gdy zaprzedańcy, ci judasze, co zapredali krew chłopską, będąc sami chłopami, zaczną z nas drwić i kpić, naśmiewając się, żeśmy głodni i biedni... Z tymi chłop rzetelny z trudnością wytrzyma, a jednak trzeba, bo tylko rękę podniesiesz, bracie, a już cię capnie policyant albo żandarm i przesiedzisz czas wyboru w ciupie, jak tych naszych jedenastu, a może jest ich już więcej. bo siła naszych tu braknie.

Rozległy się ciężkie westchnienia, klątwy i ciche przekleństwa.

— Jeszcze nie czas, bracia moi, do porachunku rzetelnego, ale on przyjdzie, może prędzej, niż myślicie... A teraz zakpijmy sobie z ich usiłowań, zadrdwijmy ze starosty, komisarzów, egzekutorów, inspektorów i wszystkich panów, choć oni mają wojsko za sobą, żandarmów i policyantów, a my tylko gołe ręce, ale i serca chłopskie i wszyscy, jak jeden, głosujmy za Stachem Drewniakiem, bo to nasz, chłopski poseł.

— Wiwat nasz poseł... Zwyciężymy!

— Nie zwyciężymy, jeśli oddacie głosy na innego kandydata, a że człowiek jest słaby i ulega pokusie wszelakiej, to aby był twardy i nieubłagany, niechże zrobi to, co ja...— odwrócił się, zdjął krucyfiks ze ściany, ucałował i położywszy dwa palce na nim, mówił poważnym głosem:

— Przysięgam na ten krzyż i na rany Chrystusa, że będę głosował za Stachem Drewniakiem.

Zgromadzeni wysłuchali przysięgi ze zdumieniem i w takiej ciszy, że przez otwarte okna słychać



było szum drzew przy domu zasadzonych i daleki turkot wozu.

Bez wezwania, zachęty, wahania każdy przystąpił kolejno do krucyfiksu i składał przysięgę.

Gdy wszyscy wykonali przysięgę, rzekł Maciek Brosz:

— Teraz rozejdziemy się cicho i spokojnie; zmarnowaliśmy kawał nocy, ale to dla sprawy ludowej; obaczmy się wszyscy w kościele farnym, a ja przystępuję do Przenajświętszego Sakramentu, bo chcę mieć sumienie czyste, gdy pójdę o dziewiętej do głosowania.

— I ja to zrobię!—ktoś zawołał.

— I ja... I ja... I my!

Maciek Brosz wraz z kilku innymi nocował u stolarza, chcąc jednak umówić się ze Stachem, kiedy i gdzie spotkają się nazajutrz przed pójściem do kościoła, wyszedł z nim na chwilę na ulicę. Gdy się już ułożyli o czas i miejsce, rzekł Drewniak:

— Mój Maćku, po co była ta przysięga?... Przysięgi należy zachować na ważniejsze rzeczy, na dochowanie tajemnicy, a my przecież działamy jawnie i otwarcie.

— Oj Stachu, Stachu—zaśmiał się Brosz—widać po tobie, że dawno wieś opuściłeś; toż głodny brzuch chłopca woła jeść i pić; niejeden nie ma grosza w chałupie, a podatki wiszą nad nim, a sekwestrator i egzekutor tylko czekają skinienia... On ciebie nie zdradzi, nie da głosu za panem, ale może nie dać za nikim... A teraz musi głosować, bo go związała przysięga, a to wielka rzecz i grzech śmiertelny złamać ją.

— Może i dobrze zrobiesz... Dobranoc, Maćku! Do jutra!

— Dobranoc, Stachu! Śpij spokojnie!

## XIV.

Ewcia tak prosiła i nalegała na wczesny wyjazd, że już o dziewiątej zajechał najpierw powóz, wiozący panią i pana Świetnoskich przed hotel Europejski w mieście powiatowem, położony na placu przed kościołem farnym, a w kilka chwil później przybył drugi powóz, z którego wysiadły panny i pan Władysław. Pani Rokicka, z powodu bezsennej nocy, cierpiąca i osłabiona, musiała pozostać w domu.

Pan Władysław, otaczający dziś Ewcię większą, niż zazwyczaj, uwagą i pieczołowitością, kazał właścicielowi hotelu dać paniom najlepszy salon z pokojem, dla siebie zaś i dla ojca osobny numer.

Panie weszły pierwsze po schodach na piętro, za nimi zwolna panowie.

Wtem posłyszeli silny chórally śpiew znanej pieśni nabożnej: „Kto się w opiekę poda Panu swemu...” Zbliżyli się do otwartego okna, a równocześnie posłyszeli otwieranie drzwi do balkonu na pierwszym piętrze i dźwięczny głos Ewci:

— Jaka to procesya? Czy dziś święto?

Do stojącej na balkonie Ewci przyłączyły się pani Świetnoska i Irena; wszystkie patrzyły ciekawie na liczny tłum włościan.

Przeszło stu chłopów, z odkrytymi głowami, ze skupioną powagą w twarzach, wyszedłszy z kościoła farnego, szło w kierunku starostwa, śpiewając pieśń pobożną. Wśród idących poznała Ewcia Drewniaka, jednak swe odkrycie zostawiła dla siebie, domyśliła się, że są to zapewne wyborcy i patrzyła za idącymi tak długo, póki nie zniknęli na zakręcie.

Za chłopami szły tłumy ciekawych.

Ewcia weszła do pokoju z balkonu w chwili,

gdy pokojówka hotelowa wniosła wytrzepane z kurzu płaszczyki podróżne.

— Powiedz mi, kochana—przemówiła pani Świetnoska do wchodzącej—co to za procesya?

— To żadna procesya — odpowiedziała z uśmiechem—to chłopstwo dziś zjechało na jakieś wybory—zrobiła grymas lekceważący — i robią z siebie takie widowisko.

— Więc to wyborcy?

— Tak jest, jasna pani, ale to chłopci wybierają, nie panowie.

— A nie wiesz, kto ma być wybrany posłem?— spytała Ewcia.

— Różnie mówią, proszę jasnej panienki, ale najwięcej to mówią, że jakiś profesor, czy nauczyciel chłopski.

Pani Świetnoska chciała zrobić uwagę Ewci za niewłaściwe dopytywanie się o plotki, ale powstrzymała się i odezwała słodkim głosem:

— Zapewne macie panny swoje drobne sprawunki?... Pójdziemy razem.

— A na wybory, ciociu?

— To wydział Władzia—odrzekła z uśmiechem.— On obowiązał się być waszym ciceronem w tej fantastycznej wędrówce.

— W takim razie musimy, ciociu, wpierw rozmówić się z kuzynem Władysławem, bo głównie przyjechałyśmy dla wyborów.

— Irenko, zadzwoń, proszę — rzekła do córki pani Świetnoska, a lokaja wchodzącego spytała:

— Czy panowie, którzy z nami przyjechali, są u siebie?

— Tak jest, jasna pani.

— Idź, poproś młodego pana do nas.

W kwadrans przyszedł pan Władysław, wyświeżony, wyperfumowany, i spytał:



— Mama kazała mnie zawołać? Staję gotów do usług.

— To panny, nie ja, mają interes do ciebie.

— A przedewszystkiem Ewcia, bo idzie o wybory—uśmiechnęła się Irena.

— Miło mi będzie spełnić, jak zawsze, rozkazy kuzynki.

— Przyjechałyśmy, aby widzieć wybory. Kuzyn zobowiązał się pokazać nam wszystkie szczegóły ich przebiegu. Kiedy pójdziemy?

Spojrzał na zegarek i odpowiedział:

— Teraz jedenasta... Jeszcze spokój pomiędzy wyborcami... Tak około dwunastej, pierwszej zacznie się ruch żywszy.

— Zatem idziemy o dwunastej, kuzynie.

— Dobrze, kuzynko.

Wkrótce panie wyszły za sprawunkami. Wprawdzie Ewcia nie miała nic do kupienia, ale wolała chodzić po sklepach, przypatrywać się ludziom i budynkom, aniżeli zostać sama w hotelu.

Zegar ratuszowy wydzwonił dwunastą.

Pan Władysław równym krokiem przechadzał się tam i z powrotem pod kamienicą hotelową; spostrzegłszy panny, przyspieszył kroku i rzekł z uśmiechem:

— Byłbym tak czekał na kuzynkę do białego dnia...

— Opóźnienie nie z mojej winy—odpowiedziała Ewcia.

— Pójdę na górę złożyć sprawunki — mówiła Irena, wskazując na kilka małych paczek.

— Jak kuzyn sądzi, kto przejdzie? — spytała Ewcia.

— Ze względu, że jestem synem, muszę być za papą... Gdyby kto inny na miejscu papy kandydował... może byłbym nawet za Drewniakiem.

— Jaka szkoda, że pan Świetnoski kandyduje z tej kuryi. I kto mu poddał tę myśl?

— Komitet centralny kazał mu się starać o ten mandat.

— Ale ktoś musiał zaproponować komitetowi.

— Pan Zawierzycki, jako marszałek powiatowy...

Nadeszła panna Irena i poszli w kierunku starostwa, dość oddalonego od hotelu. Na ulicy snuły się tłumy przedmieszczan, robotników i żydów, zwabionych ciekawością, jak wypadną wybory.

Bliżej budynku w zwartej masie stali prawyborcy chłopi, którzy towarzyszyli delegatom do miasta, i od czasu do czasu to ten, to ów wołał do delegata po imieniu i nazwisku:

— Głosujcie na naszego!

Delegaci, odcięci kordonem żandarmów od reszty publiczności, czekali kolejnego wezwania i szli w głąb budynku starostwa, aby oddać swój głos. Część ich, może ze trzydziestu, stała na ulicy, reszta w sieniach i podwórzu starostwa. Wśród nich uwiłali się żydzi chałatowi, pisarze gminni, woźni i inne osobistości, krążąc swobodnie, komunikując się z publicznością, i tych przepuszczali żandarmi, żądając tylko od czasu do czasu okazania biletu wstępu; wszystkim innym przystęp do delegatów był wzbroniony.

Twarze delegatów były zmęczone, poważne. Czekali wywołania swego nazwiska i wówczas dopiero ożywiali się, spiesząc do budynku szybko, roztrącając stojących im na drodze.

Panny z panem Władysławem, przesunawszy się przez tłum, stanęły dość blisko kordonu żandarmów, którzy, ze względu na ich elegancki wygląd, pozwolili stać im w pobliżu.

— Kuzynie Władysławie, gdzie są wyborcy? — spytała Ewcia

— Za kordonem... Oto słyszy kuzynka, zawołano: Jan Bielak!... To ten w sukmanie szarej... Jak go namawiają inni chłopci... A teraz złapali go agenci... Wyrwał się im... poszedł.

— A dlaczego jednym wolno wchodzić pomiędzy wyborców, innym nie, i co to za jedni ci żydzi?

— Każdy z tych ludzi, którzy wchodzi i wychodzą, ma osobne pozwolenie na to od komisarza wyborczego... To są agitatorowie różnych kandydatów.

— Teraz rozumiem—odpowiedziała cicho i jakby zawstydzona, czuła się bowiem upokorzona i współwinna, będąc w towarzystwie tego, który wysłał tych agitatorów.

— Wróćmy, Ewciu, do hotelu, tu zaczyna być nudno—doradzała Irena.

— Ależ, moi państwo — zaśmiała się Ewcia z przymusem—nie widzieć sali wyborczej, to jak być w Rzymie i nie widzieć Papieża!

— Zaczekajcież panie tu chwilę, zaraz powrócę.

Skinął na jednego z agitatorów i szepnął mu, wymieniwszy wprzód swe nazwisko:

— Utoruj mi drogę.

Żyd w brudnym, zabłoconym chałacie, zziębnięty, zmęczony, zachrypły od krzyku, skłonił się pokornie, powiedział żandarmowi nazwisko pana i roztrącając brutalnie milczących wyborców, zrobił wygodne przejście.

Ewcia przypatrywała się z uwagą czynnościom żyda agitatora, podziwiając pokorę chłopów, wtem posłyszała znajomy głos:

— Dzień dobry pan!

Odwróciła się, wyciągając rękę na powitanie Drewniaka.

— Dzień dobry!... Pan zwycięży?

— Nie wiem... Liczyłem na sto dwadzieścia



głosów włościan; z tych zamknięto dwudziestu dwu; trzy głosy unieważniła komisya wyborcza, kilku odjechało do domu, nie głosując, tak przelékli się kary, kilku napewno mnie odstąpi, razem będę miał przeszło osiemdziesiąt głosów.

— Czy wystarczą?

— Według mego rachunku, ta cyfra będzie dostateczną, bo większość liczy się tylko w stosunku faktycznie oddanych głosów.

Po chwili spytała Ewcia:

— Dlaczego pan nie jest wśród wyborców?

— Komisarz wyborczy nie dał pozwolenia ani mnie, ani moim przyjaciółom...

— A ci żydzi i inni? — wskazała na krążące wśród wyborców osobistości.

— To agitatorzy pana Świetenoskiego.

— Więc im wolno? — zdziwiła się.

— Otrzymali pozwolenie.

— Ależ to niesprawiedliwość — oburzyła się.

— Jedna z mniejszych — uśmiechnął się.

— Stachu! Stachu! — zawołał Brosz, wychylając się z tłumu o kilka kroków od pań — masz już sześćdziesiąt osiem, o pięć więcej od szlachcica... Górą nasi!

Prawyborcy i tłum zawołali z radością:

— Górą nasi! Wiwat Drewniak!

Pożegnawszy panny, poszedł Drewniak w stronę Maćka Brosza.

Po chwili zjawił się pan Władysław.

— Mam już pozwolenie! — zawołał. — Służę paniom.

I znów agitator, rozpychając wyborców, wołał:

— Z drogi, z drogi... Państwo idą!

Ssła wyborcza mieściła się na parterze z lewej strony od wejścia, a przy drzwiach, wiodących do niej, stali dwaj uzbrojeni żandarmi.

Pan Władysław wprowadził panie bocznem wej-

ściem do pokoju pobocznego, którego drzwi otwarte na rozcież, pozwalały widzieć salę wyborczą.

Wprost wejścia do sali stał stół, nakryty zielonym sukniem; za nim siedziała komisya wyborcza, złożona z siedmiu członków. Było tam dwóch żydów, dwóch pisarzy gminnych, jeden wójt i dwóch podwójców, wszyscy zwolennicy kandydatury pana Świetnoskiego.

Protokulista, mianowany przez komisarza, szczerpły, z przebiegłą twarzą, niższy urzędnik starostwa, zapisujący głosy, siedział również przy drodze, komisarz Silnicki zaś siadł przy osobnym stoliku, niedaleko protokulisty, nad którego czynnością czuwał razem z komisją wyborczą.

Z jednej i drugiej strony sali to siedziały, to stały różne osobistości wpływowe, a więc: egzekutor, sekwestrator, inspektor, lustrator, dozorczy dróg i mostów, weterynarz i inni.

Zawołano byłego wójta, Jana Rudnika. Wszedł na salę, bardziej przygnębiony, aniżeli zwykle, ze spuszczonei oczyma. Wszystkich oczy zwróciły się na chłopca, a lustrator gmin rzekł dość głośno, z drwinami.

— W jego gminie są nieporządki, może i kradzieże...

— Podatki zaległe nie mają pokrycia — dodał inspektor podatkowy.

— Przyjadę ja na egzekucyę z kajdankami — zaśmiał się egzekutor.

Tak mówiono, gdy sprawdzano kartę legitymacyjną i szukano powoli jego nazwiska w spisie.

Chłop pobladł, na czoło wystąpiły mu krople potu, schylił się niżej, ale milczał.

Przystąpił do niego pisarz gminny, szepejąc:

— Wójcie Rudniku, oddajcie głos na pana, nie wam nie będzie.

Wójt zrobił głową ruch odmowny.

— Za kim głosujecie?—wymienił jego nazwisko przewodniczący.

— Stanisław Drewniak.

— Namyślcie się, jeszcze czas—odezwał się jeden z komisji.

— Stanisław Drewniak.

— Czy papiery jego w porządku? — spytał komisarz gniewnie.

Przewodniczący skinął głową.

— Precz!—zawołał komisarz.

Po chwili wszedł Michał Kozik, przetrzymał i ten przycinki, groźby, namowy i rzekł pewnym głosem:

— Stanisław Drzewniak.

Komisarz uśmiechnął się pod wąsem i zawołał:

— Dobrze, idźcie — a do protokulisty: — Zapisz pan w rubryce pod „Drzewniak,” tak panowie?—zwrócił się do komisji, potwierdzającej skinieniem jego rozporządzenie.

Wprawdzie wszyscy wiedzieli, że wyborca się pomylił i powiedział Drzewniak, zamiast Drewniak. ale litera ustawy zakazuje wszelkich zmian, nawet najdrobniejszych w nazwisku kandydata i biurokratycznemu pojęciu prawa stało się zadość.

Komisarz Silnicki, spostrzegłszy pana Władysława, pośpieszył do niego, a po przedstawieniu go panom, poprosił wszystkich do framugi okna, aby nie tamować innym przystępu.

— Źle z ojcem, bardzo źle — mówił szybko. — Zdobyłem kilka głosów, ale to wszystko za mało, staram się, pracuję i nie mogę przełamać uporu chłopów; przysięgę złożyli, czy co?

— Ile głosów ma ojciec?

— Siedemdziesiąt trzy do pięć.

— A tamten?

— Będzie miał przeszło osiemdziesiąt.



— Aż tyle?

— Byłby miał więcej, ale część zamknąłem, część przestraszyłem, no i na Drewniaka zapisuję — uśmiechnął się.

— Więc ojciec przypadnie?—spytał syn, pobladły z oburzenia.

— Głowę tracę—zawołał komisarz.

— Czy Drewniak będzie miał absolutną większość?

— Zaraz zobaczę.

Po chwili wrócił i rzekł z uśmiechem radości:

— Chwała Bogu, nie będzie jej miał w pierwszym głosowaniu, mam już plan, pomóż mi pan... Rozgłoszę pewność wyboru Drewniaka, pan szepnie o tem agitatorom, ale swoich niech trzymają w pogotowiu, na każde zawołanie... Chłopstwo, zmęczone nocą i wyczekiwaniem, upewnione zwycięstwem, rozejdzie się... no i zobaczymy.

— Znalazł pan sposób — uśmiechnął się zadowolony pan Władysław — a wczesnego zwołania wyborców mogę tylko powinszować panu komisarzowi; opowiem o tem radcy Bolko, będzie się śmiał.

— Dziękuję, dziękuję... A teraz do roboty.

Pan Władysław zwrócił się do panien:

— Cóż, kuzynko, czy dosyć wyborów?... Ależ kuzyneczka blada, może oprze się kuzynka?

— Dziękuję, pójdę o własnych siłach... Tu tak duszno i ciężko.

— Chodźmy, Ewciu, a mówiłam ci, że tu nudno—dodała Irena.

Gdy wyszli na ulicę, postyszeli ogłuszające okrzyki chłopów i tłumu:

— Wiwat Drewniak! Wiwat nasz poseł! Górą nasil — gdyż wieść o pewności wyboru posła ludowego już się rozeszła.

Pozostali wyborcy rzucali tęskne spojrzenia na tych, którzy już oddali swe głosy i wolni od obowiązku, szli do swych wozów i na skromny posiłek.

— Górą Drewniak... Górą chłopil... Wiwat wyborcy!—huczał tłum pełen zapału.

Eweia, która wysłuchała całego planu komisarza, szła blada, zrozpaczona, a głosy tryumfu bolały ją fizycznie. Z nadzwyczajną uwagą wypatrywała Drewniaka lub Brosza, by powiadomić ich o planie, uważała to za swój obowiązek, jako człowieka uczciwego. Nigdzie ich nie było... Chciała zwrócić się do którego z chłopów, obawiała się jednak, że on jej nie zrozumie, lub może trafić na zwolennika pana Świetnoskiego. A przytem Irena i Władysław otaczali ją tak troskliwą, tak czułą opieką, że o dłuższej rozmowie z chłopem bez świadków nie mogła nawet zamarzyć.

I słuchając wciąż ech tryumfalnych i okrzyków, szła do hotelu... Nagle przybyło jej sił na myśl, że Drewniak i Brosz są przecież obcy z wyborami, potrafią zatrzymać wyborców i może jej się uda wysłać kogo z wiadomością do Drewniaka... Te projekty uspokoiły ją na razie i już weselsza spytała:

Kuzynie, jak nazywają się te drugie wybory, o których mówiliście panowie?

— Ściślejże, kuzynko... Jeżeli żaden z kandydatów niema absolutnej większości wyborców, przeprowadza się wybór tylko pomiędzy dwoma kandydatami.

— I w jakim czasie?

— Zależy od komisarza... Za dwie, trzy, cztery godziny... Ten będzie zapewne wieczorem.

— Dziękuję, już wiem — uśmiechnęła się zadowolona, że ma dosyć czasu do zawiadomienia Drewniaka.

W salonie do obiadu było wszystko przygotowane, a pan Świetnoski chodził chmurny i zły, bo głodny, po pokoju, witając przybyłych z wymówką:

— Gdzieś siedział, Władziu, tak długo?

— Byliśmy w sali wyborczej — odpowiedziała córka.

— Także potrzebnie— mruknął niechętnie i zadzwonił ostro, rozkazując lokajowi:

— Podawaj obiad zaraz... Ruszaj!

W czasie obiadu rozmawiano wesoło o wrażeńiach miasta, sprawunkach, o wyborach.

Po obiedzie pan Świetnoski poszedł do swego pokoju, trochę się przedrzemać; pani Świetnoska po chwili z powodu bólu głowy poszła do przyległego pokoju.

Pan Władysław opowiadał bardzo wesoło o lwowskich stosunkach, o świetnych otwarciach sejmu, o strojach pań i panów, wreszcie mrugnął na siostrę, by wreszcie wyszła.

— Pójdę ręce umyć — mówiła panna Irena, wstając;—zaraz wrócę.

Po kilku ogólnikach bez znaczenia, pan Władysław przysunął krzesło w kierunku Ewci i zaczął przyciszonym, uczuciowym głosem:

— Pozwoli mi kuzynka na kilka słów szczerych:

Zdziwiona przemową, skinęła główką.

— Może tu ani czas, ani miejsce, ale serce nie pyta o takie drobnostki... Od pierwszego spotkania zostałem olśniony pięknością i umysłem wytwornym kuzynki, zakochałem się bez pamięci i może kuzynka raczyła zauważyć, że byłem na każde jej skinienie... Nie śmiem pomyśleć, by kuzynka odpłacała mi już teraz wzajemnością: to byłby zbytek szczęścia... Ale pozwoli mi kuzynka mieć nadzieję, że kiedyś moje usilne starania zjedną mi przychylność kuzynki...

Słuchała go z powagą niezamaconą, nie patrząc na niego, a gdy skończył, spytała:

— Czy kuzyn mówił to szczerze?

— Krwią stwierdzę prawdziwość—zawołał z zapalem.

— Odpowiem więc szczerze... Niech się kuzyn nie łudzi: to jest niemożliwe.



— Kuzynko, najdroższa, ja sam mówiłem, że nie teraz, to byłoby szczęściem nad miarę ludzką, ale kiedyś... kiedyś... Niech mi kuzynka promień nadziei zostawi... najmniejszy promyczek.

— Ani teraz, ani nigdy -- odpowiedziała tonem stanowczym.

Wstał z krzesła blady, chwiejający się i mówił złamanym głosem:

— Niech Bóg zapomni kuzynce wyrządzoną mi krzywdę, jak ja postaram się zapomnieć... Oby kuzynka była szczęśliwa i wesoło przeszła przez życie.

— Dziękuję.

Wolnym krokiem, hamując kipiący gniew i oburzenie, wyszedł z pokoju.

Ewcia zadzwoniła na pokojówkę:

— Proszę mi dać papieru, atramentu i pióro.

A gdy służąca przyniosła, Ewcia siadła i pisała: „Dziś będą ściślejsze wybory na posła do sejm. Ewa Rokicka.”

I pewną ręką zaadresowała: „Wielmożny Pan Stanisław Drewniak, albo Maciek Brosz” poczem zwróciła się do stojącej w progu pokojówki:

— Proszę mi zawołać pościańca, ale pewnego człowieka, wynagrodzę go dobrze — i wsunęła guldena pokojówce.

Po chwili weszła rozpromieniona datkiem pokojówka, mówiąc:

— Już jest, jasna panienko... Ręczę za niego... Czy zawołać?

— Sama wyjdę do niego.

W kurytarzu stał ubogo ubrany człowiek, mnąc czapkę w rękę.

— Przyjacielu— przemówiła—znacie pana Drewniaka lub Brosza?

— Nie znam.

— Pytajcie chłopów, wyborców, oni wam wskażą... Ten list oddacie, jaknajprędzej... Daję wam

guldena... A jeśli szybko doręczycie, dostaniecie dwa guldeny napiwne od pokojówki.

— Już biegnę—zawołał uradowany, pochwycawszy list.

Dopiero w dobre dwie godziny zdołała Ewcia namówić Irenę do wyjścia na miasto. Szły w kierunku starostwa, za nimi o kilka kroków postępował lokaj, pan Władysław bowiem wyszedł z hotelu i nie wiadomo, gdzie poszedł.

Przed gmachem starostwa stał tłum znacznie zmniejszony i rozprawiał z zainteresowaniem, jaki będzie wynik wyborów ściślejszych.

Do panien zbliżył się Drewniak, z wyraźnymi śladami zmęczenia, skłonił się Ewci, mówiąc:

— Za uwiadomienie dziękuję, odebrałem przed chwilą dopiero, szukałem bowiem po mieście i przedmieściach moich wyborców.

— Przyszli — spytała z żywością.

— Ilu, nie wiem... Idzie Brosz... może on wie... Maćku, a są?

— Zdaje się, że z ośmdziesiąt będzie... I wygrasz, Stachu, jeśli znów dwudziestu nie zapiszą na „Drzewniaka” — uśmiechnął się drwiąco.

Wtem otworzyły się drzwi balkonowe w budynku starostwa i komisarz Silnicki w mundurze, w towarzystwie przewodniczącego komisji, stanął na balkonie z papierem w ręku. Zrobiła się cisza, a komisarz wygłaszał tonem sprawozdawcy urzędowego:

— Głosujących przy ściślejszym wyborze posła do sejmu krajowego było stu czterdziestu pięciu; absolutna większość głosów siedemdziesiąt trzy. Kandydat, pan Stefan Świetnoski, otrzymał siedemdziesiąt trzy głosy; kandydat, Stanisław Drewniak... siedemdziesiąt dwa głosy. Pan Świetnoski wybrany posłem większością jednego głosu.

— Kłamstwo!... Oszust!... Łajdak!... Psy wściekłe!...

— Jakże współczuję z panem — mówiła Eweia po przez łzy i uściśnęła rękę Drewniaka. — I wszystko poszło tak na marne.

— Myli się pani... Lud się rozbudził, a to było moim celem.

— Ale jak musi boleć taka klęska?

— Nie bardzo, proszę pani: zawsze jest przyszłość przed nami.

— Dokąd pan jedzie?

— Do Lwowa.

— Więc do widzenia; może się zobaczymy.

— Do widzenia—uściśnął podaną rękę.

— Eweiu, chodźmy do mamy — rzekła panna Irena—dopiero mama się ucieszy.

Poszły szybko, słysząc wokół narzekania, klątwy, wybuchy gniewu i wzajemne oskarżenia.

Irena pierwsza wpadła do pokoju, wołając:

— Mamo, papa wybrany większością!

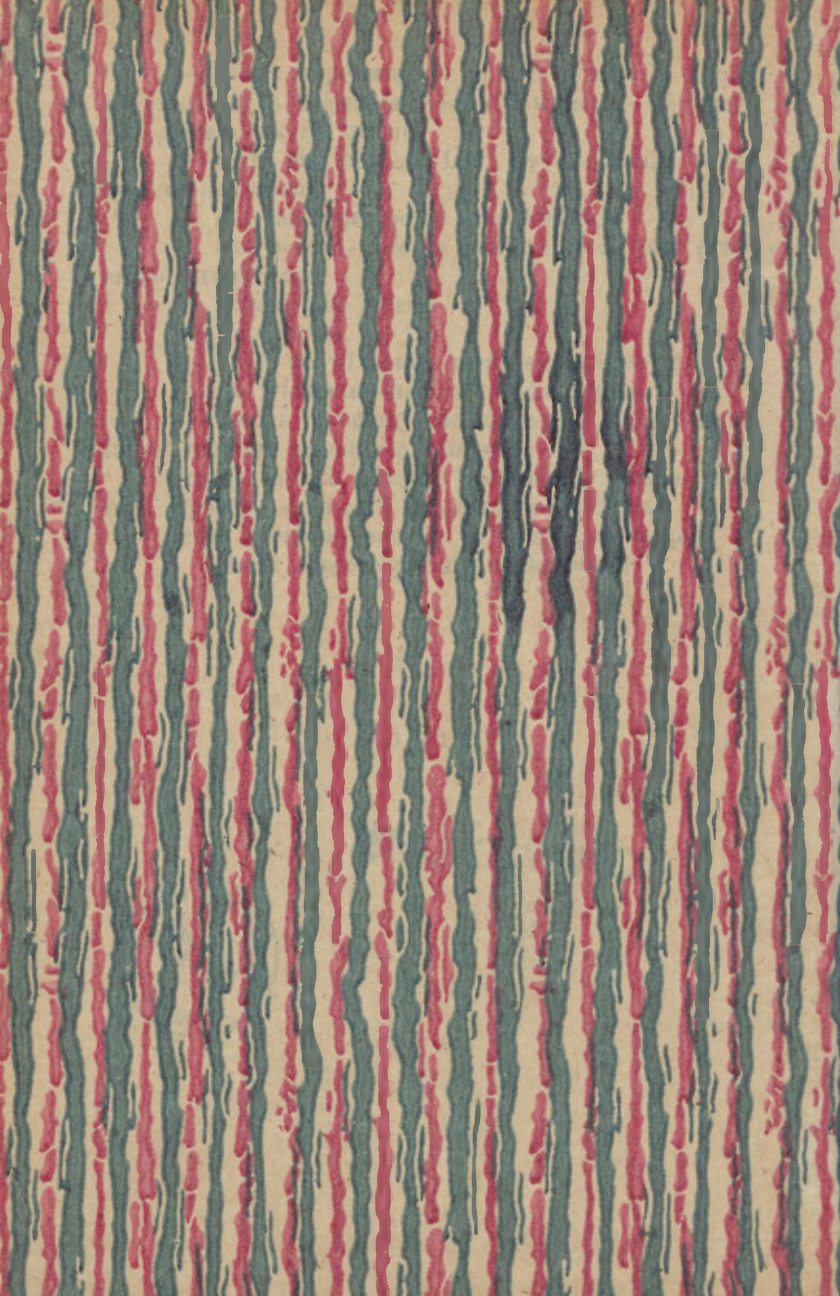
K O N I E C.

AMUŁOWANO

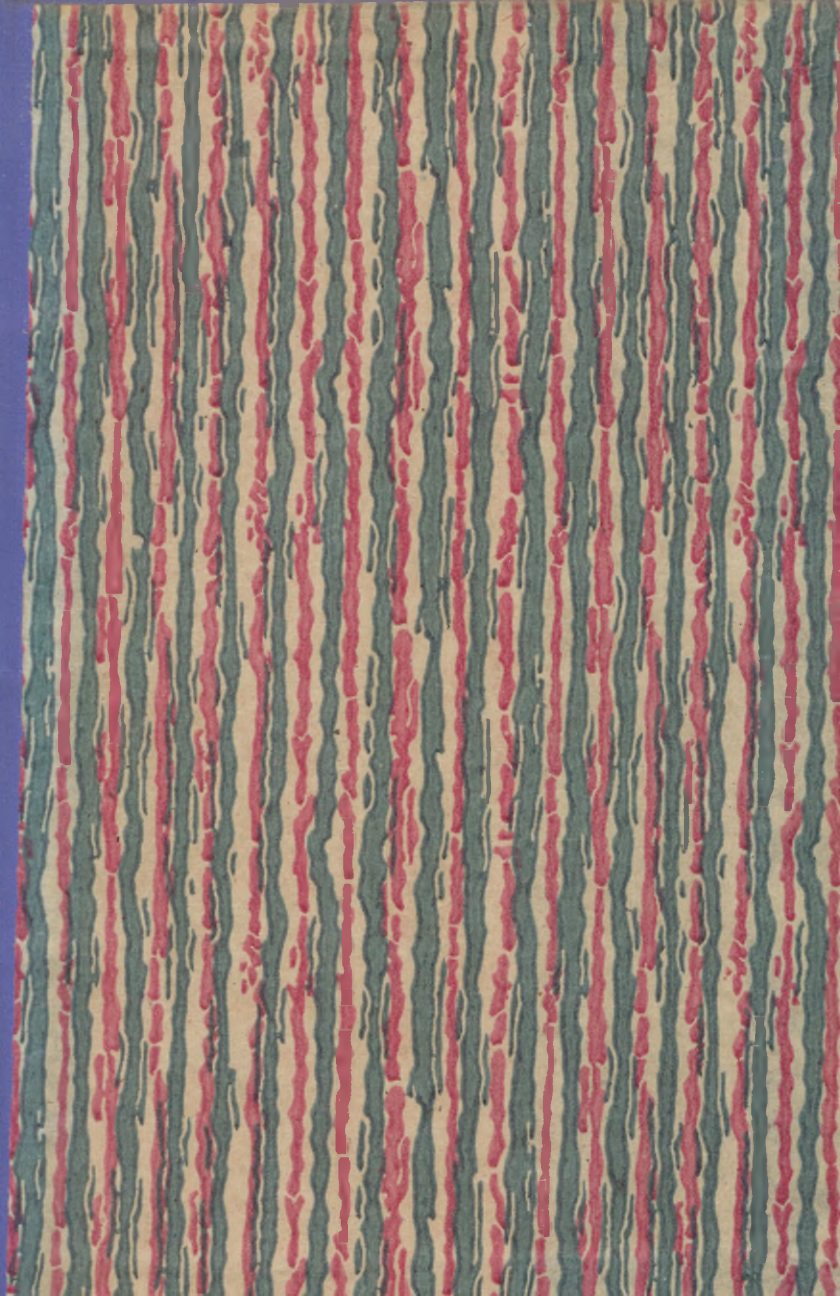














WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA  
229617

Biblioteka WSP Kielce



0086211